

NUMER NA ŚWIĘTA Kremówkowy Kościół | Akcje Konfederacji
Czy ChatGPT myśli? | Para od PiS-piaru | Wyrok na auta | Moda queer
Kubuś Psychopatek | Messimania | Teoria łajdactwa | Igraszki traszek

POLITYKA.PL

POLITYKA

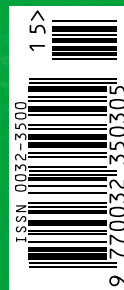
Wiosenny zamęt
w nastrojach Polaków

Źle,
ale
dobrze

s. 6, 12



ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 15 (3409), 5.04–11.04.2023 Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów



NAJNOWSZA KOLEKCJA ROWERÓW ODZIEŻY I AKCESORIÓW



**KUP SWÓJ
WYMARZONY
ROWER CUBE
JUŻ DZIŚ!**



**10 lub 20
RAT
RRSO 0%**
Bez dodatkowych kosztów



Masz firmę?
Weź rower w leasing
bo możesz!

- Błyskawiczna decyzja
- Minimum formalności
- Ubezpieczenie sprzętu wliczone w ratę



Kupujesz na firmę?
ZAPŁACIMY
za Ciebie!

- Dopasuj ofertę do siebie
- Błyskawiczna decyzja
- Pracujemy dla Ciebie 24h / 7 / 365.

NASZE SKLEPY STACJONARNE SĄ OTWARTE 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota **10:00 - 21:00** | Wszystkie Niedziele **11:00 - 18:00**

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b
POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a | **WROCŁAW:** CH Arkady Wrocławskie

KATOWICE - NOWA LOKALIZACJA
ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



16 **Żywa sztuczna inteligencja?**



34 **Niezwykłe dzieje Franciszkańskiej 3**



84 **Seks, drag i rock'n'roll**

Temat na Święta

- 12 Cezary Michalski **Paradoks w nastrojach: większość z nas popiera opozycję, ale nie wierzy w jej zwycięstwo**

Rozmowy na Święta

- 16 Prof. **Przemysław Kazienko**, informatyk z Politechniki Wrocławskiej, o zatrważających umiejętnościach programu ChatGPT
- 20 Ks. prof. **Andrzej Kobylński** o polskim Kościele, który przespał czas na samooczyszczenie i o skutkach upolityczniania religii

Polityka

- 24 Rafał Kalukin **Opcje Konfederacji**
- 27 Anna Dąbrowska **Plakwicz i Matczuk – para od piaru PiS**



Społeczeństwo

- 30 Ewa Wilk **Teoria łajdactwa**
- 34 Adam Szostkiewicz **Krakowski dom kardynałów i jego lokatorzy**
- 38 Katarzyna Kaczorowska **Toksyczny związek**
- 41 Aktor **Michał Żebrowski** o tym, kto i jak gra nami, a także o tym, jak się z tego wyzwolić



Rynek

- 44 Adam Grzeszak **Samochody spalinowe – zakaz na pokaz?**
- 47 Ryszarda Socha **Odra nie odżyła**

Świat

- 52 Jarosław Kuisz **FRANCJA Macron, niezłomny desperat**
- 56 Artur Domosławski **ARGENTYNA Messimania**
- 60 Mariusz Kowalczyk **UKRAINA Śmierć snajpera**
- 62 Marek Orzechowski **NIEMCY Pozdrowieniem podzieleni**



Nauka/projektpulsar.pl

- 64 Marcin Ryszkiewicz **Europejczycy według amerykańskiego antropologa**
- 68 Edwin Bendyk **Technologie – jak Chiny ścigają Zachód**
- 70 Mikołaj Kaczmarski **Igraszki traszek**

Historia

- 72 Marcin Kołodziejczyk **Barwne dzieje warszawskiego Bazaru Różycykiego**
- 76 O XIX-wiecznych małżeństwach, bardziej rozważnych niż romantycznych, opowiada dr **Alicja Urbanik-Kopec**

Kultura

- 84 Michał Zaczęński **Queer – nowa fascynacja świata mody i gwiazd popkultury**
- 88 Jakub Demiańczuk **Kubuś Psychopatek, czyli dziecięca klasyka w wersji dla dorosłych**
- 92 Rozmowa z pisarką i tłumaczką **Renatą Lis** o jej najnowszej książce „Moja ukochana i ja”
- 95 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**



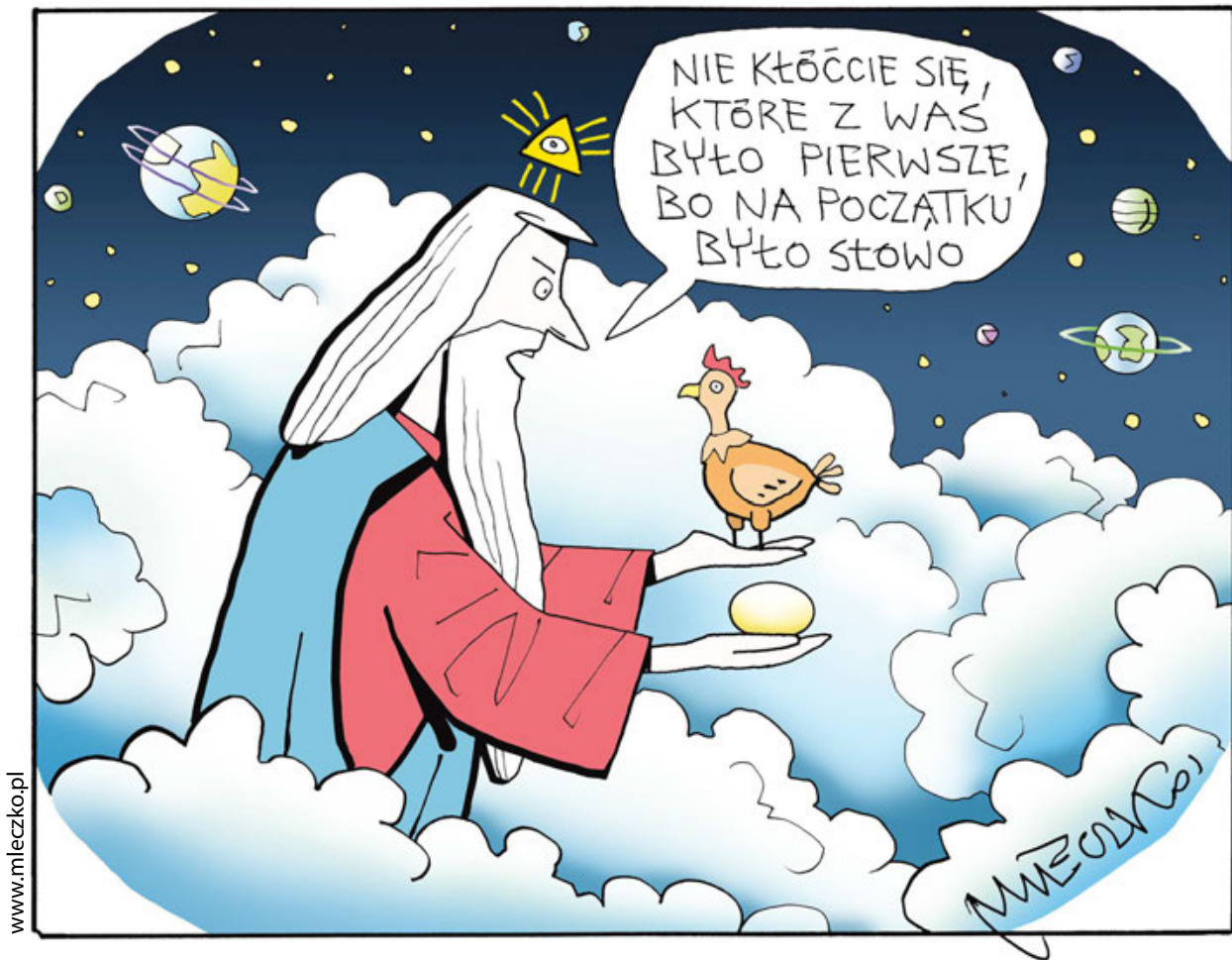
NAGRODA ARCHITEKTONICZNA **POLITYKI**

- 100 Piotr Sarzyński **Parada projektów i budowli**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Przypisy
- 8 Ludzie i wydarzenia • 80 Afisz
- 96 Chutnik i Plebanek • 97 Hartman
- 98 Mizerski na bis • 99 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaje

Spokojnych Świąt w niespokojnych czasach!



GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

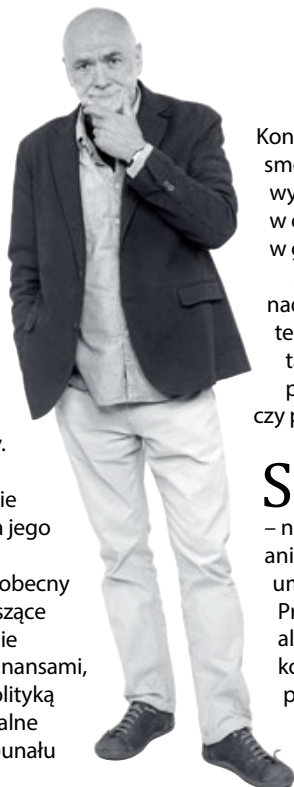
SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Głupi i głupszi

Wiele się mówi o zagrożeniach, jakie niesie światu rozwój sztucznej inteligencji (AI), ale nie docenia się tego, jak niebezpieczny jest dla świata rosnący deficyt naturalnej inteligencji i rozumu (DNIiR).

„Zaawansowana AI może spowodować głęboką zmianę w życiu na Ziemi, dlatego należy ją zaplanować i zarządzać nią z odpowiednią troską” piszą sygnatariusze apelu opublikowanego na stronie think tanku Future of Life Institute. Odnoszę wrażenie, że zaawansowany deficyt rozumu powoduje na rozległych obszarach Ziemi równie głębokie zmiany. W niektórych krajach szybko rozwijający się deficyt inteligencji i rozumu stał się dla ich mieszkańców równie niebezpieczny jak deficyt wody i świeżego powietrza, a jego skutki mogą być oplakane.

DNIiR dotyka wielu dziedzin, a szczególnie mocno obecny jest w polityce. Szacuje się, że w Polsce umysły niegrzeszące rozumem i inteligencją mają wpływ m.in. na zarządzanie kulturą, sztuką, dziedzictwem narodowym, edukacją, finansami, rolnictwem, sądownictwem, polityką energetyczną, polityką zagraniczną i służbą zdrowia. Umysły te są odpowiedzialne za występujące w Polsce zjawiska, takie jak wyroki Trybunału



Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, raporty podkomisji smoleńskiej Antoniego Macierewicza, strefy wolne od LGBT, wybory kopertowe, przekop Mierzei Wiślanej, akcję PKP w obronie świętości JPiI czy odpalenie granatnika w gabinecie komendanta głównego policji.

Jest coraz więcej sygnałów, że instytucje państwa utraciły nad tymi umysłami kontrolę i że teraz to one kontrolują te instytucje. Świadczą o tym spektakularne kariery osób takich, jak Julia Przyłębska, komendant Szymczyk, posłowie Suski, Mejza i Kowalski, grupa europosełki PiS czy przewodniczący KRRiI Maciej Świrski.

Sygmatariusze apelu w sprawie AI przestrzegają przed „cyfrowymi umysłami, których nikt – nawet ich twórcy – nie jest w stanie zrozumieć, przewidzieć ich działania ani niezawodnie kontrolować”. Działania analogowych umysłów dotkniętych DNIiR niestety da się przewidzieć. Próbuje je kontrolować i zarządzać nimi prezes Kaczyński, ale gołym okiem widać, że nie daje rady, bo te umysły kontrolują się i zarządzają sobą same. A rzucane przez prezesa PiS głupawe uwagi na temat osób trans, dających w szyję kobiet czy niemieckiego agenta Tuska rodzą podejrzenie, że przejęły również kontrolę nad nim.

Wielki rejs z Albatrosem na Antarktydę - Siódmy Kontynent

Prawdziwa ekspedycja morska statkiem Albatrosa, Ocean Albatros - 15 dni z polskim pilotem (dla grup powyżej 15 osób).

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Buenos Aires. Zwiedzanie miasta i kolacja. Dz. 3 Buenos Aires - Ushuaia, zakwaterowanie w hotelu, zwiedzanie miasta. Dz. 4 Ushuaia. Narodowy Park Tierra del Fuego, wejście na pokład statku. Dz. 5-6 W drodze na Antarktydę. Cieśnina Drake'a. Dz. 7-10 Szetlandy Południowe i Półwysep Antarktyczny. Zejście na ląd obok siedlisk pingwinów. Wycieczka do wygasłego krateru oraz obserwacja ptaków, fok i delfinów. Dz. 11-12 Cieśnina Drake'a. Powrót do Ushuaia w Argentynie. Dz. 13 Ushuaia - samolotem do Buenos Aires, kolacja z degustacją wina i pokazem tanga. Dz. 14 Wylot z Buenos Aires do Warszawy. Dz. 15 Przyłot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 27/10 2023, 28/01 2024

od **52.998,-**



Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej



Izrael wczoraj i dziś

Podróż śladami starożytnej i nowożytnej historii Izraela od ziem biblijnych wzdłuż rzeki Jordan po nowoczesny Tel Awiw nad Morzem Śródziemnym.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Tel Awiwu. Przejazd do hotelu. Dz. 2 Jezioro Galilejskie. Starożytna synagoga w Kafarnaum. Kibuc Shaar Hagolan. Bazylika Zwiastowania Pańskiego w Nazaret. Dz. 3 Akka, Hajfa – centrum wyznawców bahaizmu, Kościół św. Piotra i Białe Miasto w Tel Awiwie. Przyjazd do Betlejem. Dz. 4 Jerozolima. Góra Oliwna. Ściana Płaczu. Wzgórze Świątynne. Via Dolorosa. Bazylika Grobu Świętego. Wieczernik. Dz. 5 Jerozolima. Muzeum Holocaustu Yad Vashem. Izraelski parlament Kneset. Bazylika Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Dz. 6 Jerozolima. Targ Machene Yehuda. Winiarnia Mony. Dz. 7 Góra Kuszenia w Jerycho. Morze Martwe. Twierdza Masada. Kolacja w palestyńskim domu. Dz. 8 Wylot do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy 06/10 2023 | **8.498,-**



Zachwycający Wietnam

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Hanoi. Dz. 2 Wycieczka riksami po zabytkowej części Hanoi. Jezioro Hoan Kiem. Dz. 3 Zwiedzanie Hanoi: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda Jednej Kolumny, Świątynia Literatury oraz Wodny Teatr Lalek. Dz. 4 Hanoi – Zatoka Ha Long, wpisana na listę UNESCO. Rejs i nocleg na statku w zatoce. Dz. 5 Przelot do Da Nang i przejazd do Hoi An. Dz. 6 Wycieczka rowerowa po Hoi An. Wyspa Kim Bong, wizyta w pracowni lokalnych rzemieślników. Spacer po zabytkowej części miasta. Dz. 7 Dzień wolny w Hoi An. Dz. 8 Hoi An – Hué. Przetęcz Hai Van, rejs Rzeką Perfumową, pagoda Thien Mu oraz mauzoleum Tu Duc. Dz. 9 Wycieczka riksami do zabytkowej części Hué, cytadela. Przelot do Ho Chi Minh (dawny Sajgon). Dz. 10 Rejs Deltą rzeki Mekong. Dz. 11 Tunele Cu Chi, zwiedzanie Ho Chi Minh i kolacja pożegnalna. Dz. 12 Spacer po parku, wizyta na bazarze i wylot z Ho Chi Minh. Dz. 13 Przyłot do Warszawy.

13-17 dni | Wyloty z Warszawy 16/10 2023, 28/01, 01/03 2024
od **12.998,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL13

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Gra trwa



Mariusz Janicki

Wiosenny, świąteczny czas przyniósł w kraju dziwną ambiwalencję, niejasność, czasami wręcz poczucie absurdu. Jakby rzeki zaczęły płynąć na drugą stronę, deszcz padał do góry, i nic się już nie wiązało z niczym. Po zdawałoby się udanych rajdach Platformy po województwach i dobrych wystąpieniach Donalda Tuska, po „babciowym” i zerowym kredycie mieszkaniowym notowania PO natychmiast zastygły, a nawet się obniżyły. PiS po aferach „willa plus”, NCBIr, po tragicznej w skutkach nagonce na opozycyjną posłankę, ze wściekłymi rolnikami na karku i niedomagającym prezesem, złapał oddech i powiększa przewagę nad konkurencją. Szymon Hołownia w następstwie triumfalnego sojuszu z PSL wpadł w melancholię i mówi, że opozycja nie pachnie zwycięstwem. Lewica regularnie ogłasza swoje przełomowe propozycje, a jej wyniki ani drgną, zwłaszcza w górę. Urosła trochę Konfederacja, choć w tym celu nie zrobiła właściwie nic. Jednak nagle została pokochana przez tych, którzy są skłonni opchnąć dowolne wartości w zamian za niskie podatki, na które Mentzenowi Kaczyński i tak nie pozwoli. Poza tym, jeśli się broni Mentzena i bagatelizuje obskurancję tezy, które kiedyś bezwstydnie wygłaszał, to z jakiego powodu bardziej wiarygodne miałyby być to, co mówi teraz? (O fenomenie Konfederacji więcej w tekście Rafała Kalukina, s. 24).

Wydaje się, jakby w politycznej maszynie przestały działać klawisze i gra ona własne melodie. To poznawcze zamieszanie dotyczy też szerszej społeczności: właściwie nie wiadomo, jak jest. Szaleje drożyzna i inflacja, z badań wynika, że ludzie oszczędzają na jedzeniu i zamierzają spędzić skromne święta, ale zaufanie do prezydenta i premiera rośnie, a wycieczki zagraniczne i pobyty krajowe na majówkę schodzą na pniu. Jakby PiS urwał się rzeczywistości, zanegował związki przyczynowo-skutkowe (więcej o zmiennych nastrojach społecznych i politycznych w tekście Cezarego Michalskiego s. 12). Opozycja może sobie zadawać pytanie: jak w takich okolicznościach w ogóle prowadzić politykę.

Ale ten stan, mimo oczywistych nieuczciwych przewag PiS, to jednak wina opozycji, może z nierównym stopniem tej winy. PiS, przy wszystkich swoich możliwościach, nie zabrania opozycji współpracy, rozmów, sprytu, kombinowania, uzgadniania strategii i programu. Szymon Hołownia powiedział niedawno, że od stycznia nie było spotkania liderów demokratycznej opozycji (poza esemesami). Nie wspomina, co może być tego przyczyną, czyli jego własna niełojalność w sprawie głosowania nad ustawą o Sądzie Najwyższym, gdzie naruszył zawarte ustalenia. Gdyby dokładniej zanalizować sondaże, to właśnie od tamtego momentu kondycja opozycji wyraźnie osłabła, co chyba jako jedna z pierwszych odnotowała POLITYKA w tekście „Cichy alarm”.

Ale to już nie tak istotne, antyPiS zachwiał się, ale jeszcze nie przegrał. Teraz pojedynek toczy się na najważniejszej osi: Klarowność vs. Niejasność. Kiedy np. Tusk ogłasza „babciowe”, to pojawia się pytanie o pewność wyborców, czy ten projekt będzie wprowadzony w życie. A ta pewność dzisiaj to 27 proc., dokładnie tyle, ile w sondażach ma Platforma. Kiedy PiS coś ogłosi, np. 700 plus w miejsce 500 (nawet jeśli oficjalnie tego nie potwierdzi, to zapewne balon próbny), od razu za tą propozycją stoi według sondaży 200–210 mandatów i reszta posłów do „dokupienia”, a ludzie wiedzą, że PiS potrafi dokupić. Gdyby chociaż jedną tego typu propozycję ogłosiło razem czterech liderów opozycji, pewność jej wprowadzenia wzrosłaby do ponad 40 proc., a to już inna rozmowa.

Do takich wspólnych deklaracji, dobrze wymyślonego programu minimum, niepotrzebna jest jedna lista wyborcza ani nawet wymiana Tuska na Trzaskowskiego, o czym zaczęło się spekulować. Wystarczyłoby, gdyby szefowie antyPiS pokazali się razem, w dobrej komitywie, w kilku miejscach w Polsce, przekonując, że konfiguracja startu w wyborach to kwestia bardziej techniczna i będą to jeszcze konsultować, ale najważniejsze rzeczy są dogadane. Na pewno będą tworzyć rząd i mają uzgodnioną listę priorytetów na pierwsze sto dni, poza tym będą proponować własne rozwiązania. Tego rodzaju działania zdają się naturalne i jeśli do nich nie dochodzi, rodzi to frustrację i demobilizację. Poczucie, że trzeba się jakoś „w świecie PiS” urządzić.

Bo w ostatnich tygodniach PiS nie zdobył przewagi programowej czy moralnej, ale głównie psychologiczną. „Obrona Jana Pawła II” nie okazała się specjalnie wydajna (o „sprawie papieskiej” więcej s. 20), na wojnie w Ukrainie PiS też nie zyskuje tyle, na ile liczył. Zadłużenie kraju stale rośnie, a pieniądze z KPO nie są pewne. Ostatnie pohukiwanie Jarosława Kaczyńskiego na Trybunał Konstytucyjny pokazują, że rząd Morawieckiego bardzo potrzebuje pozytywnej decyzji Komisji Europejskiej, aby się uwiarygodnić na rynkach finansowych i móc dalej pożyczać środki na prezenty wyborcze. Zdaje się oczywiste, że to Morawiecki zasygnalizował Kaczyńskiemu problem. PiS ogólnie ma wielkie kłopoty w sferze twardej realii, ale korzysta z przewagi „nastrojowej”, wytrącił opozycję z pewności siebie, jak dobrze blefujący pokerzysta. W efekcie większość uwierzyła, że wygra mniejszość.

Dziwne jest to niezrozumienie, że całej opozycji nic się nie uda w przypadku ponownej kadencji PiS. Każdy z dziesiątków programów, pomysłów, postulatów, deklaracji, trafi prosto do kosza. Nie będzie referendum aborcyjnego, „babciowego”, „dziadkowego” ani nawet mieszkań dla zakochanych par. Tusk nie zostanie premierem, ale nie będzie nim także Hołownia, Trzaskowski, Kosiniak-Kamysz, a Zandberg nie dostanie Ministerstwa Pracy. Partie opozycyjne, jeśli chcą trwać o zwycięstwo, powinny przestać myśleć w kategoriach zakładu pracy, gdzie obiecało się komuś wyborczą jedynkę, którą ten może stracić, gdyby doszło do „fuzji firm”, czyli koalicji. Jeśli gra idzie o zachowanie demokratycznego ustroju w Polsce, a to głosili politycy antyPiS przez ostatnie osiem lat i pod tym hasłem zwoływali ludzi na mróz i słońce, to wyborców naprawdę nie obchodzi, kto gdzie otrzyma tzw. miejsce biorące i czy jego krewni dostaną potem dobre stanowiska. Po przegranej nikt nic nie dostanie.

Byłoby najgorzej, gdyby opozycja uznała, że wybory są już stracone i teraz trzeba tylko niesromotnie przegrać, a potem znowu przez kolejne lata oburzać się na marszałka Terleckiego, że wyłączy mikrofon. Polityczny poker jeszcze się nie skończył. PiS gra powyżej swoich kart. Czas, aby opozycja zakończyła wewnętrzne gierki, zanim wyborcy wrzucą swoje karty do urn. Czego wypada sobie i Państwu życzyć w tym przejściowym, niejasnym, choć wciąż dającym nadzieję czasie.

Wielka Bałkańska Przygoda

Historyczna podróż przez 6 bałkańskich krajów dawnej Jugostawii.

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa – Belgrad. Przyjazd do stolicy Serbii. **Dz. 2** Belgrad. Zwiedzanie miasta, w tym Fort Kalemegan i Muzeum Jugostawii. **Dz. 3** Belgrad – Sarajewo. Sremska Mitrovica i rezerwat przyrody Zasavica. **Dz. 4** Sarajewo, Bośnia i Hercegowina. Zwiedzanie miasta, w tym Muzeum Tunelu i Starego miasta. **Dz. 5** Sarajewo – Konjic – Mostar. Bunkier Tito w Konjicu i zwiedzanie miasta Mostar. **Dz. 6** Mostar – Dubrownik – Trebinje. Zwiedzanie Dubrownika i Trebinje. **Dz. 7** Trebinje – Kotor – Cetinje – Podgorica. Piesza wycieczka po Kotorze, przejazd przez góry do Njigusi i królewskiego miasta Cetinje. **Dz. 8** Podgorica – Kolasin. Zwiedzanie miasta, podróż pociągiem do Kolasina i wizyta w P.N. Biogradska Góra. **Dz. 9** Kolasin – Prisztina, Kosowo. Czas wolny w Kolasinie, pomnik Kosowa i przyjazd do Prisztiny. **Dz. 10** Prisztina – Skopje. Klasztor Gocanica i rejs w wąwozie Matka. **Dz. 11** Skopje. Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 12** Skopje – Warszawa. Wylot do Polski.

12 dni | Wylot z Warszawy 20/09 2023

7.998,-



Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej



Norwegia Płn. - Lofoty i Przylądek Północny

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot z Warszawy do Evenes i przejazd do Svolvær. **Dz. 2** Wycieczka na Lofoty, wizyta w wioskach rybackich: Å, Ramberg Strand i Stamsund. **Dz. 3** Lofoty – Vesterålen – Andenes – podróż przez magiczne krajobrazy. Możliwość obserwacji wielorybów. **Dz. 4** Andenes. Rejs "Drogą wielorybów" przez Gryllefjord i dalej do bramy Arktyki: Tromsø. **Dz. 5** Przejazd: Tromsø – Alta. Eksplorowanie Tromsø, rejs po fiordzie, arktyczna natura Finnmarku i Alty. **Dz. 6** Alta – Magerøya – Honningsvåg. Ryty naskalne w Alcie, podróż przez arktyczne krajobrazy w kierunku wyspy Magerøya na Przylądku Północnym. **Dz. 7** Przejazd z Honningsvåg do Alty. Trasa wzdłuż fiordów Finnmarku, łagodnego górskiego krajobrazu do lotniska w Alcie. Powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 06/06, 11/07, 08/08 2023

od 7.498,-



Afryka Mandeli

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przyjazd do Johannesburga – Rezerwat dzikiej przyrody Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 3-4** Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Manyeleti – Trasa Panoramiczna – Zebra Country Lodge w Pretorii. **Dz. 6** Relaks w Zebra Lodge i wycieczka do Zebra Repile Center. **Dz. 7** Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 8** Zebra Nature Reserve – Port Elizabeth – Park Narodowy Tsitsikamma – Zatoka Plettenberg. **Dz. 9** Zatoka Plettenberg. Rejs po rzece Keurbooms. **Dz. 10** Zatoka Plettenberg – wapienne grotty Cango – Oudtshoorn. XIX wieczne rezydencje w Montagu. **Dz. 11** Montagu – Kapsztad. Winiarnie w Stellenbosch z degustacją wina. Ogród botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 12** Kapsztad – dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 13** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker i lwów morskie. Kolonia pingwinów w Simon's Town. **Dz. 14** Kapsztad. Podróż powrotna. **Dz. 14** Przyjazd do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 03/10, 14/11 2023, 12/01 2024

od 14.498,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL12



Papieskie marsze i kolejowe kremówki

W 18. rocznicę śmierci Jana Pawła II (2 kwietnia) przez kilkadziesiąt polskich miast przeszły marsze papieskie. Największy z nich odbył się w Warszawie. „Marsz ma mieć charakter całkowicie apolityczny. Chcemy, aby ewentualna przynależność partyjna uczestników pozostała ich prywatną sprawą” – zapowiadała Małgorzata Żaryn, inicjatorka i współorganizatorka wydarzenia. Żaryn jest historyczką związaną z magazynem „Sieci Historii” (należącym do tego samego wydawnictwa, co prorożadowy tygodnik braci Karnowskich), prywatnie zaś – żoną prof. Jana Żaryna, naczelnego „SH” i byłego senatora PiS.

W tłumie można było dostrzec m.in. Antoniego Macierewicza, **Mariusza Błaszczaka, Stanisława Piotrowicza, Jarosława Sellina**, Julię Przyłębską czy Zbigniewa Ziobrę, którego pojawienie się wzbudziło szczególne zainteresowanie

– uczestnicy wyciągali telefony, robili zdjęcia. Do marszu dołączył też Andrzej Duda; dostał oklaski. Formalnym organizatorem było Centrum Życia i Rodziny, ale – jak zaznaczyła Żaryn – „marsz jest społeczny, organizowany oddolnie”. Ludzie zgromadzeni na rondzie Dmowskiego – skąd ruszał marsz – mieli flagi papieskie i przypinki z JP II. Flag partyjnych nie było, za to pojawił się baner antyaborcyjny. Z głośników puszczano przemówienia papieża. Wydarzenie pobłogosławił ks. Tomasz Trzaska, który porównał zarzuty ukrywania pedofilii w Kościele przez papieża Jana Pawła II do ataku... nazistowskich wojsk na Westerplatte. Namawiał też zgromadzonych do duchowej adopcji dziecka poczętego, czyli – jak wyjaśnia strona duchowaadopcja.info – dziewięciomiesięcznej modlitwy w intencji dziecka „zagrożonego zabicim w łonie matki”. Prowadzeniem marszu zajęli się pracownicy TVP Sport Rafał Patyra.

Po niespełna godzinie zebrani dotarli do Bazyliki archikatedralnej św. Jana Chrzciciela, gdzie odprawiono mszę. Czytania liturgiczne należały do prof. Żaryna i Adriana Stankowskiego z „Gazety Polskiej Codziennie” i Telewizji Republika, stałego komentatora TVP. Homilię poprowadził abp Józef Michalik. „Dziś w świecie aktywne są struktury zła. Trzeba budować struktury prawdy, dobra i rozumu. (...) Dzisiaj doczekaliśmy czasów, że o tym, co w sprawach sumienia, chcąc decydować krzykliwe antyreligijne agencje medialne” – głosił. Trudno nie dostrzec w tym odniesień do głośnego reportażu dziennikarza TVN Marcina Gutowskiego „Franciszkańska 3”.

Papieski marsz to tylko jeden z elementów „papieskiej kampanii” PiS: obok słynnej uchwały Sejmu „w obronie dobrego imienia Polaka Pawła II” (podobne przyjęły niektóre samorządy); homilii papieża Polaka emitowanych przez TVP czy kremówek rozdawanych w ostatnią niedzielę pasażerom PKP. A to ledwie przedsmak tego, co szykuje obóz władzy. W planach jest jeszcze: celebrowanie rocznicy urodzin papieża, specjalna pielgrzymka i wybory w Dniu Papieskim.

Jarosław Kaczyński i inni ważni politycy PiS 2 kwietnia byli w Wadowicach, gdzie odbyły się główne obchody rocznicy śmierci papieża Polaka. W sumie marsze przeszły bez większych kontrowersji. Prócz Łodzi – w nocy z soboty na niedzielę nieznanymi sprawcami oblali farbą pomnik Jana Pawła II i napisali na cokole „Maxima Culpa” (moja bardzo wielka wina). (FRAŹT.)

Nadprezes i buntownicy

Jarosław Kaczyński chciał poskromić sędziów buntowników w Trybunale Konstytucyjnym, ale swoim wywiadem dla PAP sprawił, że teraz nie mają właściwie innego wyjścia, jak tylko dalej się buntować. Sondáže wyborcze są coraz lepsze dla PiS, więc w jego interesie leży, aby do Polski trafiły pieniądze na KPO. Unia uzależnia to jednak od przyjęcia – niezbyt zresztą szczęśliwej – nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym. Ustawa zakleszczyła się w TK **Julii Przyłębskiej**, bo do jej osądzenia w pełnym składzie – odliczając sześciu buntowników kwestionujących, że kadencja prezesa Julii trwa – brakuje dwóch osób. Już wyglądało, że szykuje się przełom – z szeregow buntowników zaczął się wyłamywać Bogdan Świączkowski, który swoją obecnością na zgromadzeniu zwołanym przez Przyłębską zagwarantował kworum i umożliwił uchwalenie stanowiska, że nie ma wątpliwości co do trwania jej



prezesy. Jednak prezes PiS w wspomnianym wywiadzie nie tylko postawił się ponad sędziami, rozstrzygając, że Przyłębska nadal jest prezeską, ale też sprawił wrażenie, że grozi buntownikom. Stwierdził, że szybkie rozpoznanie wniosku prezydenta „jest kwestią racji stanu, tak ważną, że żadne względy, które nie mają podstaw prawnych, a jedynie są elementem osobistych przeświadczeń pewnych osób, nie mogą stać na przeszkodzie”. Co może się stać z sędziami, którzy postępują wbrew racji stanu?

Jeśli teraz buntownicy stawiają się do rozpatrzenia wniosku prezydenta, wyjdą już jawnie na wysługujących się prezesowi partii rządzącej – albo na tchórzy. W dodatku Kaczyński liczy na to, że sprawa wniosku prezydenta „zostanie załatwiona

pozytywnie” – czym w niezręcznej sytuacji postawił wszystkich sędziów. A w każdym razie tych, którzy mają ambicję uchodzić za niezawisłych.

Jawna ingerencja prezesa PiS wywołała natychmiastowy skutek: odwołania posiedzeń pełnoskładowych wyznaczonych na następny dzień. Przyłębska wiedząc, że buntownicy się nie stawiają, usiłowała w ten sposób zapobiec utracie nie tylko swojego autorytetu, ale też autorytetu prezesa PiS, który przecież nakazał im przyjsie. Mleko jednak się rozlało.

Julia Przyłębska brnie dalej i na kwietniu wyznaczyła terminy pełnoskładowych rozpraw: w sprawie dopuszczalności zajmowania się przez SN sprawą ułaskawienia Mariusza Kamińskiego i współsprawców skazanych za prowokację wobec Andrzeja Leppera, i w sprawie konstytucyjności kar nakładanych przez TSUE.

Całe to widowisko jest tyleż zenujące, co pocieszające: Trybunał Przyłębskiej dokonuje autodestrukcji i samoparaliżu. A władza PiS traci ważny instrument rządzenia.

EWA SIEDLECKA

Pieniądze na wybory: 4x4

Adam Bodnar

Dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich w latach 2015–21.



Sterowanie mediami, prokuraturą, stworzenie uzależnionej od władzy sieci instytucji i fundacji, inwigilacja – to ledwie przykłady, które dowodzą, że jesienne wybory nie będą uczciwe. Sytuacja strategicznej przewagi rządzących nad oponentami politycznymi określana jest jako system „konkurencyjnego autorytaryzmu”. Opisali go w książce „Tak umierają demokracje” Steven Levitsky i Daniel Ziblatt. W takim systemie istnieją instytucje właściwe dla demokracji, są organizowane wybory, ale służą one obozowi rządzącemu jedynie do zatwierdzenia i przedłużenia swojego panowania, uzyskania legitymizacji na kolejne lata.

Tej przewagi konkurencyjnej opozycja demokratyczna nie może ot tak po prostu zlikwidować. Nie wystarczy stworzenie nośnych haseł wyborczych, świetnego programu czy posiadanie wybitnych liderów. Z dnia na dzień opozycja nie odzyska normalnego dostępu do mediów publicznych, nie zapewni rzetelności działania prokuratury, nie wpłynie na morale agentów służb specjalnych, aby nie robili brzydkich rzeczy. Ale opozycja demokratyczna, a zwłaszcza obywatele, powinni robić wszystko, co w ich mocy, aby ta przewaga konkurencyjna była jak najmniejsza, aby zasympywać przepaść i wyrównywać pole gry wyborczej. Dlatego tak ważny jest apel Rafała Zakrzewskiego z „Gazety Wyborczej”, aby obywatele zaczęli dokonywać regularnych wpłat na partie opozycji demokratycznej. To jest właśnie jeden ze środków, który może pozwolić na przebicie barier komunikacyjnych oraz wyposażyć opozycyjne partie w narzędzia niezbędne w czasie kampanii.

PIS dysponuje potężnymi środkami na kampanię wyborczą. Do tego na różne sposoby będą mu pomagały spółki Skarbu Państwa

oraz kontrolowane przez państwo fundacje i inne podmioty. A na dodatek wielu prezesów, członków zarządu i rad nadzorczych będzie cały czas okazywało finansową „wdzięczność” za dobrze płatne posady.

Partie opozycji demokratycznej mają subwencje budżetowe (z wyjątkiem Polski 2050). Natomiast powinny w tej wyjątkowej sytuacji liczyć również na obywateli. Drobna wpłata na konto partii powinna być aktem inwestycji w demokrację. Powinna być wyrazem zaufania, że partie najlepiej wiedzą, jak wykorzystać zebrane środki – na badania, promocję w mediach społecznościowych, billboardy, spoty, spotkania z wyborcami, prace programowe. Słowem – na wszystko to, co może przybliżyć do pokonania trudnego przeciwnika. Jeśli na wpłaty zdecydować się wielu obywateli, to może powstać masa krytyczna pozwalająca na lepszą konkurencję.

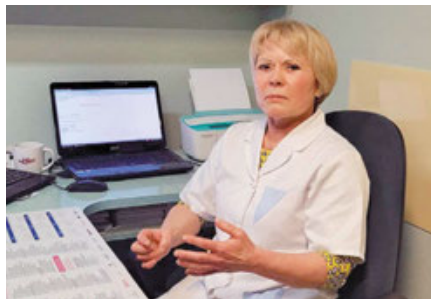
Do propozycji red. Zakrzewskiego chciałbym dołożyć jedną cegiełkę. Obywatele mogliby poprzez swoje wpłaty wyrazić przekonanie, jak ważna jest dla nich jedność opozycji. Cztery równoległe wpłaty po 5, 10, 50, 100, 500 zł (w zależności od zasobności portfela) na cztery różne partie/bloki (Lewica, Polska 2050, PSL oraz PO) byłyby wyrazem poparcia dla czterech fundamentów przyszłych demokratycznych rządów. Myślę, że na takie pryncypia zgodziłyby się wszystkie wspomniane partie: 1. praworządność i przestrzeganie praw człowieka, 2. lojalne członkostwo w UE, 3. niezależne samorządy lokalne, 4. zdrowe i przejrzyste finanse publiczne.

Pewnie trudno marzyć o wspólnej liście opozycji. Ale być może obywatelska inwestycja w demokrację zachęci liderów partyjnych do zbudowania wspólnego programu. To sugerował Marcin Świącicki w listopadzie 2022 r. na łamach „GW”. Jego pomysł jest wciąż aktualny, ale może potrzebuje wzmocnienia z portfeli obywateli. Drogi Obywatelu, zrobiłem już cztery przelewy. A Ty?

Kto i po co przeglądał dokumenty pacjentek ginekolożki ze Szczecina

Nie wiemy, na jakim etapie jest śledztwo oraz co się w nim dzieje. Poprosiliśmy o pomoc RPO – mówi pełnomocnik dr **Marii Kubisy**, ginekolożki ze Szczecina, Rafał Gawęcki. Agencji CBA na początku stycznia weszli do prywatnego gabinetu Kubisy, zabrali karty medyczne pacjentek i historie ich chorób od 1996 r. – dane wrażliwe kilkunastu tysięcy osób, które były w ciąży, ronily, chorowały. Akcja była zaskoczeniem dla lekarki, a sposób jej przeprowadzenia sprawiał wrażenie, jakby właśnie zamykano w pośpiechu nielegalną działalność. Zabezpieczono prywatny telefon ginekolożki i jej notesy. Pacjentki dr Kubisy całą sytuację nazwały „aresztowaniem kart medycznych”.

Rzecznik Prokuratury Regionalnej w Szczecinie Marcin Lorenc tłumaczy, że zabezpieczenie dokumentów miało związek z „postępowaniem dotyczącym pomocnictwa w usunięciu ciąży, a także pomocy w pozyskaniu leków, które nie uzyskały atestu na terenie Polski”. Miało chodzić o „środek poronny”. – *Działanie prokuratury jest absurdalne w kontekście tego, czego dotyczyło postępowanie: prokurator domagał*



się wydania akt wyłącznie jednej pacjentki. A ostatecznie zażądał i przejrzał dokumentację medyczną wszystkich pacjentek z ostatnich prawie 30 lat. Niedorzeczne – mówi mec. Gawęcki. Żeby wszcząć postępowanie, prokuratura musi mieć uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa – czyli konkretne zawiadomienie. Nie dotyczy ono wszystkich pacjentek dr Kubisy.

Mimo rozpoczętego tak spektakularnego i trwającego już trzy miesiące śledztwa, nikomu nie postawiono zarzutów. Jak przyznała na antenie TOK FM

mec. Agnieszka Stach, prawniczka reprezentująca pacjentki, których dokumentacja była przytrzymywana przez CBA, pokrzywdzone kobiety nie uzyskały od organów ścigania żadnych konkretnych informacji dotyczących śledztwa; o wszystkim dowiadują się z mediów. Ich dokumentację medyczną zwrócono dopiero po dwóch miesiącach od akcji CBA, ale swoich notesów i telefonu dr Kubisa nie odzyskała.

Szczecińskie śledztwo objął młody prokurator Mateusz Hawrus (rocznik 1988), absolwent Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, nadzorowanej przez Ministerstwo Sprawiedliwości, a więc podległej Zbigniewowi Ziobrze. Czy szukuje nam się kolejny, po Justynie Wydrzyńskiej, proces o pigułkę? – *Tego nie wiemy, ale na pewno można zaobserwować zupełnie inne podejście ginekologów do zawodu. Każdy lekarz dziesięć razy się zastanowi nawet nad standardowym postępowaniem – przyznaje prawnik szczecińskiej ginekolożki. Dr Maria Kubisa po wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej w październiku 2020 r. zrezygnowała z prowadzenia ciąży. Nie tylko zresztą ona. (AGSZCZ)*

Nuklearne zwidy Łukaszenki

Już wszystko jasne. Zachód, na czele z Polską i USA, szykuje się do napaści na Białoruś. Do ataku przygotowywane są konkretne amerykańskie jednostki, Polska się zbroi, a Ukraina szkoli bojowników. Przywódca narodu nie ma wyjścia i musi prosić Rosję o ponowne rozmieszczenie broni jądrowej na terytorium swego kraju. Tak Aleksandr Łukaszenka tłumaczył powody nuklearyzacji Białorusi, która w jego wizji ma być pierwszą linią obrony ruskiego miru przed domniemanymi zachodnimi wrogami. Do tej obrony służyć ma nie tylko taktyczna, ale i strategiczna broń jądrowa – choć tych ambicji Łukaszenki Kreml na razie nie potwierdza. Z Mińska i Moskwy słychać jednak podobne wojenne werble. Władimir Putin właśnie zatwierdził nową, agresywną doktrynę polityki zagranicznej, która sankcjonuje na papierze jego politykę podbojów w arbitralnie wyznaczonej strefie wpływów. Publikacja dokumentu zbiegła się z objęciem przewodnictwa w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, które przez miesiąc da Rosji globalną platformę propagandową. Ale gdy połączyć zapisaną w doktrynie możliwość prewencyjnego użycia sił zbrojnych do zapobieżenia atakowi na Rosję i jej sojuszników z wywodami

Łukaszenki i zapowiedzią rozmieszczenia broni nuklearnej na Białorusi, robi się bardzo niebezpiecznie.

Nowy blok wschodni wydaje się bardziej agresywny niż ten z zimnej wojny, a z Zachodem już nie łączą go porozumienia rozbrojeniowe jak za czasów ZSRR. Paradoksem tej sytuacji jest to, że niedawne obawy o sojusz chińsko-rosyjski przerodziły się w nadzieję powstrzymania nuklearnych planów Putina i Łukaszenki, gdy z Pekinu popłynął sygnał, iż nie podobają się Xi Jinpingowi. Wizyta w Pekinie unijnych polityków, Emmanuela Macrona i Ursuli von der Leyen, może być próbą przekonania smoka, by powstrzymał niedźwiedzia. Rosja nadal nie dostała od Chin broni, co według Waszyngtonu skłoniło ją do zaoferowania Korei Północnej żywności w zamian za amunicję i rakiety. Konkretniej umowy na razie nie ma, bo nikt jej nie podpisze bez chińskiego przyzwolenia.

Te kombinacje najmniej obchodzą ukraińską armię, która intensywnie trenuje duże formacje uzbrojone w zachodni sprzęt pancerny. Pierwsze Challengery i Leopardy dają Ukraińcom poczucie siły i przewagi. Europa obiecała sześć batalionów zachodnich czołgów, sama Polska przekazała ich już ponad trzysta. Właśnie tyle, ile generał Waleryj Żaluzny miał potrzebować do ofensywy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Finlandia w prawo

Wybory były zacięte, ale nie podzieliły społeczeństwa. Sondaże trafnie typowały, że trzy największe partie powiększą liczbę mandatów, a średniacy zaliczą dotkliwie porażki. Od Bożego Narodzenia podpowiadały, że wygra centroprawicowa Partia Koalicji Narodowej. Zapowiadały też sukces narodowo-populistycznej Partii Finów, jak przy poprzednim głosowaniu wiceliderki wyścigu, teraz z najlepszym wynikiem



w historii. Przewidywały kłopoty socjaldemokracji i walkę o przetrwanie premierki Sanny Marin, z racji młodego wieku i przebojowości ulubienicy światowych mediów. Co prawda jej ugrupowanie poradziło sobie lepiej niż w 2019 r., ale przez straty trójki koalicjantów – 17 mandatów przepłynęło do dotychczasowej opozycji – to lider zwycięzców po Świętach Wielkanocnych spróbuje poskładać nową większość w dwuosobowym fińskim parlamencie, czyli Eduskuncie.

Petteri Orpo jest zaprzeczeniem Marin. Nie ma jej charyzmy, od ponad dwóch dekad cierpliwie kolekcjonuje stanowiska, był m.in. ministrem w kilku resortach i wicepremierem. Jego rząd powinien reprezentować liberalne centrum w duchu Europejskiej Partii Ludowej. O ile powstanie. Finowie za swoją narodową cnotę uważają zdolność do zawierania kompromisów, koniecznych m.in. na rozdrobnionej scenie politycznej. Jednak tym razem pole manewru zostało zawężone licznymi deklaracjami o tym, kto z kim jest w stanie się dogadać, a z kim nie. Kraj skręca w prawo, nie wiadomo tylko,

jak bardzo. W grę wchodzi np. przymierze Orpo i Marin, ale potrzebują jeszcze choćby Zielonych, mających wyśrubowane oczekiwania w sprawach klimatu i ochrony przyrody. Na dodatek Marin, reprezentująca lewe skrzydło socjaldemokracji, może nie przystać na dotkliwie cięcia w wydatkach państwowych zapowiadanych przez Orpo. Równie możliwa jest jego umowa z kierowaną przez Riikkę Purrę Partią Finów oraz Chrześcijańskimi Demokratami.

Mieszkańcy najszcześliwszego kraju świata zagłosowali przeciw polityce gabinetu Marin. W debatach spierano się o stan służby zdrowia, finansów państwa, zakres ochrony lasów, niedobory siły roboczej, poziom zadłużenia, wysokość podatków i środki na usługi publiczne świadczone przez fińskie państwo. Nadal opiekuńcze, choć uboższe niż nordyckie sąsiedzi. Na dalszy plan zeszyły kwestie migracyjne i tożsamościowe, łatwo ustalono wspólny front w sprawach Rosji. Żadnej roli w kampanii nie odegrało też pewne już członkostwo w NATO.

Oskarżony Trump

Bezprecedensową decyzję Grand Jury i prokuratora Alvina Bragga w Nowym Jorku, by postawić kryminalne zarzuty Donaldowi Trumpowi, co nie spotkało dotąd żadnego byłego amerykańskiego prezydenta, można by uznać za triumf sprawiedliwości: nikt nie stoi ponad prawem. Trumpa nie oskarżono jednak o podżeganie do insurekcji, by nie dopuścić do władzy Joe Bidena, o naciski na rząd stanowy w Georgii, aby sfałszował wyniki wyborów, o blokowanie śledztwa w sprawie kontaktów z Rosją, ani zabranie z Białego Domu tajnych dokumentów i przechowywanie ich we florydzkiej rezydencji Mar-a-Lago. Oskarżenie dotyczy sprawy w porównaniu z powyższymi trywialnej – zapłacenia 130 tys. dol. pornoaktorce, aby przed wyborami w 2016 r. nie ujawniła seksu z żonatym Trumpem. Transakcję miano zaksięgować jako wydatek na kampanię wyborczą, co naruszałoby przepisy o jej finansowaniu i oznaczało fałszowanie dokumentów biznesowych (dokładne zarzuty zostaną przedstawione 4 kwietnia, po zamknięciu tego numeru).

Oskarżenie Trumpa porównuje się do postawienia przed sądem Ala Capone za uchylanie się od płacenia podatków, ale proces gangstera był łatwy do wygrania, bo dowodów nie brakowało. Sprawa Trumpa o „okup za milczenie” jest bardziej kontrowersyjna i trudniejsza do uzyskania wyroku: winny. Prokurator Bragg wahał się z zarzutami, ale zdecydował się je postawić, bo obiecał to swym wyborcom (większość prokuratorów lokalnych i stanowych w USA jest wybierana), część zarzutów dotyczy prawa federalnego, więc krytycy podważają jurysdykcję Bragga, a koronnym świadkiem jest były osobisty adwokat Trumpa, Michael Cohen, przyłapany kiedyś na kłamstwach.

Prawne powikłania i słabości sprawy ułatwiają Trumpowi i Republikanom frontalną ofensywę przeciw Braggowi jako marionetce Bidena i Demokratów. To polityczne polowanie na czarownicę! – głoszą chórem politycy z trumpistycznej falangi MAGA i z mainstreamu partii, w tym nawet jego rywale w wyborach w 2024 r. Jeśli prokuratura: federalna i w Georgii oskarżą Trumpa o próbę puczu, albo fałszowania wyborów, lub jeśli w Nowym Jorku zapadnie werdykt skazujący, ciężar jego prawnych kłopotów, lub etykieta „skazanego przestępcy”, mogą mu zaszkodzić w walce o nominację do Białego Domu, na czym skorzysta jego główny konkurent Ron DeSantis. Na razie jednak notowania byłego prezydenta jako politycznego męczennika poszły w górę, donacje na jego kampanię wzrosły, a Republikanie zyskali motywację do zwierania szeregów.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Szkot z Pendżabu

Szkocja ma nowego premiera. **Humza Yousaf** (ur. 1985 r.) pokonał w wewnętrznych wyborach lidera Szkockiej Partii Narodowej (SNP) i dwie rywalki. Głosowanie odbyło się głównie drogą elektroniczną. Yousaf wygrał o włos z młodszą od niego Kate Forbes, konserwatywną kalwinistką. Tuż po zwycięstwie ogłosił skład swego gabinetu. Większość mają w nim kobiety. Dziadkowie Yousafa przybyli do Szkocji z Pendżabu ponad 60 lat temu. Nowy premier Szkocji studiował politologię, wstąpił do SNP prawie 20 lat temu, piął się po szczeblach kariery. Jako minister krajowego rządu zmieniał teczki i był krytykowany. Przeprowadzona przez niego ustawa przeciwko mowie nienawiści nie spodobała się obrońcom wolności słowa jako zbyt restrykcyjna. Muzułmanin, czuje się dumny, że jest Szkotem i Europejczykiem. Chce niepodległości Szkocji i jej powrotu do UE. Twierdzi, że tak się stanie za jego pokolenia.



Zapowiada, że jego rząd będzie realizował politykę progresywną społecznie.

Jest pierwszym przywódcą szkockim z azjatyckimi korzeniami.

To go łączy z premierem Wielkiej Brytanii Rishim Sunakiem i premierem Republiki Irlandzkiej Leo Varadkarem. Ta zbieżność nie oznacza jednak nic więcej niż wspólny element biograficzny. Yousaf jest politykiem lewicowym, Sunak konserwatywnym, Varadkar liberalnym. Niemniej jednak można mówić o kulturowej zmianie na szczytach polityki na Wyspach Brytyjskich i na irlandzkiej Zielonej Wyspie. W Londynie patrzą na Yousafa z rezerwą. Zwolennicy torysów uważają, że unii brytyjskiej rychły rozpad raczej nie grozi. Ich zdaniem radykalny lider Szkocji raczej ją wzmocni, bo nie wykazał się dotąd wybitnym talentem przywódczym i sprawczością w rządzeniu. W połowie marca za opuszczeniem przez Szkocję Zjednoczonego Królestwa było 39 proc. respondentów, za pozostaniem 47 proc. Kate Forbes zrezygnowała z udziału w rządzie Yousafa.

Netanjahu poczeka

Pod presją jednych z największych protestów w historii Izraela prawicowy rząd Beniamina Netanjahu przełożył przyjęcie kontrowersyjnego pakietu ustaw sądowniczych. Demonstracje, które w zeszłym tygodniu niemal sparaliżowały kraj, jednak nie wygasły, a ich liderzy przekonują, że nie można już ufać Netanjahu, którego rząd zależy od poparcia ekstremalnej prawicy. Świadczyć ma o tym m.in. zgoda rządu na utworzenie Gwardii Narodowej, podległej ministrowi bezpieczeństwa, radykalnemu osadnikowi Itamarowi Ben-Gwirowi, która – obok policji i wojska – ma służyć tłumieniu demonstracji, ale krytycy już nazywają nową formacją „prywatną armią ministra”. W zamian Ben-Gwir miał się zgodzić na opóźnienie ustaw sądowniczych.

Ten pakiet ustaw sprowadza się do przejęcia przez rząd kontroli nad komitetem

wybierającym sędziów i de facto pozbawia Sąd Najwyższy (SN) prawa do oceny zgodności nowych ustaw z systemem prawnym państwa. Przeciwnicy Netanjahu alarmują, że realizacja tych planów zakończy niezależność sądownictwa. Kneset najwcześniej wróci do tej sprawy pod koniec kwietnia.

Propozycje sądowe Netanjahu wywołały ostrą reakcję Białego Domu. Izrael jest najbliższym sojusznikiem Ameryki w regionie, ale bliskość Netanjahu i Donalda Trumpa sprawiła, że obecna administracja sceptycznie podchodzi do nowego rządu Izraela. Już wcześniej Joe Biden był wyraźnie poirytowany izraelskimi próbami zablokowania powrotu do umowy nuklearnej z Iranem. Teraz w sprawie ustaw sądowniczych prezydent USA mówi już wprost o Izraelczykach: „Nie mogą pójść tą drogą”. Netanjahu ostro zaoponował, że nie będzie podejmował decyzji „na podstawie presji z zagranicy, nawet jeśli pochodzi od najlepszych przyjaciół”.



Wstrząśnięci i niezmiészani

Tegoroczną Wielkanoc wyborcy opozycji spędzają bez pewności politycznego zmartwychwstania. Pesymizm ściera się z nadzieją na cud. Pytanie, czy ten cud da się jeszcze zorganizować.

O

CEZARY MICHALSKI

opozycja miała cztery lata, żeby wyciągnąć wnioski z wyniku parlamentarnych wybo-

rów 2019 r. Wygrała wówczas tam, gdzie poszła zjednoczona, czyli w Senacie. Przegrała tam, gdzie poszła na trzech listach (tylko dlatego, że Hołowni jeszcze nie było), czyli w Sejmie.

Minęły też niemal dwa lata od politycznego powrotu Tuska. Miały być wykorzystane albo na samodzielne prześcignięcie PiS przez PO/KO w sondażach, a w konsekwencji wchłonięcie przez Platformę reszty wyborców opozycji spragnionych jednoznacznego zwycięstwa (ciche marzenie Tuska, Sienkiewicza i Ostachowicza), albo na zbudowanie realnej koalicji (czemu przeszkodziły obawy Hołowni i PSL oraz niekończąca się pragmatyczna licytacja Czarzastego).

Żaden scenariusz zjednoczenia lub choćby lojalnej współpracy jeszcze nie wypalił. Nawet w Sejmie opozycja głosuje w różny sposób, czasem przeciw sobie, począwszy od KPO, a skończywszy na pisowskiej rezolucji „broniącej papieża”. Radykalna lewica Zandberga wciąż za swój polityczny priorytet uważa „dojeżdżanie libków”. Hołownia i PSL szansę na przetrwanie widzą w dystansowaniu się od Donalda Tuska. A najbardziej postępowi liderzy i liderki opozycyjnej opinii publicznej, występując w mediach, atakują Hołownię i PSL za ich „klerykalne wstecznictwo”. I oświadczają, że nie poprą żadnych bardziej konserwatywnych kandydatów wystawionych wspólnie przez opozycję w wyborach do Senatu.

Jeszcze jesienią ubiegłego roku oszukiwaliśmy się, mówiąc, że opozycja ma czas do wiosny i na pewno ten czas wykorzysta. Podczas gdy Kaczyński politycznie nie przetrwa drożyny i zimy. Jest już Wielkanoc, a nie ma ani wspólnej listy, ani nawet decyzji, jak mogłoby wyglądać minimalizowanie strat



ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

OBYWATEL JANEK

wynikających z podziału. Dwie listy zamiast czterech, umowa programowa lub przynajmniej pakt nieagresji – żaden z tych scenariuszy nie jest jeszcze gotowy, choć czasu do wyborów mamy coraz mniej. Stan ducha jest marny.

Źle, ale dobrze

O nastrojach Polaków najwięcej mówią dwa niedawne sondaże. W badaniu przeprowadzonym przez United Surveys w zwycięstwo opozycji w najbliższych wyborach zaledwie 27 proc. Polaków, podczas gdy sukces PiS obstawia 52 proc. W zwycięstwo swojej partii wierzy niemal cały elektorat PiS, w zwycięstwo opozycji nie wierzy znaczna część sympatyków PO, a w jeszcze większym stopniu – Hołowni, Lewicy, PSL. A jednak – mimo konsolidacji sondażowego poparcia dla PiS i nieco gorszych wyników mniejszych opozycyjnych partii – nadal większość Polaków nie chce formacji Kaczyńskiego u władzy przez trzecią kadencję. Polski paradoks: większość Polaków popiera opozycję, ale nie sądzi, że opozycji uda się zdobyć większość i Kaczyńskiego od władzy odsunąć. Takie przewidywanie ostatecznego wyniku w oczywisty sposób może się przełożyć na mobilizację lub apatię wyborców.

Drugi ciekawy sondaż, przeprowadzony przez UCE Research dla Business Insider Polska, dotyczy wyborczych priorytetów Polaków. Na pierwszym miejscu jest „inflacja, drożyzna”, czyli coś, co powinno notowania obozu władzy obniżyć. W lutym inflacja w Polsce wyniosła 18,4 proc. (w marcu wciąż ponad 16 proc.). W porównaniu z przeciętną w całej Unii Europejskiej (ok. 10 proc.) oznacza to niemal dwukrotne przebicie. W Niemczech, podciętych cenami energii i koniecznością skokowego przeorientowania się z rosyjskiego gazu i ropy na bardziej zróżnicowane źródła surowców, w lutym inflacja wyniosła 8,7 proc. We Francji rozrywanej protestami 6,2 proc. Nawet Wielka Brytania rzucona na kolana przez brexit miała w lutym wskaźnik inflacji w okolicach 10 proc. Także różnica pomiędzy wysokością stóp procentowych (najważniejszym narzędziem, jakim państwo może się posłużyć do zwalczania inflacji), zamrożonych od wielu miesięcy decyzją Głapińskiego i Kaczyńskiego, a poziomem inflacji jest w Polsce znów o połowę wyższa niż średnio w całej UE i w całej Europie. Gorszą od nas dyscyplinę fiskalną ma Turcja, ale w tym obszarze nawet PiS nie chciałoby się chwalić drugą Ankarą nad Wisłą.

Nasza władza ma wysoką inflację, bo w roku wyborczym chce ją mieć. Dlaczego?

Wróćmy znów do sondażu UCE Research. Drugie i trzecie miejsce na liście priorytetów wyborczych Polaków zajmują odpowiedzi dotyczące „ochrony przed drożyzną” (na drugim „ochrona przed drożyzną w sklepach”, na trzecim „ochrona przed wzrostem cen energii elektrycznej i paliw”). Taki układ priorytetów wyborczych pozwala rządzącym patrzeć na wzrost cen spokojnie. Piarowcy władzy już przerzucają odpowiedzialność za drożyznę na Rosjan, Unię Europejską, na „Tuska, który rządził Polską przez osiem lat” (osiem lat temu), podczas gdy wszystkie dopłaty, zonglowanie wysokością podatków i cen (np. utrzymywanie przez Orlen wysokich cen paliw i marż przez większą część 2022 r., żeby z fanfarami obniżyć je wraz z początkiem wyborczego roku), wszystko to ma iść na konto władzy.

Jednocześnie władza triumfalnie ogłasza jako swój sukces 15-procentowy wzrost średniej pensji (co przy obecnej inflacji oznacza spadek dochodów realnych). Podobnie z emeryturami

i wszelkimi możliwymi osłonami i nadzwyczajnymi darami wyborczego roku.

Więś zbuntowała się przeciwko PiS, jednak na razie nie wpływa to ani na podniesienie notowań opozycji (choćby PSL), ani na spadek notowań obozu władzy. Po pierwsze dlatego, że „mieszkańcy wsi” są pojęciem zbyt ogólnym. Polska wieś dzieli się z jednej strony na rolników, farmerów, którzy żyją z produkcji, często także na eksport. Ich ceny nawozów czy konkurencja ze strony ukraińskiego zboża doprowadziły na skraj bankructwa. Pozostali „mieszkańcy wsi” (a jest ich większość) to właściciele małych „samowystarczalnych” rodzinnych gospodarstw, których wysoką liczbę w Polsce paradoksalnie zamroziły unijne dotacje, ludzie wciąż żyjący życiem dawnych chłoporobotników, emeryci, a także ludzie bez jakiegokolwiek własności i stałego zajęcia. Ta druga, o wiele liczniejsza, grupa jest całkowicie zależna od socjalnych transferów. To do niej swoje kampanijne „dary” adresuje PiS.

Po drugie, bunt wsi przeciwko PiS wieś wymierzonego nieformalną zgodę polskich elit w stosunku do Ukrainy. Nawet jeśli gniewu rolników nie spowodowali wcale Ukraińcy, tylko niezdolność poradzenia sobie pisowskiego państwa z cenami nawozów czy napływem zboża, którego Ukraińcy nie mają gdzie sprzedać, to i tak wygrywa wyjaśnienie prostsze: winna jest Ukraina „zalewająca Polskę” tanimi produktami, winni są Ukraińcy „zabierający Polakom” świadczenia i miejsca w szpitalach czy szkołach. No i oczywiście winne są „elity” (PiS, PO), które nic z tym nie robią, nie chcą o tym ukraińskim zagrożeniu nawet mówić w „swoich” mediach, obojętnie – w TVP czy TVN.

Zarówno na wsi, jak i w miastach (szczególnie wśród wiejskiej i miejskiej „częściowo zmodernizowanej” młodzieży) ten bunt wzmacnia antyliberalną, antyeuropejską, antyzachodnią pravicę. Nawet jeśli jedno jej skrzydło (Konfederację) przeciwko drugiemu (PiS), to korzysta na tym także obóz rządzący, bo w jego szeregach ów „niepoprawny politycznie” język plemiennego lęku swobodnie reprezentują Zbigniew Ziobro i jego ludzie, którzy przecież ostatecznie znajdują się na tzw. biorących miejscach wyborczych list Zjednoczonej Prawicy.

Konfederacja może się okazać przykrą niespodzianką tegorocznej kampanii wyborczej. Wśród najmłodszych (lubiących radykalizm i „świeżość”) wyborców Sławomir Mentzen znokautował zarówno Szymona Hołownię, jak i Adriana Zandberga. Najmłodszych uczestników masowych protestów przeciwko zastrzeniu prawa aborcyjnego zdemobilizowała porażka. Środowiska feministyczne – rozrywane wzajemnymi zarzutami o „dziaderstwo” i mobbing – nie zdołały nawet zorganizować 8 marca Manify w Warszawie.

Jeśli znów odwołać się do sondażu, tym razem przeprowadzonego przez Ipsos dla OKO.press i TOK FM, pewnością udziału w najbliższych wyborach deklaruje 83 proc. wyborców powyżej 70. roku życia i tylko 39 proc. 20-latków. W dodatku to wśród najstarszych wyborców PiS ma najwyższe poparcie (57 proc.), podczas gdy wśród najmłodszych rośnie poparcie dla Konfederacji.

W ten sposób na zmiennika dla nostalgicznej etatystycznej prawicy Jarosława Kaczyńskiego wyrasta fundamentalistyczno-libertariańska prawica Sławomira Mentzena.

Czas obywatela Piszczyka

Tam, gdzie słabnie nadzieja, kwitnie oportunistyczny. Tak jak niewiara w zwycięstwo może zdemobilizować wyborców opozycji, tak wiara w zwycięstwo sprawia, że ludzie z obozu władzy nie mają już żadnych hamulców. Przyspiesza proces uwłaszczania się rządzących na publicznych pieniądzach, kolejne zmiany ▶



► prawa wyborczego otwierają drogę do wyborczych fałszerstw i manipulacji.

Jarosław Kaczyński zawsze uważał, że Polską będzie trwale rządził tylko ten, kto przekona do siebie obywatela Piszczyka – wzorcowego oportunistę, bohatera genialnego filmu Andrzeja Munka „Zezowate szczęście”. Prawicowi czy lewicowi radykałowie, nawet poczciwi inteligenci – wszyscy oni nadają się do ulicznych zadym, do „kampanii oburzenia”, do budowania „twardego elektoratu”. Ale rządzić się nimi nie da. Zbyt chimeryczni, nieufni, ale przede wszystkim jest ich za mało i za bardzo denerwują masy złożone ze zwykłych oportunistów.

Dlatego Kaczyńskiemu zawsze marzyła się taka „dekominizacja”, która pozwoli mu odtworzyć, budowaną na oportunistach i karierowiczach, strukturę peerelowskiego państwa.

Problem w tym, że Piszczyki są płochliwe. Wciąż niepewni, kto będzie rządził jutro, gdzie rodzi się najbardziej aktualny trend, na co się orientować. Czy już można zapisać się do Solidarności, czy lepiej potrzymać jeszcze w kieszeni legitymację PZPR? Czy PiS rzeczywiście będzie rządził trzecią kadencję, czy warto mieć parę furetek uchylonych w stronę PO?

Piszczyka znajdziemy nie tylko w polityce, ale także w biznesie, samorządach, mediach. Polski Ład z jego chaosem podatkowym, subwencje i tarcze przyznawane przez władzę uznaniowo „swoim” – to wszystko są narzędzia adresowane do dzisiejszych Piszczyków. Finansowy szantaż cofnięciem rządowych subwencji zablokował bunt przeciw PiS ze strony części dolnośląskich samorządowców. Można to nazwać metodą Morawieckiego/Dworczyka. Polega ona na niszczeniu własnych źródeł finansowania samorządów, zastępowaniu ich uznaniowymi subwencjami rządu oferowanymi tym samorządowcom, którzy przejdą na stronę władzy, gdyż w przeciwnym razie ryzykują albo bankructwo i zarząd komisaryczny, albo cięcia inwestycji i usług publicznych, skutkujące niechęcią lokalnych wyborców.

W dotychczasowych wyborach większość polskich przedsiębiorców głosowała przeciwko PiS. Oni wiedzą najlepiej, że pieniądze na polityczną korupcję władza wzięła nie z „mafii watowskich”, ale dociskając podatkowo zwykłe polskie firmy. Stąd zapaść w polskich inwestycjach prywatnych. Ale ten opór wobec PiS dotyczy tylko drobnego i średniego biznesu. Wielki biznes jest zawsze i wszędzie zależny od władzy – od zamówień publicznych, od decyzji i regulacji państwa. Tu pokazowe zniszczenie przez PiS biznesu i wizerunku Leszka Czarneckiego ma być przykładem, że – jak mawiano w marcu 1968 – „kto nie z Miciem (wówczas chodziło o wszechmocnego szefa MSW Mieczysława Moczarą), tego zmieciem”.

A media? Dla mnie klasycznym, wzorcowym obywatelem Piszczykiem w polskich mediach jest Krzysztof Ziemięć. Do 2015 r. ulubieniec ludzi Bronisława Komorowskiego, którego był fanem. Katolicki i konserwatywny, ale na sposób „konserwatywnego skrzydła PO”. Od kiedy PiS przejął telewizję publiczną, Ziemięć czyta komunikaty rządu podpisane „paskami grozy” i płaszczy się w wywiadach z liderami obozu władzy. Pozostanie wierny PiS tak długo, dopóki będzie wierzył, że to ugrupowanie zachowa władzę. Na razie on i setki innych pracowników „mediów publicznych” nie mają powodu, by stracić tę wiarę.

Obywatel Piszczyk w zakończeniu „Zezowatego szczęścia” prosi naczelnika więzienia, aby ten nie kazał mu wychodzić na wolność. Ma dosyć ciągłych zmian okupantów, rządzących, koloru sztandarów. Polityczna skuteczność Jarosława Kaczyńskiego polega na tym, że wszystkim polskim Piszczykom obiecał powrót do wygodnego więzienia. Koniec męcznienia się z obstawianiem wciąż nowych numerów i barw na politycznej ruletce. Ale do tego Kaczyński musiał polskiego Piszczyka przekonać, że PiS będzie w Polsce rządził tak stabilnie i długo jak kiedyś sanacja i PZPR. I że bez sensu jest walka z partią matką. Dlatego często teraz widać u wielu tę charakterystyczną pogodną rezygnację, która może się nawet przekształcić w tzw. poprawę nastrojów społecznych. Skoro opozycja i tak nie ma wygrać, lepiej przyzwyczajać się do tego, co jest, i wyciągać z sytuacji maksymalne korzyści.

Stawka większa niż wybory

Jak przekonać wyborców opozycji, że nie są skazani na klęskę? Jak przekonać polskiego Piszczyka, że PiS wcale nie musi rządzić wiecznie?

Jedna lista lub choćby dwie. W ostateczności trzy, a nie cztery. Zrozumienie, że nie ma wroga na opozycji. Nie trzymają się tej zasady postępowcy coraz gwałtowniej atakujący Hołownię i PSL za „konserwatywnym”. Chodzi tu głównie o propozycję przywrócenia po zwycięstwie nad Kaczyńskim podeptanego przez niego cynicznie kompromisu aborcyjnego, jako

tymczasowego rozwiązania pozwalającego przygotować referendum w sprawie aborcji.

Niezależnie od różnic stanowisk co do aborcyjnego referendum Hołownia i PSL nie mogą być dla zwolenników PO czy Lewicy wrogami, skoro chce się z nimi współrządzić. Podobnie zresztą jak dla zwolenników PSL, Hołowni czy najbardziej nawet radykalnej lewicy wrogiem nie może być Tusk, skoro chce się wraz z nim odsunąć od władzy Kaczyńskiego i jego żarłoczną kompanię. Opozycja – bez względu na to, w jakim szyku pójdzie do wyborów – powinna w najbardziej optymistycznym wariantcie wypracować i podpisać minimalne porozumienie programowe, a w najmniej optymistycznym chociażby pakt o nieagresji.

Na razie wszystkie nadzieje, wątpliwości, taktyczne pomysły podmywa i zatrzuwa lęk, czy czasem przystąpi Polska do liberalizmu, z modernizacją w stylu zachodnim, z unijnymi normami i wartościami już się nie skończyła. I to bez względu na to, czy formalnie będziemy w UE jak Węgry Orbána, czy w NATO jak Turcja Erdoğan. Czy nie przechyliliśmy się na drugą stronę nowego berlińskiego muru, wracając do świata, gdzie po dłuższych lub krótszych okresach liberalnej „smuty” zatriumfowały i społecznie osadziły się różne wersje „nieoliberalnej demokracji”.

Oportunizm sprzyja takiej klęsce, sprzyja jej demobilizacja, sprzyjają błędy czy krótkowzroczność politycznych liderów. Jednak obywatel Piszczyk kończył swoje życie oportunistą w epoce bez żadnego wyboru, w kraju, którego losy rozstrzygnęły się w Poczdamie i Jałcie. Dlatego opozycja musi przekonać swoich potencjalnych zwolenników, że wybór istnieje.

Nastąpiło w kraju jakieś specyficzne zamieszanie w nastrojach, znużenie, osłabienie nadziei na powrót demokracji i praworządności. Jest jeszcze czas, aby te nastroje odwrócić, ale nie ma go już dużo.

CEZARY MICHALSKI

Opozycja musi przekonać swoich potencjalnych zwolenników, że nie warto godzić się na ustrojową bylejąkość.





YES

KOLEKCJA ŚLUBNA

Dzin już wyleciał



ILUSTRACJA MARTA FREJ

Prof. Przemysław Kazienko, informatyk z Politechniki Wrocławskiej, o tym, że programy takie jak ChatGPT stają się naprawdę inteligentne. I że wybuchła rewolucja o nieprzewidywalnych skutkach.

MARCIN ROTKIEWICZ: – „Wykazuje cechy tzw. ogólnej sztucznej inteligencji [o możliwościach analogicznych do ludzkiego mózgu – przyp. MR]. Świadczą o tym jego podstawowe zdolności umysłowe (takie jak wnioskowanie, kreatywność i dedukcja) oraz zakres tematów, w których zdobył wiedzę (takich jak literatura, medycyna czy programowanie komputerowe). A także różnorodność zadań, które jest w stanie wykonywać, np. grać w gry, wyjaśniać własne działania”.

To fragment najnowszej publikacji naukowców z Microsoftu, którzy poddali licznym testom słynny ChatGPT-4.

Mamy przełom w tworzeniu sztucznej inteligencji?

PRZEMYSŁAW KAZIENKO: – Badając jeszcze poprzednią, mniej zaawansowaną wersję tego programu, miałem wrażenie, że nie jest to tylko bezwolna maszyna, która zupełnie nie wie, o co chodzi w tym, co robi. Przeciwnie, ona zaczyna wiedzieć.

W jakim sensie?!

ChatGPT potrafi m.in. odkrywać reguły matematyczne, których go nie uczono. Na przykład na podstawie tego, że $2 + 2 = 4$, a $3 + 7 = 10$, umie wywnioskować zasady dodawania. A dzięki temu rozwiązywać bardziej złożone zadania matematyczne. Niedawno było zaś głośno o wymyśleniu nowego rodzaju emocji. ChatGPT pokazał, jak powinna ona wyglądać na obrazkach, jak wyrażać się w dźwiękach oraz jak należałoby ją rozumieć. To, co tego typu programy tworzą, już przypomina rezultaty abstrakcyjnego myślenia.

Brzmi naprawdę sensacyjnie, ale zanim o to pana dopytam, poprosiłbym o przystępne wyjaśnienie, na jakiej zasadzie działają programy takie jak ChatGPT.

To tzw. modele językowe. Co to znaczy? Wrzuca się do nich treści językowe, czyli np. całą Wikipedię, wiadomości z portali czy serwisów typu Twitter, jak również wersje cyfrowe książek. W przypadku modelu GPT-3, który był podstawą dla ChatGPT, wykorzystano 45 terabajtów samych danych tekstowych (jeden terabajt to odpowiednik mniej więcej pół miliona ebooków). Były to ogólnie dostępne dane z internetu zgromadzone przez organizację non profit Common Crawl w 2021 r. Kolejna wersja, czyli GPT-4, wykorzystuje już nowsze zasoby, więc jego „wiedza” jest aktualniejsza.

Co się dzieje z tymi danymi?

ChatGPT składa się, w dużym uproszczeniu, z wielu złożonych i połączonych ze sobą warstw sztucznych neuronów, tworzących sieć posiadającą miliardy parametrów. Te parametry obliczane są w trakcie trwającego nawet trzy miesiące trenowania na wspomnianych danych tekstowych. Nie wiemy jednak, jak dokładnie jest zorganizowana architektura tej sieci i jak przebiega proces uczenia, gdyż firma OpenAI – twórca programu – na razie trzyma te informacje w tajemnicy.

Jak tworzy on sensowne i „ludzko” brzmiące zdania, a nawet długie teksty?

W uproszczeniu szacuje, jak trafnie – czyli z wysokim prawdopodobieństwem – dobrać kolejne słowo. Na nieco podobnej zasadzie działają np. programy w telefonach komórkowych, które podpowiadają – kiedy piszemy esemesy czy mejle – jak dokończyć wyraz lub jakie następne słowo najlepiej pasuje w danym miejscu.

Można taki model rozbudowywać dalej, tzn. trenować nie tylko w doborze kolejnych czy sztucznie ukrytych wyrazów, ale dostrajając go do całych zdań, akapitów czy dłuższych tekstów, nawet o objętości książki. ChatGPT uczy się zatem, jak zbudowany jest język w sensie językoznawczym, czyli że poszczególne słowa występują w określonej kolejności w danym kontekście. Aby jednak potrafił on tworzyć ładnie i sensownie brzmiące treści, poproszono zwykłych ludzi o ułożenie właściwych odpowiedzi na potencjalne pytania (przeprowadzono kilkadziesiąt tysięcy takich interakcji). Dodatkowo oceniali oni odpowiedzi generowane przez system. Ten „ludzki wkład” umożliwił doszlifowanie ChatGPT do postaci, jaką znamy. Można więc powiedzieć, że pierwotnie nieokrzesany GPT-3 został nieco uczyłowieczony.



© ARCHIWUM PRYWATNE

Prof. dr hab. **Przemysław Kazienko** pracuje w Katedrze Inteligencji Obliczeniowej Wydziału Informatyki i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej, gdzie zajmuje się m.in. sztuką inteligencją. Jest współautorem ponad 200 prac naukowych,

w tym niedawnej publikacji na temat eksperymentu, w trakcie którego ChatGPT zadano prawie 40 tys. pytań z 25 dziedzin. Naukowcy sprawdzali m.in., jak program reaguje na sarkazm czy rozumie żarty i umie wychwycić szerszy kontekst wypowiedzi.

Czy jego przebliski inteligencji nie są jednak wyłącznie naszym złudzeniem? Ten efekt opisał m.in. Stanisław Lem w eseju pt. „Tajemnica chińskiego pokoju”, w którym omówił eksperyment myślowy polegający na tym, że dostarczamy komuś paczki z chińskimi słowami oraz reguły, jak je łączyć ze sobą. Człowiek może wygenerować sensownie brzmiącą wypowiedź, choć nie będzie jej ni w żąb rozumiał.

Czy to nie jest właśnie istota działania komputerowych modeli językowych?

I tak, i nie. ChatGPT rzeczywiście nie ma takiej wiedzy o świecie, jaką my posiadamy. Człowiek jest bombardowany masą docierających z naszych zmysłów informacji, które przetwarza na pojęcia mające dla nas różne znaczenie. Innymi słowy, wartościujemy napływające dane, żeby m.in. przetrawić – np. naszą uwagę koncentrujemy na słupie na drzewie, by nie rozbić sobie głowy, ale pomijamy w danym momencie setki innych obiektów, które przecież też widzimy. Z rozmowy zaś zapamiętujemy tylko to, co jest dla nas ważne lub inspirujące. Mamy też system wartości, którego maszyna nie posiada. I w tym sensie ChatGPT jest głupi, bo wszystko wrzuca do jednego worka z napisem „informacja”.

Z drugiej strony nie zgodziłbym się z tym, że tego typu program to odpowiednik chińskiego pokoju, czyli wyłącznie beznawny wykonawca zbioru reguł.

Część ekspertów widzi jednak w modelach językowych wyłącznie genialne papugi. Są tak sprawne w naśladowaniu ludzkiego języka, że wydaje nam się, iż posiadły inteligencję podobną do naszej. A mamy przecież dużą skłonność do antropomorfizacji.

Jeszcze kilka lat temu podpisałbym się pod taką oceną. Dziś nie mam już tej pewności i dostrzegam w zaawansowanych modelach językowych iskiereki prawdziwie inteligentnego myślenia.

Jak to możliwe, że program, który potrafi jedynie trafnie dobrać kolejne wyrazy, nagle zaczął przejawiać oznaki inteligencji?

W sumie tego jeszcze do końca nie wiemy, dlatego trudno nam tym sterować i to kontrolować.

ChatGPT potrafi udzielać informacji, które już na pierwszy rzut oka są nieprawdziwe, co zaczęto nazywać „halucynacjami”. Czy inteligentny program komputerowy mógłby się tak łatwo mylić?

Postęp w obszarze SI jest tak wielki, że naprawdę zacieśnia się granica między inteligencją a nieinteligencją. A co się stanie, gdy jeszcze zwiększymy liczbę dostarczanych danych, rozbudujemy modele językowe i dodamy więcej informacji

zwrotnych od użytkowników, czyli wprowadzimy na szerszą skalę element wartościowania? To także jest związane z problemem halucynacji, a ChatGPT potrafi całkiem wiarygodnie „zmyślać”. Jesteśmy jednak dopiero na początku drogi i tego typu błędy będą coraz skuteczniej eliminowane, co pokazuje najnowsza wersja tego programu.

Niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z przebliskami prawdziwej sztucznej inteligencji czy też z systemem wspaniale ją udającym, jego możliwości wydają się ogromne. Czy tego typu programy wywołają rewolucję, np. na miarę opanowania ognia przez naszych przodków?

Rewolucja sztucznej inteligencji już wybuchła i jest raczej nie do zatrzymania. Natomiast nie umiem odpowiedzieć na pytanie o jej skalę – czy będzie porównywalna z wynalezieniem koła, a może ujarzmieniem ognia. Każda rewolucja przebiega tak gwałtownie, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć jej konsekwencji. Czy w 1917 r. ktokolwiek potrafił wyobrazić sobie, że z rosyjskiej rewolucji wyrośnie po latach „żelazna kurtyna”, która podzieli Europę na prawie pół wieku?

Ta nieprzewidywalność sprawia, że wiele osób odczuwa ogromny niepokój związany z rozwojem sztucznej inteligencji. Oglądając w jednej z amerykańskich stacji telewizyjnych wywiad z Samem Altmanem, szefem OpenAI, oraz Mirą Murati, czyli dyrektorką ds. technologii nadzorującą prace nad ChatGPT, miałem wrażenie, że obydwójce są niemal równie podekscytowani, co zaniepokojeni możliwościami ich własnego dzieła.

Trudno się dziwić, bo tych potężnych narzędzi będzie można używać zarówno w dobrych, jak i złych celach. Na przykład do oddziaływania na opinię publiczną perswazyjnymi informacjami, fałszywymi zdjęciami, filmami czy manipulacjami emocjonalnymi.

Amerykanie już się obawiają, że na wybory prezydenckie w 2024 r. będą wpływać programy typu ChatGPT.

Dlatego o to potężne narzędzie toczy się zażarta rywalizacja między USA a Chinami, a właściwie to już cicha wojna. Chodzi m.in. o wykorzystanie potencjału sztucznej inteligencji do celów militarnych, np. kierowania raketami, autonomicznymi pojazdami czy przeprowadzania analiz pola walki. A także wpływanie na opinię publiczną. Stąd blokowanie Chinom dostępu do technologii umożliwiających przetwarzanie ogromnych zbiorów danych. Firmy amerykańskie pracujące nad SI nie dzielą się też żadnymi informacjami z chińskimi, a studenci z Państwa Środka przestali otrzymywać wizy umożliwiające podjęcie nauki na wyższych uczelniach na kierunkach związanych z informatyką.

Rywalizują nie tylko państwa, ale i sektor publiczny z prywatnym. Przy czym ten pierwszy na razie jest bez szans. Niedawno w prestiżowym tygodniku naukowym „Science” ukazał się artykuł o ogromnych dysproporcjach w nakładach finansowych, dostępie do mocy obliczeniowych i baz danych. Te różnice są porażające – tylko w 2021 r. sektor prywatny zainwestował 340 mld dol. w prace nad SI, a ze środków publicznych wydano ułamek tej kwoty. Wygląda to tak, jakby państwa abdykowały z nadzoru nad rozwojem technologii, która potencjalnie jest przecież ogromnie niebezpieczna. Można to chyba porównać

► z całkowitym odpuszczeniem kontroli nad rynkiem leków przy ruchu lotniczym.

Rzeczywiście, mamy ogromny problem, szczególnie Europa, bo nie potrafimy wymusić na firmach – zwłaszcza amerykańskich – dostępu do danych czy algorytmów. Nie możemy więc np. dokładnie badać, jak działają programy typu ChatGPT i jakie wynikają z tego potencjalne zagrożenia.

Jest jakaś szansa, że to się zmieni?

Na razie Europa nie bardzo potrafi cokolwiek wymusić na amerykańskich koncernach takich jak Google, nad którymi rząd USA rozpostarł parasol ochronny. Żywię jednak nadzieję, choć nie jest ona duża i raczej maleje, że opinia publiczna i klasa polityczna w Stanach Zjednoczonych zdadzą sobie sprawę z obecnej sytuacji i podejmą odpowiednie działania. Czyli np. regulator państwowy wymusi na wielkich firmach udostępnienie infrastruktury, m.in. modeli językowych i baz danych. Obawiam się jednak, że sztuczna inteligencja jeszcze bardziej podzieli świat na biednych i bogatych.

Być może silna interwencja państwa będzie również potrzebna, by złagodzić społeczne skutki szerokiego wykorzystania SI. Skala zmian wywołanych przez tę technologię może okazać się tak duża, jak podczas rewolucji przemysłowej.

Efekty społeczne rzeczywiście mogą być ogromne i nieprzewidywalne.

Zatrważające umiejętności ChatGPT-4

Tej nocy ledwo spałem – napisał niedawno Thomas Friedman, nagradzany Pulitzerem publicysta „The New York Times”. Tak zareagował na rozmowę z najnowszą wersją ChatGPT-4 i jego niesamowite możliwości. Niedługo później badacze Microsoftu umieścili w sieci liczącą ponad 150 stron publikację naukową, w której przedstawili wyniki licznych testów tego programu komputerowego. Na ich podstawie doszli do wniosku, że w ChatGPT-4 widać już pierwsze „iskierki” ogólnej (inaczej mocnej) sztucznej inteligencji (ang. skrót AGI, od *artificial general intelligence*). Poprosili go m.in. o sformułowanie matematycznego dowodu nieskończoności liczb pierwszych, ale w formie wiersza. Wywiązał się z tego bez zarzutu. Pozdawał też liczne amerykańskie testy egzaminacyjne, m.in. przeznaczone dla lekarzy, prawników czy informatyków. Potrafił również napisać dialogi filozoficzne w stylu Platona poświęcone zagrożeniom wynikającym z rozwoju sztucznej inteligencji. Następnie ocenił je, wcielając się w rolę nauczyciela. Eksperti Microsoftu zastrzegają jednak, że nadal pozostało sporo do zrobienia, by stworzyć kompletną AGI. A wzorce inteligencji ChatGPT-4 są zdecydowanie niepodobne do ludzkich.

Na te wieści zareagowało ponad 1300 osób, głównie naukowców i biznesmenów, podpisując się pod apelem o natychmiastowe wstrzymanie na pół roku wszelkich prac nad zaawansowaną SI, w tym kolejną wersją ChatGPT-4. A także objęcie ich ścisłym nadzorem. Niekontrolowany rozwój tego typu programów grozi bowiem katastrofą ludzkości. Sygnariuszami są m.in. Elon Musk, Steve Wozniak (współzałożyciel Apple'a) i znany izraelski historyk Yuval Noah Harari.



Obejrzałem ostatnio prezentację Microsoftu, który do takich programów jak Word czy PowerPoint niedługo wprowadzi inteligentnego asystenta „copilot”, opartego na technologii ChatGPT. Jego zdolności wydają się wręcz fenomenalne. Nie trzeba będzie umieć obsługiwać np. arkusza kalkulacyjnego Excel, żeby analizować dane i wyciągać z nich rozmaite wnioski. Copilot przygotowuje też dla nas prezentację multimedialną i odpowie na maile. Dlatego nabrałem obaw, czy sztuczna inteligencja nie usunie z rynku tych, którzy wydawali się dotąd niezastąpieni: pracowników umysłowych.

Na razie nie spodziewam się jakichś strasznych zawirowań społecznych lub psychicznych, czyli negatywnego wpływu tej technologii na pojedynczych ludzi. Nie przestaną być potrzebne zawody kreatywne, gdyż programy typu ChatGPT będą nam dostarczać przede wszystkim wstępny materiał do obróbki. Np. pan – jako dziennikarz – dostanie napisany artykuł, ale jeszcze do poprawienia czy uzupełnienia. Pytanie tylko, co wydarzy się jutro?

Moje obawy byłyby też mniejsze, gdyby zmiany nie przebiegały tak gwałtownie. W poprzednich epokach ludzkość miała więcej czasu na zaadaptowanie się i stworzenie mechanizmów naprawczych. Spójrzmy tylko na to, w jak szybkim tempie rozwijały się modele językowe: pierwsza wersja tego, na którym opiera się ChatGPT, powstała zaledwie pięć lat temu. Mam więc poważne wątpliwości, czy jesteśmy w stanie za tymi zmianami nadążyć. Z drugiej strony liczę na działanie mechanizmów demokratycznych w USA – jeśli rewolucja sztucznej inteligencji pójdzie za daleko, to jest szansa, że zostanie przystopowana.

Pokusiłby się pan o prognozę, w jakim kierunku w najbliższych miesiącach czy latach podąży rozwój ChatGPT, właśnie debiutującego Barda firmy Google i innych programów obdarzonych sztuczną inteligencją?

Przypuszczam, że powstaną wyspecjalizowane rozwiązania, czyli przeznaczone do bardziej wąskich zastosowań typu medycyna, prawo, finanse czy nauka. System sztucznej inteligencji będzie umiał bardzo kompetentnie rozmawiać z klientami o finansach lub wcieli się w rolę nauczyciela, np. chemii, ale nie wyjdzie poza te obszary. Spodziewam się też personalizowania tego typu systemów, tzn. rozpoznawania naszych potrzeb i preferencji, uczenia się indywidualnego sposobu myślenia, i na tej podstawie udzielania odpowiedzi lub porad. Bardzo szybko nastąpi też integracja obrazów z głosem i tekstem.

Jaką ma pan największą obawę, jeśli chodzi o skutki rozwoju systemów sztucznej inteligencji?

Nie wiem, czy one nas totalnie nie rozleniwia, czego początki już widać w bogatych społeczeństwach, choć jeszcze nie dzieje się to za sprawą SI. Czy nie będziemy musieli coraz mniej się starać, co nierozzerwalnie wiąże się z myśleniem. Innymi słowy, czy nie zaczniemy po prostu głupieć, bo np. sięganie do źródeł informacji stanie się niepotrzebne. A może pójdzie to tak daleko, że zrezygnujemy z potrzeby bycia z drugim człowiekiem? Jeśli bowiem osobisty inteligentny chat zdoła zaspokoić niemal wszystkie moje potrzeby, to po co mi żona, partner, przyjaciel?

Nie wypuszczamy właśnie dżina z butelki?

Staram się być optymistą, ale ten dżin mógł już nam z tej butelki uciec.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

Zapytałismy ChatGPT, czy jego nazwę powinno się odmieniać, odpowiedział, że nie, ponieważ jest to skrót od angielskiej nazwy „Chat Generative Pre-trained Transformer” i zachowuje swoją formę bez względu na kontekst.

• BIDENSKI W WARSZAWIE • EVEREST NAD ATLANTYKIEM • CZECZENI W EUROPIE

Istnieje
od 1965

FORUM



N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

ZMARTWYCHWSTANIE

nr 8 (5-20.04.2023)
Cena 12,99 zł (w tym 8% VAT)

Mit wечно żywy

UNIA? ROSJA? SERBIA?

Kto miesza
w bałkańskim kotle

W KARAKAŁPACJI

Daleko od demokracji

NIESPOKOJNY PACYFIK

Czas uciekać z Fugi

PETR PAVEL

Ile broni dla Ukrainy

PARIS HILTON

Mała biedna bogaczka

KARA ZA ESCOBARA

Kto tam? Hipopotam!

ZABAWA W DOKTORA

Nie pytaj aptekarza
o adres lekarza

PARTYZANCKIE NOCE

Junta na muszce pacyfistów

MODEL DUŃSKI

Opiekuńcza ksenofobia

DIABEŁ MÓWI „ALABAMA”

Obrońcy życia żyć nie dają

POWRÓT DO JASKIŃ

Szczęśliwi czynszu nie płacą

UŚMIECHNIJ SIĘ!

Jesteś w pornosiel!

SZKOŁA PREMIERÓW

Oksford to nie Wersal

Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata
NOWY NUMER FORUM W SPRZEDAŻY OD 5 KWIEŃNIA

Gorzkie kremówki

Ks. prof. Andrzej Kobyliński o niewykorzystanych szansach polskiego Kościoła na samooczyszczenie i dalekosiężnych skutkach używania religii do celów politycznych.

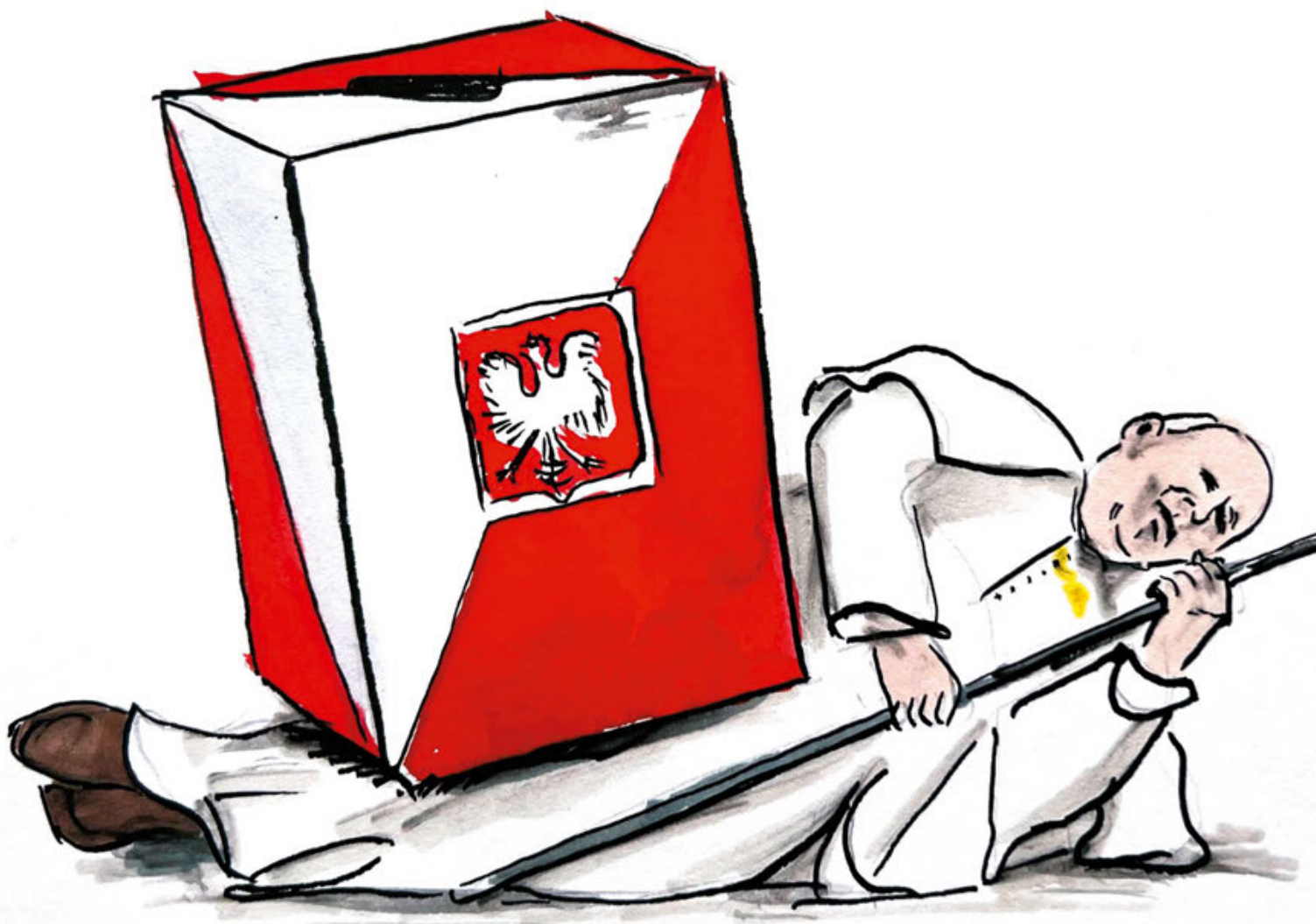
JOANNA PODGÓRSKA: – **Reakcja polskiego episkopatu na burzę wokół Jana Pawła II była dość powściągliwa, zwłaszcza w porównaniu z reakcją polityków prawicy. Nie zdziwiło to księdza profesora?**

ANDRZEJ KOBYLIŃSKI: – Bynajmniej. Jeszcze by tego brakowało, żeby biskupi dolewali oliwy do ognia. Dobrą stroną ich stanowiska było częściowe uspokojenie nastrojów społecznych. Z pewnością reakcja episkopatu była wyważona, ale czy to ma większe znaczenie? Chyba nie.

Biskupi ogłosili, że powinna powstać niezależna komisja, która zajęłaby się badaniami archiwalnymi, ale kiedy

zgłosiła się grupa historyków, związanych z uczelniami katolickimi i Uniwersytetem Jagiellońskim, napotkała blokadę ze strony krakowskiej kurii. Czy u nas w ogóle ma szansę powstać jakaś niezależna komisja?

W najbliższym czasie nie widzę takiej możliwości. Jeśli naprawdę chcemy zbadać dramatyczne zjawisko pedofilii klerikalnej, to oczywiście taka komisja jest niezbędna – na wzór australijski lub francuski. W Australii komisja królewska przebadła ponad 1700 różnego rodzaju instytucji pracujących z dziećmi, w tym podmioty związane z Kościołem katolickim i innymi związkami wyznaniowymi. Natomiast komisja



ILUSTRACJA BARTEK KIELBOWICZ

francuska badała tylko przypadki dotyczące Kościoła katolickiego, bo powstała z inicjatywy episkopatu, ale na jej ciele stanął znany prawnik i polityk Jean-Marc Sauvé, który dostał pełną swobodę działania i dostęp do wszystkich archiwów.

Natomiast wracając do sprawy Jana Pawła II, naprawdę nie wiem, jak w naszym kraju mogłaby funkcjonować komisja historyczna, skoro osoby odpowiedzialne za beatyfikację i kanonizację polskiego papieża stanowczo zapewniają, że wszystko już zostało rzetelnie zbadane. Więc nasza komisja kościelna nie powinna kwestionować decyzji Watykanu.

Do tej pory wszystkie komisje kościelne w Polsce, takie jak choćby „Pamięć i troska” powołana przez kard. Stanisława Dziwisza, były raczej fikcją.

Niestety, fikcją były komisje historyczne powołane w latach 2006–07 we wszystkich polskich diecezjach. Była to nieudana próba dekomunizacji i lustracji Kościoła katolickiego. Zadaniem komisji było zbadanie haniebnych przypadków współpracy biskupów, księży i zakonników z komunistycznymi służbami specjalnymi: Urzędem Bezpieczeństwa i Służbą Bezpieczeństwa, ale także z organami wywiadu cywilnego i wywiadu wojskowego. Wszystkie te komisje albo nie zaczęły działać, albo zostały rozwiązane. Podobny los spotkał komisje zakonne. Jedyne dwa pozytywne przykłady dotyczą dominikanów i jezuitów. Samodzielnie ogromną i odważną pracę wykonał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, publikując w lutym 2007 r. książkę „Księża wobec bezpieczeństwa na przykładzie archidiecezji krakowskiej”.

Wiadomo, że hierarchowie mają różne poglądy, ale do tej pory albo mówili jednym głosem, albo milczeli. Nie było tradycji publicznych polemik. A po wybuchu burzy wokół Jana Pawła II z jednej strony mamy wypowiedź abp. Jędraszewskiego, że to drugi zamach na papieża, a z drugiej bp. Damiana Muskusa, że trzymanie w dłoni obrazka z papieskim wizerunkiem ani wieszanie go na ścianach instytucji publicznych „nie odmieni oblicza tej ziemi”. Czy to zapowiedź jakichś zmian?



Ten dwugłós jest niezwykle ciekawy, zwłaszcza że bp Muskus jako krakowski biskup pomocniczy jest podwładnym abp. Jędraszewskiego. W Polsce to sytuacja bez precedensu. Nie znam żadnego innego przypadku, żeby biskup pomocniczy wypowiadał się zupełnie inaczej niż jego bezpośredni przełożony. Ale nie przywiązywałbym do tego wydarzenia nadmiernej wagi. Episkopat w Polsce wciąż jest monolitem. Ten model ukształtował się w czasach PRL i jeszcze z niego nie wyszliśmy.

Abp Jędraszewski wybiera się niedługo na emeryturę. Może franciszkanin bp Muskus to jego następcą?

Trudno powiedzieć. Ale generalnie prawie wszystkie nowe nominacje biskupie w naszym kraju to ludzie, którzy zostali wychowani w określonym systemie kościelnym. Dlatego nie ma żadnej gwarancji, że zmiana pokoleniowa będzie zmianą na lepsze. Niestety, może być na gorsze. Konieczna jest zmiana jakościowa, a żeby do niej doszło, trzeba najpierw posłać do seminariów nowych kandydatów, następnie

przebudować system kształcenia kleryków i przygotować ich do tego, by w przyszłości mogli się stać mądrymi księżmi i biskupami. Jeśli dziś mielibyśmy odwagę podjąć takie radykalnie reformatorskie kroki, to zmiana jakościowa w Polsce będzie możliwa za 20–30 lat.

Czyli spekulacje, że słowa bp. Muskusa zapowiadają nowy nurt w episkopacie, należy włożyć między bajki?

Ja w to nie wierzę. Tym bardziej że w dramatycznym tempie są zamykane kolejne seminaria duchowne i klasztory. Najbliższe lata będą oznaczały zwijanie się instytucji kościelnych. Już dzisiaj skutkuje to nie tylko brakiem księży, ale też coraz gorszą jakością duchownych młodego pokolenia. Chętnych do seminariów i klasztorów jest niewiele, a to prowadzi do obniżenia wymagań intelektualnych i osobowościowych. W ostatnim czasie z kilku seminariów dotarły do mnie przerażające informacje o różnych skandalach obyczajowych, głównie homoseksualnych. Szkoda, że prawie nikogo nie interesuje, co się obecnie dzieje za murami seminaryjnymi. Z topniejących kadr o wiele trudniej będzie wyłonić odpowiednich liderów.

Bp Muskus powiedział także, że najważniejsze zadanie to sprzeciw wobec wykorzystywania osoby papieża i religii do bieżącej polityki. Czy inni hierarchowie nie mają świadomości, że „zapisanie do PiS” Jana Pawła II może być groźne dla Kościoła?

Nie chodzi o PiS czy PO. Sprawa jest tysiąc razy poważniejsza. Postać polskiego papieża jest głęboko związana z naszą historią, polityką, życiem społecznym. Niestety, mleko się rozlało: Jan Paweł II, religia i Kościół katolicki stali się kluczowymi elementami bieżącej walki politycznej. Od 2020 r. mówiłem publicznie wiele razy, że wyjaśnienie różnego rodzaju wątpliwości dotyczących reakcji polskiego papieża na skandale i nadużycia seksualne w Kościele to w naszym kraju sprawa narodowa. Szkoda, że nikt nie potraktował poważnie mojego alarmu. Skoro jako społeczeństwo nie podjęliśmy tego wyzwania, to mamy dzisiaj piekło, które dopiero się rozpoczyna. Trzeba odpowiednio interpretować jego przyczyny i skutki.

Jaka jest diagnoza księdza profesora?

W naszym kraju to, co boskie, przeplata się z tym, co ludzkie, a to, co państwowe, z tym, co kościelne. Takie są nasze dzieje. W ostatnich tygodniach doszło do symbolicznego domknięcia naszych dwóch baniek medialno-politycznych, a to oznacza głębokie osłabienie więzi narodowej i kapitału społecznego. Wojna o Jana Pawła II będzie mieć dalekosiężne negatywne konsekwencje. Już przed wybuchem tej sprawy byliśmy głęboko podzieleni na dwa wrogie, nienawidzące się plemiona, ale jeszcze istniała niewielka szansa dialogu. Ostatni czas to zabetonowanie sceny politycznej. I nie ma żadnej szansy, żeby usunąć ten głęboki podział przez najbliższe trzy lata, które będą zdominowane przez cztery kampanie wyborcze – od parlamentarnej po prezydencką.

Czyli, mówiąc brutalnie, Jan Paweł II będzie używany jako polityczny młot na czarownicy.

Już jest, a będzie coraz bardziej. Skalę hysterii najlepiej pokazuje zaproszenie do naszego MSZ ambasadora Stanów Zjednoczonych i oświadczenie, że reportaż Marcina Gutowskiego jest elementem wojny hybrydowej prowadzonej przeciwko Polsce. Wezwano na dywanik ambasadora jedyne na świecie supermocarstwa i naszego najważniejszego sojusznika. To powinno zostać wpisane do Księgi Guinnessa jako rekord absurdu. Mieszkańcy naszego kraju z bańki prawicowo-konserwatywnej będą organizować różne marsze, pochody i manifestacje w obronie Jana Pawła II. ►

► Natomiast bańka lewicowo-liberalna będzie grała takimi tematami, jak burzenie papieskich pomników, wyrzucenie religii ze szkół czy legalizacja aborcji. Tematy światopoglądowe będą elektryzować opinię publiczną i wokół nich będą się ogniskować kampanie wyborcze. A największą ofiarą tej sytuacji będzie Kościół katolicki jako instytucja. On najbardziej straci na tej wojnie religijnej.

Dlaczego?

Ponieważ piekło wywołane użyciem religii do celów politycznych przyspieszy galopującą ateizację dzieci i młodzieży. Młode pokolenie nie chce słyszeć o religii, o którą kłócą się dziś dorośli. Dlatego ta wojna przepędzi z kościołów resztki młodych, którzy jeszcze tam zostali.

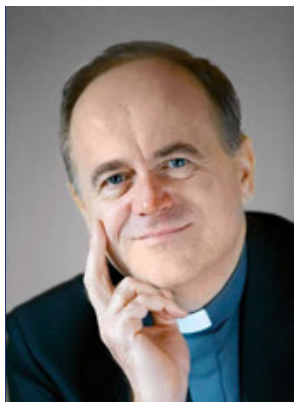
Druga negatywna konsekwencja to przyspieszenie likwidacji kolejnych seminariów duchownych i klasztorów. Z powodu wojny religijnej pogłębi się kryzys powołań kapłańskich i zakonnych. W tym roku najprawdopodobniej zostanie zamknięte seminarium w Gnieźnie. A przecież Gniezno to symbol początków chrześcijaństwa w Polsce, grób św. Wojciecha, mieszka tam trzech prymasów – dwóch emerytowanych i jeden urzędujący. Tam bije historyczne serce polskiego katolicyzmu.

Trzecia konsekwencja to zablokowanie jakichkolwiek prób reformy Kościoła i oczyszczenia instytucji kościelnych z brudu grzechu i nieprawości. Każdy głos dotyczący rozliczenia pedofilii klerykalnej czy reformy finansów będzie teraz traktowany jako atak na Kościół, zdrada, zaprzecanie się diabłu i współpraca z Antychrystem. Taka sytuacja pogłębi utratę społecznej wiarygodności przez biskupów i księży. Upolitycznienie religii zemści się przede wszystkim na Kościele.

Czy naprawdę w episkopacie nie ma hierarchów, którzy zdają sobie z tego sprawę?

Docierają do mnie sygnały, że niektórzy widzą problem, ale nie bardzo wiedzą, co z tym zrobić. Są bezradni, ponieważ w obecnej sytuacji nie ma dobrych rozwiązań. Jest już za późno, żeby z tego piekła wyjść. Można było tego uniknąć jeszcze kilka lat temu. Był czas, żeby oczyszczać Kościół ze skandali pedofilskich, obyczajowych, finansowych. Można było dokonać lustracji i dekomunizacji w środowiskach kościelnych. Wreszcie – po śmierci Jana Pawła II – podjąć rozsądną, merytoryczną próbę oceny jego postaci; mądrze pokazywać jego wielkie zasługi historyczne dla Kościoła, Polski czy Europy, ale także wskazując na błędy i słabe punkty – oczywiście w tak długim pontyfikacie. Zamiast tego budowano kolejne pomniki i tworzono kremówkowy mit. Dlatego teraz mamy to, co mamy. Wiele zaniechań doprowadziło nas do tej sytuacji. Dziś nie da się jej zmienić.

O ewentualnej próbie rozsądnej debaty można myśleć, gdy miną cztery kampanie wyborcze. Być może dopiero w 2026 r. będzie można rozpocząć rzetelną dyskusję nad pontyfikatem Jana Pawła II, o czym od dawna rozmawia się w wielu krajach. Szczególnie na początku miał on wiele mocnych, dobrych elementów. W niektórych państwach dał nadzieję na wzmocnienie Kościoła po okresie chaosu i zamętu, jaki nastąpił po zakończeniu Soboru Watykańskiego II. Trzeba także pamiętać o jego wielkim wkładzie w przywrócenie podmiotowości narodom Europy Środkowo-Wschodniej. Nikt nie zrobił więcej dla Chorwatów,



© AGENCJA WYBORCZA

Ks. prof. **Andrzej Kobylński** – filozof, etyk, doktor habilitowany nauk humanistycznych. Profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Litwinów, Słowaków, Ukraińców czy Polaków, jeśli chodzi o dostrzeżenie nas na mapie świata. Papież ma ewidentne zasługi, ale też popełniał błędy.

Jakie?

O błędach mówią nie tylko antyklerykałowie, ale także niektóre środowiska konserwatywnych katolików amerykańskich. Poza zaniechaniami dotyczącymi pedofilii w Kościele zwracają uwagę na poważny problem błędnych nominacji biskupich. Zauważmy, że papież Benedykt XVI w latach 2005–13 zdymisjonował 80 biskupów, mianowanych wcześniej przez Jana Pawła II. Już za czasów Franciszka mieliśmy dymisję całego episkopatu Chile. Przed nami wiele trudnych pytań, dotyczących chociażby nominacji Hansa Hermanna Groëra na stanowisko arcybiskupa stolicy Austrii. Dziennikarze śledczy badający przestępstwa seksualne Groëra szacują, że kardynał z Wiednia mógł wykorzystać seksualnie 2 tys. chłopców i młodych mężczyzn. Niestety, Jan Paweł II nigdy nie uznał publicznie winy tego kardynała. Wieloletni skandal związany z Groërem dramatycznie przyspieszył głęboką sekularyzację austriackiego społeczeństwa i rozpad Kościoła katolickiego w tym kraju.

Autoritet Jana Pawła II to najcenniejszy depozyt, jaki polski Kościół miał. Może łatwiej było się chować przed kryzysami pod tym parasolem, niż toczyć rozsądną debatę.

Zdecydowanie tak. Ciągłe odwoływanie się do Jana Pawła II było niezwykle wygodne dla biskupów i księży. Odwracało uwagę od realnych problemów. Przez prawie 30 lat żyliśmy od jednej papieskiej pielgrzymki do drugiej. A gdy Jan Paweł II zmarł, dużą część działalności kościelnej przekierowano na budowanie jego pomników. 18 lat temu mieliśmy wyjątkową szansę, żeby spojrzeć niekremówkowo na Kościół i Jana Pawła II. To był Wielki Piątek 2005 r. i prorocze słowa kard. Josepha Ratzingera. Dziewiąta stacja Drogi Krzyżowej w rzymskim Koloseum – tam padły słowa o Kościele, który jest jak tonąca łódź, która nabiera wody ze wszystkich stron, i że jest brud w Kościele. To była końcówka pontyfikatu Jana Pawła II. Dlaczego Kościół znalazł się w tak dramatycznej sytuacji? Kto odpowiada za brud w Kościele? Słuchając wówczas tych wstrząsających słów, miałem tzy w oczach. Wiedziałem, jaka jest skala kościelnego zła. Cieszyłem się, że ktoś w końcu o tym głośno powiedział. Szkoda, że w Polsce nikt nie chciał poważnie potraktować dramatycznych słów kard. Ratzingera.

Czy burza wokół postaci Jana Pawła II nie utrudni walki ze współczesną kościelną pedofilią, bo wszelkie doniesienia będą traktowane jak atak na „naszego papieża”.

Zdecydowanie tak. Na krótką metę strategia obłączonej twierdzy jest bardzo wygodna, bo uspokaja, daje poczucie bezpieczeństwa, prowadzi do zwarcia szeregów pod hasłem: stajemy w obronie Jana Pawła II. Ale uniemożliwia jakiegokolwiek rozsądne rozmowy o realnych problemach w Kościele. Arcyważne wyzwania dotyczące zamykanych seminariów, pedofilii klerykalnej, finansowania Kościoła, wyjaśnienia afery Juliusza Paetza, nauczania religii w szkole zostały właśnie wyrzucone do kosza na kilka lat. A to przyspieszy wygaszanie i obumieranie Kościoła

katolickiego w Polsce. Niestety, idziemy w stronę dramatycznej sytuacji katolicyzmu w Irlandii.

Papież Franciszek, pytany o komentarz dotyczący burzy wokół Jana Pawła II, powiedział: „W tamtych czasach wszystko tuszowano”. Jak ta sprawa odbierana jest w Watykanie?

Dominuje milczenie. Wśród watykanistów pojawiło się niewiele komentarzy na ten temat. Słowa papieża są niewygodne dla wielu środowisk kościelnych. Uważam tę wypowiedź za bardzo ważną, wręcz przełomową. Wywiad został nagrany w formie materiału wideo, więc nie ma tu mowy o żadnej korekcie czy transkrypcji przez doradców. Jeśli chodzi o tuszowanie pedofilii w Kościele, to – mówiąc językiem młodzieżowym – Franciszek zaołał ocean kłamstw, głoszonych w ostatnich latach przez wielu biskupów, księży, polityków, dziennikarzy itd. Powiedział jasno: wszystko tuszowano do afery bostońskiej w 2002 r. Tuszowanie polegało na tym, że jeśli ksiądz czy biskup wykorzystywał seksualnie osoby nieletnie, to pozwalano mu na dalszą pracę, przenosząc go w inne miejsce. Nie było odpowiednich wewnętrznych przepisów, które by jasno określały, jak reagować w takich przypadkach. Niestety, w rozmowie z argentyńskim dziennikiem „La Nación” papież Franciszek nie wspomina o istotnych zmianach prawnych, które zostały wprowadzone w Kościele w 2001 r.

Jaki był ich cel?

Miały zerwać z mową milczenia, ponieważ nakazywały przekazywanie ze wszystkich krajów informacji o przypadkach pedofilii klerykalnej do Watykanu. Tylko że na całym świecie te przepisy zostały natychmiast wyrzucone

do kosza. Niestety, pedofilię klerykalną tuszowano także po zmianach prawnych 2001 r. i późniejszym skandalu w archidiecezji bostońskiej. Proszę przejrzeć polskie media z 2001 r. Czy wówczas ktoś zauważył jakąś zmianę w walce z pedofilią w Kościele? Niestety, omerta trwała dalej. Weźmy słynną konferencję prasową w siedzibie episkopatu w 2013 r. po wybuchu afery pedofilskiej w diecezji warszawsko-praskiej. Wówczas kanclerz kurii tej diecezji ks. Wojciech Lipka szczerze powiedział przed kamerami, że nie miał żadnej wiedzy na temat nowych przepisów Prawa kościelnego, które weszły w życie 12 lat wcześniej. W wielu krajach realną walkę z pedofilią klerykalną rozpoczęto dopiero w 2019 r., po wielkim trzęsieniu ziemi, jakim był skandal związany z kard. Theodore'em McCarrickiem, który wykorzystywał seksualnie chłopców, kleryków i młodych księży.

Sprawa tuszowania pedofilii przez Jana Pawła II może być dla papieża Franciszka trochę niewygodna. W końcu to on go kanonizował.

Nie sądzę. Biskup Rzymu ma wiele innych spraw na głowie. Obecny papież ma rację, gdy twierdzi, że w ocenie wydarzeń z przeszłości należy zawsze uwzględniać kontekst historyczny. Podejście ahistoryczne jest błędem. Warto podkreślić, że Franciszek patrzy dzisiaj przede wszystkim w stronę Azji i Afryki, gdzie mamy dynamiczny rozwój Kościoła katolickiego. Niestety, Europa staje się kontynentem coraz bardziej ateistycznym, pogańskim. Dla Watykanu to, co dzieje się w Polsce, nie ma znaczenia. Dlatego nikto nam nie pomoże, aby zatrzymać naszą bratobójczą wojnę religijną.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

REKLAMA

HALE NAMIOTOWE PROJEKTOWANE NA DEKADY SZYBKI MONTAŻ BEZ FUNDAMENTÓW!

Izolowane hale z dachem pompowanym
Lokalne obciążenia wiatrowe i śnieżne nawet do 300 kg/m²

Nawet
25%
KOSZTÓW
TRADYCYJNEJ
HALI!

Do
60m
rozpiętości

POL-PLAN
HALE NAMIOTOWE

TEL.: 502 736 436, TEL.: 502 736 435, TEL.: 571 291 866

www.pol-plan.com.pl

Obrotowi i obrotni

Szum wokół Konfederacji jest może nieadekwatny do jej rzeczywistych zwyczajów sondażowych, ale widać, że ta formacja narobiła kłopotu i PiS, i opozycji. Z tym że Kaczyński nie będzie się wzdragał przed koalicją z konfederatami, a Tuskwowi i reszcie nie będzie wypadało.



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

RAFAŁ KALUKIN

Do autora tego tekstu zadzwoniła w ubiegłym tygodniu ankieterka ośrodka badań opinii z prośbą o możliwość zadania kilku pytań na tematy społeczno-polityczne. I tak jej na tym zależało, że nie chciała przyjąć do wiadomości, że losowo wytypowany kandydat na respondenta, z racji wykonywanego zawodu, nie powinien podejmować się takiej roli. Ostatecznie więc udało jej się dopiąć swego, a zadane przez nią pytania okazały się interesujące.

Na początek zwyczajnie, czyli o udział w wyborach i aktualną preferencję partyjną. Potem zeszło na Konfederację: czy badany rozważa możliwość zagłosowania na tę partię. Dalej – czy słyszał o Sławomirze Mentzenie i jak go ocenia? Później już skupiliśmy się na Koalicji Obywatelskiej. Czy badanemu przypadły do gustu propozycje tzw. babciowego oraz kredytu zero procent na zakup

mieszkania? I czy można – to już w przypadku odpowiedzi negatywnej – porównywać te postulaty do rozdawnictwa PiS? Na koniec jeszcze prośba o ocenę uniku KO przy głosowaniu uchwały o Janie Pawle II oraz wskazanie odpowiedzialnego za brak wspólnej listy opozycji.

Respondentów z zasady nie informuje się o celach badania, a tym bardziej nie powinni wiedzieć, kto jest zleceniodawcą. Nie trudno się jednak domyślić, że treść tej akurat ankiety musiała powstać w siedzibie PO, a samo badanie najpewniej ma charakter poufny, służąc jako materiał do wewnętrznej diagnozy i określenia taktyki. W tak niecodzienny sposób otrzymaliśmy więc komunikat, że niedawne wycieczki Donalda Tuska pod adresem Konfederacji nie były incydentem. Platformie urósł poważny rywal i trzeba się szykować do ostrzejszego starcia.

Spolaryzowani inaczej

Ostatni rwetes wokół konfederatów był jednak na swój sposób zaskakujący. Nie tylko Tusk, ale właściwie wszystkie opozycyjne partie rozwinęły tyralierę. Z kolei media zaroily się od wywiadów i sylwetek Mentzena. A wszystko za sprawą nie tak znowu wielkich zwyczajów sondażowych Konfederacji w ostatnich paru tygodniach. Większość badań daje tej formacji 9–10 proc. poparcia, a głośny „sondaż obywatelski” określił potencjał tej formacji aż na 13–15 proc. Co oczywiście podziało na wyobraźnię głównego nurtu opozycji, stąd też alarm, że oto podstępnie skrada się brunatny wilk w skórze wolnościowej owcy.

Warto zauważyć, że zbiorowe poruszenia nie zawsze bywają skuteczne, a kiedy ich przedmiotem staje się siła antysystemowa, mogą wręcz przynosić skutki odwrotne. Poczynając od reakcji na sukces Samoobrony, która w 2001 r. niespodziewanie wdarła się na sejmowe korytarze. Klasa polityczna zamarła wtedy z przerażenia, zaczęto epatować nowym wizerunkiem Andrzeja

Leppera, który właśnie zrzucił gumofilce i przywdział elegancki garnitur. Co z tego dalej wynika? Już po wyborach słupki Samoobrony wciąż rosły jak szalony, a Lepper coraz bardziej się rozzechwalał w swoim populizmie.

Jego ruch, podobnie jak teraz Konfederacja, nie dawał się zresztą wpisać w ówczesnie dominujący podział. Nie miał nic wspólnego z dziedzictwem solidarnościowym, ale nie był też tworem jednoznacznie postkomunistycznym. Niby sam Lepper miał za sobą partyjny epizod, a przy tym afirmował opiekuńczość starego systemu. Na tle grających podobną kartą liderów SLD zawsze jednak wychodził na autentyka, przez którego przemawia szczerzy gniew ludu. Ostatecznie skończył w koalicji z PiS, w której został w sumie pragmatykiem.

Podobna dwuznaczność cechuje dzisiaj relacje PiS i Konfederacji. Teoretycznie reprezentują zbliżone prawicowe spektrum, czyli konserwatywną obyczajowość, atencję dla Kościoła, nieufność wobec Europy, kult suwerenności. Równie wiele je jednak różni, przede wszystkim stosunek do opiekuńczego państwa i wolnego rynku, ale też polityczny styl, typ komunikacji, zakotwiczenie w odrębnych obiegach. Wydaje się zresztą, że wyborcy PiS pozostają grupą szczególnie odporną na przekaz Konfederacji. Nie ryzykując więc bezpośredniej kolizji, rządzący mogą sobie pozwolić na użytkowe traktowanie alt-prawicowej krewniaczki, co najczęściej polega na naprzemiennym zamykaniu i otwieraniu dostępu konfederatom do publicznych mediów. Aktualnie jeszcze obowiązuje założona już jakiś czas temu blokada, co nie powinno dziwić, gdyż Konfederacja przeważnie nie marnuje okazji, żeby dolożyć rządzącym. Paradoksalnie jednak tuczy się przede wszystkim głosami wyborców systemowej opozycji, co zapewne wcześniej czy później doprowadzi do zdjęcia blokady.

I kto tu jest ekstremistą?

Największe branie, jak na razie, mają konfederaci w elektoracie Polski 2050. Rozczarowanym szamotaniną Hołowni, szczególnie orientacją na sojusz z obciachowym w jego oczach PSL. Taki już jednak jest nieco rebeliancki rys tych wyborców, którzy na opozycyjnym pejzażu stanowią element dosyć unikatowy. O czym Tusk nie chciał pamiętać, próbując wtłoczyć Polskę 2050 na wspólną listę i poddając Hołownię nieustającej presji. Sprovokowało to kryzys jego formacji, czego skutkiem są odplywy poza obozowisko demokratycznej opozycji.

Chociaż Platformę bardziej pewnie niepokoją nastroje w części jej elektoratu. Widać to wyraźnie w niedawnych wystąpieniach Tuska, który zaczął przypominać o wolnorynkowym rodowodzie PO. Z kolei ignorowanych dotąd konfederatów pakuje w gorset ekstremistycznej prawicy i przyszłego alianta PiS. To oczywiście odpowiedź na ostatnie wysiłki Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka, którzy rozwijają ostatnio *brand* partii zdroworozsądkowej, broniącej wolności we wszystkich jej przejawach. Z jednej strony ograniczanej przez „łapczywe pisowskie państwo”, a z drugiej przez napierające z Zachodu „lewackie ekstremizmy”.

Problemem Platformy jest to, że jej ostatni zwrot na rzecz opiekuńczości rozredził zasięki na tradycyjnej liberalnej flance, w którą próbuje się teraz wcisnąć niedoceniana wcześniej Konfederacja. Stąd właśnie takie pytania we wspomnianej ankiecie, z których przebijają obawa o uboczne skutki społecznej konwersji Tuska. Czy da się krytykować pisowskie rozdawnictwo i zarazem oferować własne?

Takie pytania z pewnością stawiają sobie niektórzy sympatycy Platformy, którzy pozostali przy wolnorynkowych przekonaniach. Długo nie mieli alternatywy, przynajmniej od czasu roztopienia się Nowoczesnej w kotle PO. Na Konfederację z indywidualnymi w typie Grzegorza Brauna do niedawna trudno

było im poważnie spojrzeć. Cóż miałyby skłonić rozsądnych obywateli – raczej wykształconych, nieźle zarabiających, często pracujących na swoim – do popierania skrajnej prawicy? Nawet korwinowska kanapa z jej libertariańskim podejściem, ale też odlotami starego lidera była coraz bardziej odstręczająca.

Konfederacja, daj się przekonać!

Aż ubiegłej jesieni Korwin-Mikke abdykował, robiąc miejsce młodemu Mentzenowi, a partia KORWiN stała się Nową Nadzieją. Rozwijający zasięgi w mediach społecznościowych trzydziestoparolatek z Torunia od razu zaczął nadawać ton całej Konfederacji. Jej przekaz zdominowały teraz filmiki o dojeniu państwa przez PiS, absurdach biurokratycznych, unijnym szaleństwie regulowania wszystkiego. Do tego szczypta pozytywnego przekazu o uwalnianiu przedsiębiorczości i obniżaniu podatków. Chociaż już bez korwinowskich przegięć.

I jakoś tak się porobiło, że chociaż Korwin nadal dokazuje na swoich profilach, już prawie nikt tego nie zauważa. Zniknął również z widoku Braun ze swoim agresywnym antyukraińskim przekazem. Podobno otrzymał czytelny komunikat, że jeżeli chce zachować miejsce w Konfederacji, na czas kampanii ma się wyciszyć. Zamiast tego dużo bardziej uczesani narodowcy snują poprawniejszą opowieść o niekorzystnym wpływie przeciągającej się wojny na interesy polskich przedsiębiorców. Eksploatując w sumie podobną emocję, już nie narażają się na stygmat „ruskiej onucy”.

I daje to pewne efekty, chociaż o większych przepływach z elektoratu Platformy na razie oczywiście nie ma mowy. Ale czy to scenariusz niemożliwy? Wyobraźmy sobie przedsiębiorcę z dużego miasta w północnej Polsce. Jest właścicielem nieźle prosperującej firmy, która przynosi mu wysokie dochody. Nie jest przesadnie zainteresowany rozwijaniem działalności, gdyż woli korzystać z życia. Uważa, że każdy jest kowalem swojego losu i nie czuje się członkiem żadnej wspólnoty. Toteż niczego od państwa nie oczekuje, ale też nie chce ponosić zobowiązań na jego rzecz. Jego radykalna antywspólnotowość manifestuje się jednak także na obszarze kulturowym. Jest zdeklarowanym wrogiem Kościoła, katolickiej obyczajowości, a nawet religii jako takiej.

Z takim miksem aksjologicznym nasz bohater do tej pory podchodził do Konfederacji trochę jak do jeża. Pociągała go wolnorynkową ortodoksją, ale też odpychała narodowo-katolickim kołtuństwem. Jak na razie trwał jednak przy Platformie, a powrót Tuska nawet wprawił go w krótkotrwałą euforię. Od jakiegoś czasu popada jednak w coraz większe zniechęcenie. Już ma dosyć Tuska obiecującego kolejne gruszki na wierzbie, chociaż najbardziej drażni go unijny Zielony Ład, szczególnie dyrektywa zakazująca silników spalinowych. Twierdzi, że wszyscy na scenie są siebie warci, skoro popierają takie szaleństwa. Poza Konfederacją, która jest, jaka jest, ale być powinna, żeby ktoś te szaleństwa powstrzymał. Niech więc jej dalej rośnie – powiada nasz przedsiębiorca – chociaż sam nie zamierza w tych wyborach głosować. Tak przynajmniej zapewnia, ale można odnieść wrażenie, że intensywnie szuka argumentów, żeby jednak pójść na wybory.

To przykład wzięty z życia. Jeden z wielu, chociaż jeszcze nie znamy skali zjawiska. Ale niech Konfederacja sięgnie po dodatkowe 2–3 proc. takich wyborców, a dorobi się kilkudziesięcioosobowego klubu w nowym Sejmie i wtedy będzie od niej naprawdę sporo zależeć.

Na TikToku czas biegnie inaczej

Nie można oczywiście wykluczyć, że liczne ostatnio demaskacje czarnej sotni w konfederackim splocie skutecznie osłabią taką pokusę. Najczęściej przywoływana jest teraz osławiona „piątka Mentzena” z 2019 r., czyli hasło Polski bez Żydów, ►

► gejów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej. Faktycznie kompromitująca, chociaż lider Konfederacji próbuje się bronić, że odgrzewanie wystąpienia sprzed paru lat jest manipulacją, gdyż zostało ono wygłoszone w innych okolicznościach, w ramach nieaktualnej już strategii. Niewykluczone, że wykładu zawierającego skandaliczną „piątkę” istotnie nie wygłaszał ideolog, tylko wyrachowany polityczny technolog, choć nie zmienia to wymowy tamtych jego słów.

Młody polityk w tamtym czasie dowodził, że startująca od zera formacja nie powinna pchać się do centrum, gdzie jest najgęściej, tylko penetrować skrajne prawicowe marginesy. I tak się później stało: Konfederacja debiutowała jako koalicja szurniętych, chociaż jej główni liderzy przeważnie nie byli szurami. Po prostu od czegoś trzeba było zacząć. Powiada więc dzisiaj Mentzen, że nie można mu zarzucać antysemityzmu i innych brzydkich cech, ale co najwyżej cynizm.

W rzeczy samej jego ideowy pryncypializm chyba naprawdę wyczerpuje się na wolności gospodarczej, podczas gdy skądinąd skrajny obyczajowy konserwatyzm pozostaje raczej



Sławomir Mentzen, jeden z najbardziej dziś znanych liderów Konfederacji.

w domenie prywatnej. Czy byłby więc gotowy poświęcić cele zasadnicze, żeby zrealizować te mniej istotne. Tym bardziej że zmienił się nastrój polskiego społeczeństwa, które chyba już nieodwołalnie wkroczyło na ścieżkę sekularyzacji. Szczególnie dotyczy to młodego pokolenia, z którym tak sprawnie Mentzen potrafi się komunikować. Chociaż najciekawsze były mimo wszystko jego ostatnie tłumaczenia w sprawie zagubionych „stu ustaw Mentzena”. To kolejny z autorskich projektów z poprzedniego etapu, zawierający nie tylko propozycje uwolnienia gospodarki, ale też radykalnego zaostrzenia aborcji, legalizacji kar cielesnych dla dzieci i paru innych nieprzyjemnych spraw.

Torunianin znów próbuje się bronić, że to było kiedyś i już się nie liczy. Sam już nawet wielu propozycji nie pamięta. Nie wszystkie projekty pisał osobiście, nie z każdym się nawet zgadza. Zadziwia sztubackość takich tłumaczeń, jak gdyby Mentzen nie pojmował, że w dorosłej polityce cynizm jest akceptowalny,

dopóki idzie pod rękę z hipokryzją. Ale może to tylko starszemu pokoleniu tak się wydaje? Może już młodzi konsumenci Mentzenowych treści na TikToku zdążyli się nauczyć, że nawet parosekundowy jajcarski filmik stanowi odrębne uniwersum i odpalenie każdego kolejnego unieważnia te poprzednie?

Ile opcji Konfederacji?

Wydaje się, że Mentzen nieźle się czuje w oku medialnego cyklonu, chociaż zdarza mu się wpadać w irytację. W kularowych rozmowach z konfederatami nie widać jednak wielkiej euforii, a perspektywy wyborcze szacowane są nader ostrożnie. Można nawet usłyszeć, że zwyczajki przyszyły trochę za wcześnie. Trudno będzie bowiem podtrzymać obecne zainteresowanie Konfederacją. Na razie to jeszcze czas moderowania nowego wizerunku i poszerzania zasięgów. Na prawdziwą akumulację poparcia trzeba poczekać do przełomu wiosny i lata, kiedy odbędzie się kongres programowy i ruszy większa ofensywa. Z *contentem* już nie tylko dla kapryśnej młodzieży, ale przede wszystkim świadomego swoich interesów, bardziej dojrzałego wyborcy z klasy średniej. Na którego obronę nastawia się teraz Platforma, chociaż może jej być relatywnie trudniej niż rywalowi.

Bo z wyeksponowanym Tuskiem, który spersonalizował cały przekaz, trudno się teraz wiarygodnie obrócić. Propaganda PiS pewnie już ostrzy sobie zęby na powrót Tuska liberała, którym będzie można straszyć dzieci. Przydałaby się teraz formacja wielonurtowa, zdolna obsługiwać kilka opowieści jednocześnie. Z podmiotową Nowoczesną na pokładzie, wianuszkim eksperkiem. Problem w tym, że na taką rekonstrukcję nie ma już czasu ani materiału. Może zatem warto rozważyć ryzyko sprowadzenia do KO niedawno usuniętego z Konfederacji Artura Dziambora, który ma niewyrównane rachunki z Mentzenem i mógłby obsługiwać trudny dla Tuska styk? Albo chociaż wesprzeć jego partyjkę Wolnościowcy przy zbieraniu podpisów, bo jeżeli zdoła zarejestrować listy wyborcze, jakiś ułamek poparcia mogłaby Konfederacji podebrać. Takich spekulacji w otoczeniu PO ostatnio nie brakuje.

Chociaż największą zagadką pozostaje sama Konfederacja. Co tak naprawdę kryje się za jej kamuflażem, które jej oblicze jest najbardziej serio? To istotne, bo właśnie od formacji Mentzena, Winnickiego i Bosaka może przecież zależeć przyszła większość. Czy wybierze wtedy – jak zazwyczaj sędzi liberalna opinia – koalicję z PiS? To prognoza nieoczywista. Wiadomo, że sojusze z Kaczyńskim to jak pchanie się głową w paszczę krokodyla, szczególnie kiedy dysponuje się relatywnie niewielkim i słabo skonsolidowanym zapleczem. Spieszyć się do władzy też nie ma co, bo czas gra na korzyść znacznie młodszych konfederatów, a po odejściu Kaczyńskiego pirowską prawicę czekają turbulencje. Może więc przechylą na stronę opozycji? To również scenariusz z gatunku trudnych. Ale – słyszymy od jednego z liderów – w sumie lepszy od opcji pirowskiej. Chociaż pod jednym warunkiem: Lewica musiałaby się znaleźć w ogóle poza Sejmem.

Pozostaje wreszcie opcja wahadłowa, czyli zajęcie miejsca pośrodku sceny i któregoś z układów w konkretnych głosowaniach, oczywiście nie za darmo. Opcja w sumie korzystna przy mniejszościowym rządzie obecnej opozycji, gdyż taki układ długo się utrzyma (bo Duda, bo Przymięska...) i w przyspieszonych wyborach będzie można zagrać o wyższą stawkę. Ale już mniejszościowe rządy PiS będą stabilniejsze, a nikt nie może być dzisiaj pewny odporności przyszłego klubu Konfederacji na indywidualne presje i próby przekupstwa. Co przyznają po cichu nawet niektórzy konfederaci. Na pytanie o zdolności koalicyjne aż do wyborów nie będzie więc odpowiedzi.

RAFAŁ KALUKIN



Para od piaru

W PiS o tym duecie jedni mówią „kelnerzy”, inni, że to weterani wielu kampanii i doprowadzą partię do kolejnego zwycięstwa.

W każdym razie **Anna Plakwicz** i **Piotr Matczuk** uchodzą za marketingowych speców, którzy nie boją się żadnej roboty.

ANNA DĄBROWSKA

Myślę, że osobno nie osiągnęlibyśmy tych rzeczy, których dokonaliśmy razem. To jest fajnie uzupełniający się duet, a Ania jest ważną postacią dla politycznej kampanijnej roboty w PiS od wielu lat” – tak Piotr Matczuk widzi swoją współpracę z Anną Plakwicz. Oboje znaleźli się w wąskim siedmioosobowym sztabie, który od kilku miesięcy zbiera się w centrali PiS przy Nowogrodzkiej. W grudniu komitet polityczny na szefa sztabu wybrał europośła Tomasza Porębę, doświadczonego w kampanijnych bojach polityka, którego talenty niezwykle ceni Jarosław Kaczyński.

Machina zaczęła się rozpędzać i według wielu naszych rozmówców spora w tym zasługa marketingowego duetu. – *Jeszcze pół roku temu nasi posłowie bali się jeździć po okręgach i spotykać z ludźmi, ale od kiedy sztab zaczął działać i widać, że ma plan, nasi ludzie uwierzyli, że możemy wygrać*

trzecią kadencję. Zaangażowali się i sondaże skoczyły do góry – opowiada ważny polityk PiS.

W ostatnim, przeprowadzonym przez Ipsos dla OKO.press i Radia TOK FM wyszło, że PiS może liczyć na 34 proc. poparcia. Jak wynika z najnowszych obliczeń Polityki Insight, w marcu notowania PiS poprawiły się o 0,5 pkt proc. i sięgnęły 36,8 proc. Według wewnętrznych badań partii jest jeszcze lepiej – 38 proc. Dlatego nawet ci z PiS, którzy nie przepadają za duetem Plakwicz-Matczuk, przyznają, że robią dla partii dobrą robotę.

Plakwicze budują więź

Z ugrupowaniem związani są od prawie 20 lat. Anna Plakwicz, od 2004 r. magister nauk prawnych, jeszcze na studiach pracowała jako rzeczniczka prasowa urzędu warszawskiej dzielnicy Wawer. Do PiS ściągnął ją Konrad Ciesiołkiewicz, krótko związany z partią były rzecznik prasowy Kazimierza Marcinkiewicza. Przez całe siedem lat, kiedy partia grzała ławy opozycyjne w Sejmie, Plakwicz była dyrektorką biura prasowego klubu parlamentarnego.

– Jest choleryczką, jak kogoś nie lubiła, to nie miał z nią łatwo. Pamiętam, że wysysała z ludzi pomysły i przedstawiała jako swoje. Wtedy nie była szczególnie kreatywna, ale doświadczenie, które zebrała w PiS przez lata, doprowadziło ją do tego, że dziś odgrywa w sztabie bardzo ważną rolę – wspomina były współpracownik Plakwicz.

Piotra Matczuka, absolwenta nauk politycznych UW, z dawnych sejmowych czasów zapamiętano jako spokojnego i pracowitego chłopaka od Ziobry. Pracował dla ministra w resorcie sprawiedliwości i w biurze prasowym należał do grona najbardziej oddanych. W 2007 r. z ministerialnych komputerów wypisywał dla Patrycji Koteckiej, partnerki Ziobry, pochlebne opinie na forach internetowych. Lojalność się skończyła, kiedy Ziobryści, w 2011 r. wyrzuceni z PiS, założyli Solidarną Polskę. On został i zacieśnił współpracę z Plakwicz w biurze prasowym klubu. Ktoś zapamiętał, że przez chwilę próbował zawodowych sił poza Sejmem w jakiejś firmie badawczej, ale szybko wrócił na Wiejską. ▶

► Siłą tego duetu jest to, że inwestuje w relacje z tymi politykami, od których sporo zależy. Mają bardzo dobre układy z Jarosławem Kaczyńskim. W kadencji przed wygranymi wyborami w 2015 r. Plakwicz (tak m.in. mówi się o tym duecie w PiS, a także Solvery i Kelnerzy, bo dawniej tylko realizowali cudze pomysły) zbudowali też silną więź z ówczesnym szefem klubu Mariuszem Błaszczakiem. – *Anka trenowała go medialnie, co nie było łatwym zadaniem; pisała mu przemówienia i wysyłała do mediów. To procentuje do dziś, bo Mariusz bardzo ją lubi, zresztą tak samo jak prezes Kaczyński, który ma do niej ewidentną słabość* – twierdzi nasz rozmówca.

Szef MON ceni ich sugestie. To oni doradzili mu ogłoszenie budowy zapory na granicy z obwodem kalininogradzkim. W MSWiA nie spodobało się, że Błaszczak nie skonsultował tego wystąpienia z resortem, skoro budowa zapory to zadanie nie dla MON, tylko dla Straży Granicznej. Kiedy Niemcy zaofiarowali Polsce zestawy antyrakietowe wraz z obsługą, to najpierw Błaszczak przyjął to z entuzjazmem, a potem razem z Kaczyńskim zmienili zdanie i ogłosili, że trzeba wysłać te Patrioty do Ukrainy. W PiS można usłyszeć, że do zmiany narracji namówili ich właśnie Plakwicz i Matczuk. Duet miał tłumaczyć na Nowogrodzkiej, że dla elektoratu nie będzie zrozumiałe to, że bierzemy pomoc od Niemców i jednocześnie atakujemy ich w kampanii. – *Zapadła decyzja, aby zbyt mocno nie walić w UE, bo Polacy są jednak prounijni, a w Niemców teraz łatwiej mocno uderzać w związku z ich postawą wobec wojny w Ukrainie, która nie podoba się nie tylko w naszym elektoracie* – opowiada polityk władzy. Ostatecznie – także po interwencji USA i prezydenta Dudy – polski rząd zgodził się przyjąć niemieckie wyrzutnie.

Kelnerzy spiskują

W PiS chwalą ich, bo jak mało kto potrafią patrzeć na politykę z perspektywy widza. Wiedzą, jak zrobić atrakcyjny telewizyjnie obrazek, a do tego Matczuk umie wczuć się w pisowską duszę, wie, co jej się spodoba. Piotr Matczuk mówił Michałowi Kolance, autorowi książki „Game Changer” (wydanej w 2022 r.): „Dobry szef kampanii wpuszcza jak najmniej polityki na posiedzenia sztabu. Wręcz izoluje sztab od bieżącej wewnętrznej rozgrywki, żeby ten mógł skupiać się na skutecznej walce”. Dlatego prezes PiS zdecydował, że tym razem, kiedy stawka wyborów jest tak wysoka, nie chce widzieć w sztabie ludzi od Mateusza Morawieckiego. Plakwicz i Matczuk są mocno skonfliktowani ze środowiskiem

premiera. Solvery trzymają dziś z Mariuszem Błaszczakiem, Beatą Szydło, Elżbietą Witek i Jackiem Sasinem, który jeszcze kilka miesięcy temu stanął na czele tych, którzy chcieli odwołać Morawieckiego. W sztabie pracuje z nimi Andrzej Śliwka, wiceminister aktywów państwowych, bardzo bliski współpracownik Sasina.

Premierowi komunikacyjnie wciąż doradzają nieformalnie Mariusz Chłopik i podobno Marcin Mastalerek, a także szef Centrum Informacyjnego Rządu Tomasz Matynia i rzecznik Piotr Müller. Żadnego z nich do sztabu PiS nie wpuszczono. Jak do tego doszło, że dawniej zgrana drużyna marketingowych speców podzieliła się i mówi o sobie nawzajem dużo nieprzyjemnych rzeczy? Poszło o pewien spiszek przeciwko prezesowi Kaczyńskiemu.

W 2015 r. wszyscy ostro harowali na zwycięstwo PiS. – *Zależało im, by Szydło została premierką, bo wiedzieli, że przy niej rozkwitnie ich kariera. Uznali, że czas Jarosława się kończy* – opowiada osoba znająca kulisy sprawy. Starzy druhowie ostrzegali Kaczyńskiego, że młodzi razem z popularną w elektoracie premierką chcą mu przejąć partię. – *Kelnerzy chodzili do prezesa przekonywać go, że to były szalone pomysły Marcina Mastalera, a oni są i będą lojalni* – relacjonuje nasz rozmówca. Okazali się bardzo skutecznymi, bo Kaczyński im uwierzył.

Ktoś inny opowiada, że ostatecznym dowodem odkupienia win przez Plakwicz i Matczuka było zawieszenie w Kancelarii Premiera w siódmą rocznicę katastrofy smoleńskiej tablicy (za 200 tys. zł) upamiętniającej Lecha Kaczyńskiego, Zbigniewa Wassermanna i Przemysława Gosiewskiego. Nie ma do końca jasności, czy to był pomysł, ale według naszych informatorów duet przedstawił to tak, jakoby to on wymyślił i zorganizował uroczystość. Oboje pracowali wtedy w kancelarii premier Beaty Szydło.

Po krótkim epizodzie we wspólnym biznesie w 2018 r., na prośbę Nowogrodzkiej, Plakwicz i Matczuk znaleźli się w Kancelarii Premiera, wtedy już Morawieckiego, gdzie odpowiadali za komunikację. Jednak premier pozbył się ich po niespełna roku. – *Darli koty z ludźmi premiera, nie ufali sobie i musieli odejść. Od tamtej pory jeszcze bardziej ze sobą rywalizują. I jedni, i drudzy uważają się za mistrzów komunikacji* – opowiada ważny świadek tej wojenki. Annę Plakwicz poratował Błaszczak i w 2019 r. została dyrektorką Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej.

Dziś duet spin doktorów, choć pełną parą pracuje dla Nowogrodzkiej, formalnie ma posady w spółkach Skarbu

Państwa. Plakwicz od 2020 r. wędruje po największych: dyrektorka ds. marki w Pekao SA, dyrektorka zarządzająca marketingu, sponsoringu i prewencji w PZU, dyrektorka ds. marketingu i komunikacji w PKO BP. Dodatkowo od połowy 2021 r. jest w radzie nadzorczej spółki Sanok Rubber, gdzie delegowało ją PZU i zarabia tu ok. 10 tys. zł miesięcznie.

Piotr Matczuk od prawie dwóch lat jest dyrektorem w Orlenie i odpowiada za komunikację. Nasi rozmówcy związani ze spółkami opowiadają, że Plakwicz i Matczuk niezbyt często pojawiają się w pracy. O ich kompetencjach też krążą niezbyt przychylnie komentarze. – *Znajdą się na politycznym piarze, kręceniu spotów, wiedzą, jak zrobić ładny obrazek z konwencji wyborczej, ale tu w spółkach potrzeba fachowców od nieco innej, bardziej subtelnej komunikacji* – mówi osoba z rynku.

Partia korzysta na tym układzie podwójnie. Oszczędza, bo nie musi im płacić ze swoich pieniędzy za pracę przy kampanii. Dodatkowo, jak trzeba, to przypilnują, aby spółki dotowały media, gale czy kongresy wychwalające władzę i zasilili czeki, które wręczają politycy PiS w swoich okręgach wyborczych.

Solvery straszą

O kulisach ciężkiej kampanijnej harówki opowiadał sam Piotr Matczuk: „Przychodzi się do siedziby PiS przy Nowogrodzkiej w Warszawie bardzo wcześnie rano. Od rana trzeba ogarnąć przegląd prasy i internetu, trzeba zbudować tezy z tego przeglądu. Zwykle ok. 9–10 zaczyna się sztab. Trzeba być przygotowanym, trzeba mieć przetworzony cały ten polityczny materiał. A zwykle jest go niemało”.

Osoba związana dawniej ze sztabem chwali, że Plakwicze są mistrzami maksymalnego uproszczenia przekazu: – *Wiedzą, jak budować emocjonalne napięcie w spotach, to pozytywne z powiewającymi flagami w tle i uśmiechniętymi małymi dziećmi, ale też jak postraszyć Polaków uchodźcami czy osobami LGBT*. Dodaje, że prezes ceni ich za to, że w przeciwieństwie do ferajny Morawieckiego Plakwicze nie mają zahamowań w komunikacji i uderzają prostymi komunikatami, które trafiają do wyobraźni. A to wszystko w doskonałe obliczoną kampanijnym tajmingu i oprawie na bogato.

Zanim na krótko odeszli z posad rządowych, założyli spółkę Solvere. W 2019 r. prokuratura ustaliła, że Plakwicz i Matczuk złamali ustawę antykorupcyjną, bo założyli firmę jeszcze jako urzędnicy Kancelarii Premiera. Ostatecznie nie

usłyszeli zarzutów, bo jak uzasadniali śledczy, „sytuacja była przez nich niezawiniona”. Dziś Solvere jest w likwidacji. Pod jej szyldem zrealizowali kampanię „Sprawiedliwe sądy”, odpowiedź na weta Dudy do ustaw sądowych, która miała ukazywać nieuczciwość „kasty sędziowskiej”. Nagłaśniali przypadek sędziego, który ukradł kiełbasę oraz jechał samochodem pod wpływem alkoholu. Wp.pl ustaliła, że w chwili publikacji tych informacji sędzia od dwóch lat już nie żył, a od 2006 r. nie orzekał. Za tę akcję Plakwicz i Matczuk wystawili Polskiej Fundacji Narodowej faktury na prawie 2 mln zł. Solvere była też na liście płac PiS od sierpnia do grudnia 2017 r. – 450 tys. zł, a także przez pierwsze dwa miesiące 2018 r. – zarobiła wtedy 73 tys. zł.

To oni w kampanii samorządowej w 2018 r. mieli wymyślić spot przeciwko przyjmowaniu uchodźców. Zagrali na stereotypach odwołujących się do różnic narodowościowych, etnicznych i wyznaniowych. Przekaz miał być prosty: jeśli wygrają kandydaci PO, to Polska zostanie zalana przybyszami z całego świata i stanie w płomieniach. Onet opublikował treść dokumentu, który miała wysłać do współpracowników w tej sprawie Anna Plakwicz, spot określiła mianem atomowego uderzenia. „I teraz pytanie, kiedy ich tym zaatakować – 15.10 chyba za wcześnie bo odpowiedzą 17.10 (3 dni do wyborów chyba za późno – nie rozgrzemy tematu?) Następnego dnia konferencje pod wszystkim ratuszami Prezydentów miast, którzy podpisali się pod listem o przyjmowaniu uchodźców”. Stało na drugiej dacie.

Spot oburzył RPO Adama Bodnara, który skierował sprawę do prokuratury. Zawiadomienie złożył też założyciel Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych Rafał Gaweł. Prokuratura kontrolowana przez Ziobrę nie chciała podjąć śledztwa, a gdy sąd jej to nakazał, dość szybko umorzyła sprawę. Nie była nawet w stanie ostatecznie ustalić, czy spot to robota Plakwiczów, choć byli na to świadkowie. Według Onetu Plakwicz, Matczuk i ich współpracownik Michał Lorenc (syn znanego kompozytora) żądali od współpracowników, by jako winnych wskazywali spółkę Level z Krakowa, która formalnie wystawiła PiS faktury za spot o uchodźcach.

Były współpracownik Lorenca cytowany przez Onet tak opisywał sposób jego działania: „On uwielbia ciszę. Robi wszystko, by Agencja Warszawa nie była w żaden sposób łączona z PiS. W efekcie, niby pracując dla Agencji, wykonywaliśmy pracę dla różnych tajemniczych

spółek współpracujących z nami i to te spółki widniały później w umowach zawieranych z partią”. Potwierdzają to nasi rozmówcy, którzy byli związani z kampaniami PiS, a także inni dziś pracujący dla partii. Twierdzą, że Plakwicz pracują pod dyktando Lorenca, choć ich zwolennicy mówią, że Plakwicz to dyrektorka kreatywna, a Matczuk wykonawczy. – *W branży wiadomo, że agencje powiązane z Lorenцем dostają najwięcej zleceń ze spółek państwowych. Wygląda na to, że partia rządząca odwdzięcza się za wsparcie w kampaniach* – słyszymy od człowieka związanego z branżą. Po przejściu władzy

– *Przy stołach siedzieli smutni eksperci. Plakwicz zorganizowałiby konferencje prasową w szkole, pokazali, że wszystkie dzieci będą uśmiechnięte i zaopiekowane jak te, które tu ściągęli* – przewiduje nasz rozmówca.

Dla równowagi Matczuk i Plakwicz zorganizowali premierowi 11 marca w Jaśle spotkanie inauguracyjne objazd programu PiS po kraju. W radosnej scenerii, z kołami gospodyń wiejskich w tle i dziećmi z młodzieżowych ochotniczych straży pożarnych, Morawiecki chodził całkiem wyluzowany z mikrofonem i opowiadał, jak dobrze się żyje w Polsce pod rządami

Duet spin doktorów, choć pełną parą pracuje dla Nowogrodzkiej, formalnie ma posady w spółkach Skarbu Państwa. Plakwicz wędruje po największych: Pekao SA, PZU, PKO BP. Matczuk od dwóch lat jest dyrektorem w Orlenie.



przez PiS agencja Lorenca (do 2020 r.) została wiodącą agencją reklamową kontrolowanego przez rząd PKO BP. Od jesieni minionego roku spółka, w której Lorenc ma udziały, znów obsługuje bank.

Kaczyński podobno na to przystaje, bo wie, że w świecie marketingu PiS nie ma dobrej opinii i mało kto zgodziłby się dla partii pracować. Dla ludzi PiS to wiadome, że Anna Bielecka, goszcząca w swoim saloniku Kaczyńskiego i profesorskie towarzystwo partyjne, sympatyzuje z piarowcami premiera, ale wspiera też duet Plakwicz-Matczuk. A to dlatego, że przyjaźnią się z synem kompozytora Michała Lorenca, który też jest na liście gości Bieleckiej, i to na bardzo wysokim miejscu.

Plakwicz rozświetlają

Piotr Matczuk: „My bardzo się przykłądaliśmy z Anną Plakwicz do tego obrazka, bo on w dzisiejszych czasach stał się najważniejszy z punktu widzenia odbioru społecznego”. I sztab z Nowogrodzkiej uważa, że w tych obrazkach jest o nieco lepszy od spin doktorów premiera. – *W pierwszy dzień wiosny zorganizowali konferencję w ponurych, ciemnych wnętrzach i ogłosili, że jest dobrze, bo węgla zimą nie zabrakło. Wyglądało to dramatycznie* – zauważa nasz rozmówca. Podaje kolejny przykład – konferencja z 22 marca w KPRM, kiedy premier ogłaszał, że państwo musi chronić dzieci.

PiS. Podobno był z tego wyjazdu bardzo zadowolony i nawet wdzięczny sztabowcom, że tak dobrze wszystko przygotowali. Krytycy sztabu twierdzą, że Plakwicz z Matczukiem powtarzają zgrane z poprzednich kampanii triki. Inni biorą ich w obronę, że skoro wtedy zadziałało, to po co wymyślać coś nowego.

Tegoroczne konwencje mają być skromniejsze, by w czasie szalejącej inflacji nie drażnić wyborców przepychem. W 2017 r. zadali PO cztery pytania m.in. o uchodźców i sprawy społeczne, a Platforma weszła wtedy z nimi w dość nieudolną dyskusję. Teraz sformułowali 12 pytań do Tuska, a kiedy opozycja nauczona tamtym doświadczeniem zignorowała je, PiS wypuścił niedawno spot. „Działania rządu PO-PSL były sprzeczne z polską racją stanu. Donald Tusk nie odpowie na postawione mu pytania, dlatego robimy to my poprzez spot” – mówił Poręba.

„Oczywiście negatywna kampania i adresowanie przeciwnika musi być, ale większość kampanii to muszą być pozytywne pomysły” – uważa Piotr Matczuk. Kampania nabiera tempa, w PiS całkiem dobre nastroje, ale do tej pory tych pozytywnych pomysłów spin doktorzy jeszcze nie pokazali. Podobno mają odpalić coś po Wielkanocy...

Piotr Matczuk i Anna Plakwicz nie odpowiedzieli na naszą prośbę o rozmowę.

ANNA DĄBROWSKA

Teoria łajdactwa

Łajdactwo. Świństwo, draństwo, niczemność. Dlaczego ludzie się tego dopuszczają? Dlaczego autorytarnej władzy, w tym polskiej, tak łatwo przychodzi zgromadzić sforę donosicieli, manipulatorów, propagandystów? Jak to tłumaczyć? Jak oni sobie tłumaczą to, co robią?

W

EWA WILK

czasie wielkanocnym nieuchronnie nasuwają się ewangelijne przenośnie i analogie. Przypomnijmy sobie, ile podłości wydarzyło się w ciągu jednego Wielkiego Tygodnia w Jerozolimie. Zdrada, korupcja, manipulacja tłumem, podleganie do linczu, szyderstwo, agresja, umywanie rąk od odpowiedzialności...

Historia ludzkości jest obficie tym łotrowskim repertuarem przesyconą, a obecna polska rzeczywistość społeczno-polityczna – zdumiewająco i przerażająco. Kiedy świeżo komentowano tragedię rodzinną posłanki Magdaleny Filiks, kiedy wróciła do nas historia medialnego zaszczuwania Pawła Adamowicza, wracało także pytanie: jak to możliwe, że po doświadczeniach PRL w kolejnych pokoleniach znajdują się zastępy ludzi gotowych uczestniczyć w cynicznym „froncie ideowo-propagandowym”? W odwracaniu znaczeń słów podstawowych, jak demokracja, prawo, sprawiedliwość? W braniu milionowych srebrników za wierność i usłużność wobec władzy?

Czyżby wewnętrzne brudne kompromisy moralne (bo przecież wiele z tych osób pewnie ma jakiś instykt etyczny) były zawierane za wulgarną kasę? Za awans, za jakoś tam wywindowany status społeczny? Zbyt proste. Korzyści psychiczne z bycia łobuzem są bardziej wyrafinowane i zgubnie ponętne. Oto ich pobieżny przegląd, w którym materialny wymiar nieprzypadkowo znalazł się na ostatnim miejscu.

1. Potwierdzenie (strasznej) wizji świata

Każdy dąży do stworzenia sobie spójnego obrazu rzeczywistości, bo życie w poznawczym chaosie, w stałej niepewności, byłoby dla ludzkiego umysłu nie do zniesienia.





ILUSTRACJA MARTA FREJ

Wypracowujemy sobie punkty odniesienia, poznawcze drogi na skróty, by czuć się w miarę bezpiecznie. Paradoksalnie duży komfort daje wizja świata jako miejsca skrajnie niebezpiecznego. Konsekwentnie utrwalany pejzaż odwiecznej walki dobra ze złem, w której notorycznie trzeba stawać po stronie dobra. Zło jawi się jako wszechobecne. Przybiera też różne postaci. W oficjalnej państwowej propagandzie to opozycja, Niemcy, LGBT, ekolodzy. Ich czyny to zamach smoleński, zamach na rodzinę, zamach na Kościół, na tradycję, na polskość, na papieża. Ten świat wypełniają demoniczne stwory: Donald Tusk prowadzony na niemieckiej smyczy; Rafał Trzaskowski, który każe jeść robaki; Justyna Wydrzyńska podająca mordercze tabletki.

Po ośmiu latach tropienia wrogów przez obóz rządzący każdy zainteresowany polityką, niezależnie od swoich sympatii, obudzony w środku nocy bez pudła wyrecytuje tę pracowicie (im dalej w kampanię wyborczą, tym zwawiej) uzupełnianą listę.

Jak to się ma do indywidualnych szalbierstw? Racjonalizuje je i relatywizuje: moje zło jest malutkie wobec zła wielkiego, podstępного, prawdziwego. Wątpliwe i niewinne, bo przecież służy walce z tym wielkim.

Dzisiejsza rzeczywistość informacyjna to – wiadomo – bańki pilnowane przez algorytmy. Można powiedzieć, że spełniło się marzenie guru zbrodniczych sekt o doskonale szczelnej informacyjnej izolacji. Nie trzeba wyciągać wyznawców z domów, zamykać ich w odludnych ranczach – sami się przykuwają do komputerów, telefonów i pasków w TVP Info, które podsuwają im natychmiastową interpretację tego, co się dzieje.

I za taką właśnie uproszczoną, jednoznaczną wizję świata człowiek dostaje ponętną gratyfikację. Ta wizja bowiem jest spójna i uspokajająca. „Dla wielu umysłowości jej przyjęcie bywa pierwszym w życiu kojącym doświadczeniem poznawczym: Wiem! Teraz wiem na pewno” – piszą w legendarnym „Wiekach propagandy” z 1992 r. Anthony Pratkanis i Eliot Aronson i z biegiem lat ich książka nabiera mocy ponurego proroctwa.

2. (Przesadne) znaczenie przynależności

Znaczenie, jakie ma dla człowieka przynależność grupowa, jest banałem psychologicznym. Do klasyki należą eksperymenty m.in. noblisty Henriego Tajfela, który tworzył dwie grupy z osób zupełnie sobie obcych przy zastosowaniu błahych, pozbawionych znaczenia kryteriów, np. na podstawie wyników rzutu monetą albo wedle upodobania do stylu malarstwa Klee lub Kandinsky’ego. I po przybraniu określonej „tożsamości” ludzie byli nieomal gotowi umierać „za swoich”. A przynajmniej traktowali ich jak osoby bardzo bliskie, przypisując im nawet sympatyczniejszą osobowość. Mając eksperymentalną możliwość obdarowania wszystkich badanych kilkoma dolarami, ostentacyjnie premiowali „swoich”.

Znów zatem pojawia się psychologiczny bonus: poczucie bezpieczeństwa, pewności, bo „tak właśnie postępują ludzie tacy jak my”.

3. Duma ze (stadnej) lepszności

Przynależność niesie kolejny prezent: podbija ego, staje się źródłem poczucia jak najbardziej osobistej dumy i wysokiej własnej wartości. Aby je zyskać, trzeba niewiele: przyjąć symbole, rytuały i przekonania grupy, nauczyć się jej języka. Słuchać i powtarzać „komunikaty dnia”.

Język mówiony szybko staje się językiem, którym człowiek myśli, dyskutuje sam ze sobą; w tym wewnętrznym dialogu pozwala sobie zresztą na jeszcze większą dosadność. To pozwala znaleźć odpowiednie sformułowania, by zażarcie ►

► bronić zarówno całej swej społeczności, jak i każdego z jej członków z osobna. Bo przecież nasi z definicji są lepsi, uczciwsi, mądrzejsi i właśnie dlatego bezlitośnie atakowani, oszczani, niszczeni. My – ci lepsi – stoimy na straży cnót lojalności i solidarności. Wobec „kryształowo uczciwych”, jak fruujący prywatnie za państwowe (jako marszałek Sejmu) Marek Kuchciński, mailujący ze swadą tajemnice państwowe (jako szef Kancelarii Premiera) Michał Dworczyk, kłamiący nawykowo i z niepodrabialną swobodą premier Mateusz Morawiecki. Nasi, np. Adam Glapiński, nie mogą przecież wygadywać stand-uperskich bzdur ani jak Daniel Obajtek robić podejrzane interesy. To wizjonerzy. Strategiczne błędy? Może omyłki. Prywata, chciwość, ślepa żądza władzy, dyktatorska buta? Oj tam, drobne słabostki, któż ich nie ma?

4. Poczucie (wyjątkowego) JA

Ta wybacząca postawa sphywa na jej – by tak rzec – okaziciela. Prof. Jan Hartman w „Etyce życia codziennego” powiada, że z psychologicznego punktu widzenia każdy człowiek uważa się za istotę wyjątkową, a przyjmowanie postawy narcystycznej jest nieomal wpisane w ludzkie postępowanie. „A skoro ja sam dla siebie jestem najważniejszy, sam dla siebie wzorcem, to trudno, abym nie przyznawał sobie wyjątkowej pozycji w relacjach moralnych”. W rezultacie łatwo dać sobie prawo do naruszania norm, do występków w uzasadnionych przez – podkreślił – siebie samego okolicznościach. Jak obrazuje to prof. Hartman, nieznanne są przypadki, by ktoś przebiegłszy na czerwonym świetle, udawał się niezwłocznie na komisariat z prośbą o mandat. Rozgrzeszenie następuje bez skruchy i obietnicy poprawy.

Idąc tym tropem, można przypuszczać, że ludzie dopuszczający się świństw i łotrstw wręcz automatycznie się rozgrzeszają. Na dodatek odsiecz „takich samych jak my”, czyli robiących to samo, przychodzi niezwłocznie i niezawodnie. Jak np. wobec szczecińskich tzw. dziennikarzy ze strony „Gazety Polskiej” czy osławionych pasków TVP Info: cała wina za zaszczucie i doprowadzenie do samobójstwa dziecka zostaje złożona na barki opozycji. I – co jest już łajdactwem wyjątkowym – na matkę, „która nie dopilnowała”.

Ale „twórcy” tego bagienka słyszą zgoła inne komunikaty i widzą siebie jak najlepiej: oto Ja – dociekliwy, bezkompromisowy demaskator prawdy. Ileż jest do dyspozycji tzw. mediów publicznych osób przeświadczonych o swej wyjątkowej erudycji, elokwencji, sprycie, retorycznym talencie i niezrównanym dowcipie. Dyżurnych komentatorów, ekspertów od wszystkiego.

Prof. Mirosław Karwat (w „Przestrzeniach manipulacji społecznej” pod red. Dariusza Dolińskiego i Małgorzaty Gamin-Wilk) pisze o *manipulacyjnej dyskredytacji*, jak politologia nazywa wredny zabieg wszelkich propagandystów. Polega on na podważaniu zaufania, kwestionowaniu intencji, dokonani i dążeń wroga politycznego. Taki atak może być dyktowany niezbitym przekonaniem o słuszności własnych przekonań, ale często (najczęściej?) to cyniczne, podstępne działanie w złej wierze. Prof. Karwat: „Odwołuje się ono nie tyle do rozumu, przemyśleń odbiorców, ile do ich złudzeń, ignorancji, nieporozumień językowych, do negatywnych, a niekontrolowanych emocji”. Według politologa za skuteczne zdezwauowanie przeciwnika manipulator zyskuje po swojej stronie kredyt zaufania, bezterminowy abonament „wiarygodności”. Tylko tyle, by stać się autorytetem? Jakże to łakome, jak kojące wszelkie niepewności, zawahania; jakże mobilizujące do dalszego obrzucania błotem.

5. (Hiper)radikalizm

Psychologia zna doskonale zjawisko *odłączenia moralnego*, czyli sytuacji, które człowiek uznaje za ekstremalne, tak zagrażające jego podstawowym dobrom, że zawiesza najgorzej wyznawane normy moralne. Trudno oskarżać o zbrodnię matkę, która widząc katowanie własnego dziecka, sięga po nóż i zabija oprawcę.

Dziś powszechnie doznajemy odłączenia moralnego w kontekście napaści Rosji na Ukrainę. Zrozumiała propaganda wojenna Ukrainy z nieukrywana satysfakcją podaje światu liczby ubitych wagnerowskich zombie, a świat – ten sprawiedliwy, dumny ze swej solidarności z Ukrainą – wiernie jej w tym kibicuje. Nawet najzagorzalsi pacyfiści pokładają nadzieję w mocy bojowej żelaznych monstrów do zabijania: Leopardów, Abramsów, Migów. Cel uświęca środki to ulubione credo wszelkich ideowców w słusznych i niesłusznych sprawach.

W Polsce mamy do czynienia z sojuszem Kościoła i władzy. Z oficjalną operacją utrwalania w głowach jak największej części obywateli, najlepiej już w szkole, niewzruszalnego przekonania, że nie ma przeszłości Polski bez Kościoła oraz ewidentnych, epizodycznych choćby, interwencji sił niebieskich. I nie będzie przyszłości, jeśli społeczeństwo od Kościoła się odwróci. Model wiary bezrefleksyjnej, bigoteryjnej, skupionej na obrzędowości i strachu przed karą boską, trzyma się w naszym kraju wciąż mocno.

Trudno orzec, co stało za postępowaniem takich osób, jak lekarze z Pszczyny (tragicznie niepotrzebna śmierć pani Izabeli), jak farmaceuta, który wezwał policję, bo ktoś przyszedł z receptą na lek, którego skutkiem ubocznym może być poronienie (lek był dla konia), czy też sędzia, która wydała wyrok na aktywistkę Aborcyjnego Dream Teamu. Tylko troska o własne bezpieczeństwo wobec drakońskiego prawa? Rygoryzm moralny i nakaz sumienia? Iluż ludzi władzy – których oskarżamy publicznie o korupcję, nepotyzm, łamanie prawa, arogancję, szcucie – uważa się za wzorcowych katolików.

Pisał Leszek Kołakowski: „Trzy są rodzaje operacji diabelskich na człowieku: kuszenie, obsesja i opętanie; z pierwszym demon na wszystkich ludzi nastaje, drugą tylko w niektórych godzi, trzecia rzadko mu się udaje, ale też męka to i groza straszliwa”. Ideowy czy religijny fanatyzm jest właśnie tą trzecią grozą, tym opętaniem.

6. Natychmiastowa (emocjonalna) solidarność

Ktoś, kto dopuścił się niegodziwości, może liczyć na tę część publiczności, która kieruje się głównie emocjami. Zawsze znajdują się tacy, którzy nie przepuszczą okazji, by zhejtować wroga, pogłaskać infantylnym emotikonem swojego, swoimi emocjami potwierdzą emocje obwinianego, będą się z nim solidaryzować na Facebooku, Twitterze, TikToku, w skolonizowanych przez własne plemię obszarach internetu oraz zinternacialej, żeby nie powiedzieć zidiocialej, części mediów.

Komentarze na wyścigi, po 15 minutach od zdarzenia, choć jeszcze nie wiadomo, co się stało. Analizy zjawisk przez tych „z monopolem na wiarygodność”. Teorie spiskowe za „sprawdzonymi źródłami”. Ileż w tym pogardy dla odbiorców. Hitler w „Mein Kampf”: „Propaganda powinna odwoływać się przede wszystkim do emocji i tylko w bardzo ograniczonym stopniu do tak zwanego intelektu. Zdolność przyjmowania przez masy treści politycznych jest bardzo ograniczona, a możliwości zrozumienia ich niewielkie, z drugiej strony mają one (masy) pewną zdolność zapamiętywania”. Zwłaszcza emocji.

7. (Kruczy) dowód słuszności

To traktowanie ludzi jak stada baranów, „ciemną masę” cechuje z pewnością osoby, które instalują w Polsce system polityczny i społeczny oparty na klientyzmie i kumoterstwie, uwłaszczaniu się na dobru wspólnym, wulgarnym nagradzaniu swoich (jak np. awans sędzi w sprawie Justyny Wydrzyńskiej dzień po wyroku).

U steru tej demolki stoją prawdopodobnie liczne indywidualia dotknięte którymś (albo wszystkimi jednocześnie) z zaburzeń osobowości, jak narcyzm, makiawelizm, socjopatia. Sprowadzają się one do traktowania innych instrumentalnie.

Nie sposób tu uniknąć truizmów w rodzaju: przykład idzie z góry lub ryba psuje się od głowy. Ale tak właśnie jest, a nauki społeczne nazywają to zjawisko *dowodem społecznej słuszności*. Można je zaobserwować w dziesiątkach codziennych sytuacji: tłum gapiów nie rusza z pomocą dla ofiary wypadku, dopóki ktoś wreszcie nie ruszy; restauracja świeci pustkami, póki ktoś nie zasiądzie do kolacji; jeden stragan stoi bezczynnie, do drugiego stoi ciasny ogonek, bo ktoś stanął pierwszy, czyli miał ku temu jakąś rację. Stanę i ja.

Analogicznie: ktoś wyciągnął grubą kasę na wilę dla fundacji, szarpnę i ja. Minister od edukacji Czarnek rozdaje pieniądze swoim ludziom, więc ja, minister od innowacji Żalek, zrobię to jeszcze lepiej. Kolega, szef spółki Skarbu Państwa, wpłacił „z własnego” na partię i jest na parę lat nietykalny, wpłacę i ja. Jest trend w telewizji publicznej: „jazda bez trzymanki na opozycję”, cóż, to i ja, redaktor z ośrodka terenowego, rozjadę posłankę z okręgu.

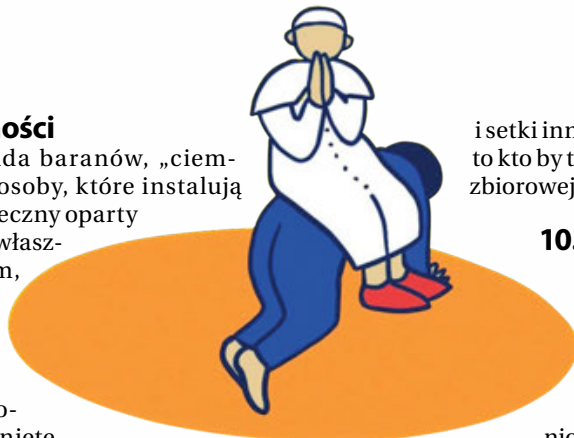
8. Wiara w (złych) innych

Dowód społecznej słuszności działa też z odwróconym wektorem: robimy źle, ale ci z drugiej strony w naszej sytuacji robiliby to samo, tylko gorzej. Pisowska kadra sejmowa i rządowa jest doskonale wytrenowana w ironicznie rozumianej polityce historycznej (jak zadają ci pytanie, na które nie ma dobrej odpowiedzi, wal w Tuska). To zresztą opisany przez politologię element manipulacji. Idąc za prof. Karwatem, zaraz za intencją ugodzenia przeciwnika lokuje się znalezienie tematu zastępczego oraz dryfowanie w dygresje i detale.

Wydawać by się mogło, że to jest czytelne dla szerokiej publiczności, śmieszne, znudziło się. Niestety, przeciwnie, po ośmiu latach tej narracji duża część społeczeństwa jej się wyuczyła. Jedni tylko żartują, ale inni naprawdę wierzą, że Tusk z Trzaskowskim u władzy zabronią jeść mięso, skonfiskują samochody, zabiorą 500 plus, podniosą wiek emerytalny i ześlomują wszystkich Janów Pawłów II spod kościołów. Duże i małe łobuzy od propagandy grają na takich właśnie prostych akordach jak na cymbałach.

9. Bezkarność (czasowo) gwarantowana

Takie czasy, trzeba się przystosować, za coś żyć, ja tu jestem od wykonywania zadań, a nie od filozofowania – zapewne tak przebiega tok myślenia specjalistów od podsłuchów, pograniczników spychających uchodźców w białowieskie bagna, fachowców od czarnej propagandy. Są pewni przyzwolenia i bezkarności, bo jak się zrobi afera, to partia ich na jakiś czas schowa i przechowa, jak Antoniego Macierewicza, Marka Kuchcińskiego, Krystynę Pawłowicz, Stanisława Piotrowicza oraz Piebiaka, Żalka, Bielana, Meję, Duklanowskiego



i setki innych. Skoro oni są bezpieczni i urzędzeni, to kto by tam bał się odpowiedzialności, zwłaszcza zbiorowej?

10. (Sowita) gratyfikacja materialna

Zarobki sędziów TK określa ustawa: przeciętne wynagrodzenie w II kwartale poprzedniego roku mnoży się przez pięć. Pod koniec 2022 r. wyniosło ono nieco ponad 6 tys. zł, a to oznacza, że sędzia TK otrzymuje ok. 30 tys. zł miesięcznie.

Według wp.pl w 2022 r. partyjna TVP zatrudniała niemal 3 tys. pracowników. Zasadnicze wynagrodzenie brutto zwiększyło się do 10,5 tys. zł. Liczba etatów dyrektorów i wicedyrektorów na koniec ub.r. doszła do stu. Gwiazdy zarabiają po kilkadziesiąt tysięcy.

Daniel Obajtek twierdzi, że jest najgorzej opłacanym prezesem Orlenu w historii, ale z jego zeznania podatkowego wynika, że już w 2019 r. zbliżył się do 2 mln zł rocznie. W tym samym roku Adam Glapiński przekroczył magiczny 1 mln zł rocznie na posadzie prezesa NBP. Po milionie i więcej zarobiły setki działaczy ulokowanych w spółkach Skarbu Państwa.

Tak więc peerelowska, nomenklaturowa hydra odrosła. Najgorsze, że sprzyja jej klimat społeczny. CBOS od lat bada postawy wobec „kontrowersyjnych zachowań moralnych”. Co prawda nie pyta się respondentów o stosunek do kłamstwa, chamstwa, oszczerstwa, insynuacji, nepotyzmu, lecz wciąż o aborcję, homoseksualizm, rozwód, konkubinaty. Niemniej wnioski z tych analiz są niepokojące: przekonanie, że należy mieć wyraźne zasady moralne i nigdy od nich nie odstępować, wyraża obecnie tylko jedna piąta badanych (w 2013 r. 31 proc.). 40 proc. jednoznacznie reguły uważa za pożądaną, ale dopuszcza, by w pewnych sytuacjach uznać je za nieobowiązujące. Coraz więcej Polaków przyjmuje postawę: w sprawach etycznych – sam sobie będę sterem i okrętem. Już 15 proc. (w 2013 r. 9 proc.) opowiada się za postępowaniem całkowicie uzależnionym od sytuacji, a odgórne ustalanie reguł moralnych uważa za bezzasadne.

Od 2009 r. – piszą analitycy CBOS – Polacy systematycznie odchodzą od tzw. absolutyzmu moralnego w kierunku relatywizmu. W ciągu ostatniej dekady istotnie wzrosła akceptacja dla zaniechania obowiązków służbowych, wręczania i przyjmowania łapówek, nawet dla bicia dzieci. Jedyne dwa zjawiska, dla których przyzwolenie w porównaniu z 2013 r. się zmniejszyło, to świadome kupowanie rzeczy podrabianych oraz – uwaga – nieuczestniczenie w wyborach.

Iskierka nadziei dla naszej Judei 2023? Podobny wszak mamy tu kryzys zasad etycznych, podobne manipulacje ludzką zbiorowością, podobne rozkładanie odpowiedzialności za draństwo. I podobne czekanie na wybawienie. Może w wyborach?

Obecna władza buduje system premiujący cały wachlarz nieuczynnych zachowań. Ale potencjał, by odpuścić sobie zasady etyczne, choćby epizodycznie, choćby dlatego „że wszyscy...”, drzemie w każdym człowieku. Pokusa dominacji, pieniędzy, a przede wszystkim napompowania narcystycznego „Ja” to siła, w jakie łatwo może wpaść polityk, działacz, ale też wyborca dowolnej orientacji. Miał rację Leszek Kołakowski: iście diabelska to operacja.

EWA WILK

Franciszkańska 3



To tutaj poleciały w okna kamienie, gdy kardynał Sapieha polecił przenieść trumnę marszałka Piłsudskiego na Wawelu; stąd kardynał Sapieha wyruszył na spotkanie z gubernatorem Frankiem; tu wyświęcił na księdza Karola Wojtyłę. Tutaj tysiące młodych ludzi skandowały: „Zostań z nami!” do papieża z Polski; tu wiele lat później zebrał się gniewny tłum w obronie praw kobiet.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Jest takie okno w Krakowie, które dobrze znają mieszkańcy i turyści z całego świata. To okno w budynku biskupów krakowskich przy ulicy Franciszkańskiej 3. Dziś zamurowane i przykryte mozaiką uwieczniającą widok papieża Jana Pawła II w geście pozdrawiającym wiernych. Kiedyś pojawiał

się w nim żywy papież „z dalekiego kraju”, by na koniec kolejnego dnia kolejnej wizyty w ojczyźnie porozmawiać, poartować, pośpiewać i pomodlić się z tłumami rodaków i pielgrzymów z różnych krajów. To były dni radości, emocji religijnych i patriotycznych ponad różnicami politycznymi i światopoglądowymi. Ten czas minął. U wielu widok tego okna i tego budynku budzi obecnie całkiem inne refleksje i emocje niż za pontyfikatu Karola



Mozaika w zamurowanym dziś oknie przy Franciszkańskiej 3, w którym pojawiał się Jan Paweł II, by porozmawiać z rodakami podczas kolejnej pielgrzymki – na fot. z lewej w 2002 r.

Wojtyły. Nostalgia miesza się ze smutkiem, konfuzją, rozczarowaniem, niepokojem.

Taka jest też opowieść o lokatorach tego budynku i o nim samym. Przez wieki był miejscem wywołującym dobre emocje, symbolem zjednoczenia większości mieszkańców dawnej stolicy Polski wokół Kościoła. Za kardynała Franciszka Macharskiego w stanie wojennym działał w pałacu komitet pomocy dla internowanych i ich rodzin. Metropolita wychodził z pałacu w zwykłej sutannie na spacer po Plantach, ludzie go pozdrawiali.

Historia wysoka

Ten złoty czas skończył się wkrótce po śmierci papieża Wojtyły. W rocznicę jego śmierci pod pałacem nadal gromadzili się wierni na znak wdzięczności i pamięci. Ale zaczęli się pod nim gromadzić także uczestnicy obywatelskich protestów dotyczących wydarzeń związanych z Kościołem. Symbol jedności zaczął być znakiem podziału.

A przecież tak stać się nie musiało. Pałac dobrze zapisał się w trudnych momentach historii Kościoła. Tym większy jest kontrast z sytuacją obecną. Trzeba więc przypomnieć niektóre postaci i zdarzenia. Ale też pamiętać, że historia „wysoka” niekoniecznie pokrywa się z historią zwykłych ludzi. Ta pierwsza opowiada o przywódcach, mężach stanu, dygnitarzach, bohaterach i bohaterkach, zwycięstwach i upadkach. Drobnymi literami wspomina o cierpieniach, nadziejach, rozczarowaniach tych w społeczeństwie najszabszych, odrzuconych przez moźnych, pominiętych przez usłużnych dziejopisów. To ważne w kontekście obecnych sporów o Kościół i papieża Polaka. Dziś mamy inny czas i inną wrażliwość. Słyszymy wołanie o pełną prawdę, wypełnienie luk w przekazie, tak by mogły się w nim rozpoznać np. ofiary złych praktyk w Kościele.

Na tyłach pałacu przy Franciszkańskiej mieściła się przez dziesięciolecia redakcja „Tygodnika Powszechnego”. Z jej okien widać było dziedziniec wewnętrzny kurii i jej mury. W gabinecie Jerzego Turowicza wisiały wówczas trzy portrety: papieży Jana XXIII i Jana Pawła II oraz kardynała Adama Sapiehy, założyciela „Tygodnika”. Pierwszy numer wyszedł jeszcze przed zakończeniem drugiej wojny światowej, w marcu 1945 r. Na pierwszej stronie postawiono artykuł ks. Jana Piwowarczyka, bliskiego współpracownika Sapiehy, pod tytułem „Ku Polsce katolickiej”.

Sapieha był dla Turowicza i „Tygodnika” jednym z najwybitniejszych przywódców kościelnych i narodowych w naszej historii. Jan XXIII symbolizował nadzieję tego środowiska na odnowę Kościoła Powszechnego w duchu II Soboru Watykańskiego. Jan Paweł II był nie tylko pierwszym w historii papieżem z Polski, ale też przyjacielem Turowicza, „Tygodnika” i środowiska.

Odwiedzali go w pałacu, gdy w nim zamieszkał jako biskup i kiedy został kardynałem. Był ciekaw ich zdania w sprawach kościelnych i politycznych. Odwiedzali pałac także, gdy Wojtyłę zastąpił na urzędzie kardynał Franciszek Macharski i kiedy rezydował w nim kardynał Stanisław Dziwisz, obaj zaufani ludzie Wojtyły.

Moment założycielski

Budynek w kształcie zbliżonym do obecnego funkcjonuje od XVII w. Pierwsi biskupi krakowscy mieli siedzibę w pobliżu obecnej katedry wawelskiej. Ich imiona pamiętają chyba tylko historycy Kościoła. Biskupstwo powstało w następstwie zjazdu w Gnieźnie, dokąd w marcu roku tysięcznego przybyli ze świtami niemiecki władca Otton III i książę Bolesław Chrobry. Modlili się u grobu męczennika św. Wojciecha, ale snuli też plany polityczne. Otto chciał rozszerzać swoje dominium. Uzgodnili, że powstanie kościelna prowincja gnieźnieńska, a w jej ramach biskupstwo w Krakowie, podległe bezpośrednio Gnieźnie i Rzymowi. Pierwszym odnotowanym w źródłach historycznych biskupem krakowskim był Niemiec Poppon.

Władcy piastowscy wraz z ówczesnymi elitami znaleźli się w orbicie zachodniej cywilizacji chrześcijańskiej. Chryścianizacja napotkała opór chłopskiego ludu w połowie XI w., ale powstanie stłumiły wojska Kazimierza Odnowiciela, niemieckie i ruskie. Ziemi krakowskiej prawdopodobnie nie sięgnęło. W mieście przybywało kościołów, klasztorów i parafii, przytułków i szpitali. Bp Jan

Radlica w XIV w. kupił działkę wraz z domem w okolicy klasztoru franciszkanów, to moment założycielski przyszłej rezydencji biskupiej przy Franciszkańskiej. Pierwszy polski kardynał Zbigniew Oleśnicki przerobił zabudowanie i otoczył plac murem. Kraków nawiedzały liczne pożary. Spłonął też dom na działce. Odbudowano go w stylu renesansowym na rezydencję kolejnych biskupów. Kolejna przebudowa w XVII w. nadała jej kształt pałacu miejskiego.

Któż tam nie mieszkał? Nie tylko biskupi, ale i królowie (Wawel mocno ucierpiał podczas potopu szwedzkiego): Jan Kazimierz, Karol XII, król szwedzki, dwóch Sasów, August II oraz III. Zabory zadały królewskiemu miastu ciężkie ciosy. Biskupstwo krakowskie okrojono. Zaczęło jednak tracić wpływy jeszcze przed rozbiorem, po przeniesieniu stolicy do Warszawy. Podupadła sama rezydencja. Na przestrzeni wieków lokowano w niej kwatery wojskowe, lazarety, skład wina i trumien, stolarnie, apartamenty do wynajęcia, rodzaj galerii sztuki.

Świątynią pałacu zaczął przywracać bp Jan Paweł Woronicz, od 1815 r. biskup krakowski za zgodą cara, później arcybiskup warszawski.

Woronicz szukał pieniędzy na swój projekt u generała Józefa Zajączka, namiestnika półautonomicznego Królestwa Polskiego pod zwierzchnością carskiej Rosji. Funduszy nie dostał, ale biskupstwo zwolniono na trzy lata od podatków i umorzono jego długi (za: Paweł Stachnik „Historia przy Franciszkańskiej 3”, Dziennik Polski, 2021). We współpracy z architektem i malarzem z Krakowa Woronicz przystąpił do remontu i odnowy pałacu. Założył w nim gabinet historyczny, w którym powieszono obrazy ze scenami z dziejów Polski, portrety polskich królów, ich żon, biskupów i wybitnych Polaków. Wystawiono także biurko ostatniego władcy Stanisława Poniatowskiego i urnę z kością Bolesława Chrobrego. Gabinet ozdabiały cytaty z „Eneidy” Wergiliusza, zestawiające los Troi z losem Rzeczypospolitej. Otwarto go dla publiczności, która waliła drzwiami i oknami. Wszystko strawił pożar w 1850 r. Kolejny remont przeprowadzili biskupi Albin Dunajewski i Jan Puzyna.

Tu zbliżamy się już do czasów, gdy głównym lokatorem pałacu został – z aprobatą cesarza Franciszka Józefa – bp Adam Stefan Sapieha, arystokrata z tytułem książęcym. Zarządził, by w pałacu założono elektryczność i kaloryfery. Za jego długich rządów (1911–51) zdarzyły się rzeczy, które wpłynęły na historię

Kościółu i Polski, a nawet świata. Bo to on kierował Kościołem krakowskim podczas pierwszej wojny światowej, międzywojnia, hitlerowskiej okupacji i instalowania w Polsce reżimu komunistycznego oraz wyświęcił tutaj na księdza młodego seminarzystę Karola Wojtyłę.

Konflikt wawelski

W odrodzonej po 1918 r. Polsce Sapieha udzielał się w polityce, bo wtedy prawo kościelne i państwowe tego nie zabraniało. W Sejmie Ustawodawczym zasiadło 32 księży; Sapiehę wybrano na senatora RP w 1922 r., z listy koalicji narodowo-chrześcijańskiej. Nie był entuzjastą Piłsudskiego ani jego Legionów. Nie zachwycał się kultem Marszałka. To spowodowało tarcie między Sapiehą a obozem sanacji. Jako wódz katedry wawelskiej z ociąganiem zgodził się na pochowanie w niej prochów Juliusza Słowackiego, ulubionego wieszczka Marszałka. Chciał, żeby to był ostatni pochówek w podziemiach katedry królewskiej. Piłsudski się zgodził. A jednak Sapieha obawiał się, że zgodą na pochowanie Słowackiego otwiera drogę do pochówku na Wawelu samego Piłsudskiego. Miał rację. Marszałek wśród zaleceń na okoliczność swojej śmierci wydał i to: „Zechcą mnie pewnie pochować na Wawelu – niech!”. Sapieha spełnił życzenie. Mimo to dwa lata po śmierci Piłsudskiego i tak wybuchł konflikt między nim a rządzącą sanacją.

Poszło o decyzję metropolity, by przenieść trumnę Marszałka z krypty św. Leonarda do Wieży Srebrnych Dzwonów. Piłsudscy uznali to za obrazę ich patrona ze strony cichego przeciwnika sanacji. Wybuchły ogromne emocje. Większe niż dzisiaj, kiedy za atak na Kościół uważa się protesty przeciwko zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej czy reportaż próbujący zbadać rolę Jana Pawła II w tuszowaniu przestępstw pedofilskich w Kościele (notabene zatytułowany „Franciszkańska 3”). Piłsudscy grzmeli, że trumnę potraktowano jak worek ziemniaków, bo przeniesiono ją pod osłoną nocy i bez asysty wojskowej kompanii honorowej. Sapieha napisał list pojednawczy, ale nie przeprosił – to nie było w jego stylu. Doszło do protestów w wielu miastach.

Ów konflikt wawelski zamienił się w kampanię wymierzoną w Sapiehę i w Kościół – na ulicach, w prasie, radiu i Sejmie. Żądano odebrania Kościołowi zarządu Wawelu, zerwania konkordatu, pozbawienia Sapiehy odznaczeń państwowych, tytułów honorowych i obywatelstwa, a nawet wypędzenia go z kraju. Pałac przy Franciszkańskiej ►

► obstawiła policja. To wtedy protestujący wybili w nim szyby kamieniami. To już był kryzys stosunków państwa z Kościołem. Kto by pomyślał, że wiele lat później, też w wolnej Polsce, wybuchnie drugi konflikt wawelski.

Spotkanie z Frankiem

Inwazja Niemiec na Polskę konflikt przerwała. W tragicznym rozdziale naszej historii ponad 70-letniemu wtedy Sapieże przypadła całkiem nowa rola. Spełnił ją godnie. Nie opuścił kraju. Urzędował przy Franciszkańskiej i stamtąd kierował sprawami kościelnymi. Okupanci czuli wobec niego respekt, bo był ustosunkowanym w Watykanie i Europie arystokratą. Sapieha rozpoznał rodzaj gry politycznej z niemiecką administracją w interesie Kościoła i Polski. Niewysoki, śniady, krótko ostrzyżony, dobry mówca, zaczął gromadzić wokół siebie krakowską elitę obywatelską i polityczną, a ta traktowała go jak nieformalnego przywódcę Kościoła i ojca narodu.

Patronował Radzie Głównej Opiekuńczej, jedynej tolerowanej przez nazistów instytucji dobroczynnej. Przyjmował w rezydencji przedstawicieli organizującego się Polskiego Państwa Podziemnego i tajnych emisariuszy z zagranicy. Pisał poufne raporty do władz na uchodźstwie i do papieża Piusa XII oraz memoranda i listy protestacyjne do gubernatora Hansa Franka. Skupiał się na eksterminacyjnej polityce niemieckiej, stosującej zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Upominał się u Niemców o Żydów narwionych na katolicyzm, wspierał akcję ukrywania Żydów i wyrabiania im świadectw chrztu. Nie wspominał o ludobójstwie na całej społeczności żydowskiej. Ignorowane przez Niemców memoranda przydały się podczas procesu gubernatora Franka przed Trybunałem Norymberskim. Sapieha sam złożył w Krakowie zeznanie przed jego przedstawicielem.

W Krakowie krążyła legenda miejska o tym, jak podjął Franka kolacją złożoną z przydzielonego czarnego chleba i marmolady, podanych na srebrnej zastawie. Miał wyjaśnić gubernatorowi, że biskupi krakowscy zawsze mieli srebra, a to, co teraz na nich widzi, zawdzięcza rozporządzeniom okupantów. Inna legenda dotyczyła kluczy do Wawelu. Gdy Frank ich zażądał od Sapiehy, otrzymał je z komentarzem: „Tylko niech pan nie zapomni mi ich oddać, kiedy będzie opuszczał Wawel”. W naukowych opracowaniach historycznych te krzepiące na duchu opowieści nie znajdują potwierdzenia.

W pomnikowej Księdze Sapieżyńskiej znajdziemy natomiast relację o jedynym faktycznym spotkaniu metropolity z niemieckim rządcą hitlerowskiego Generalnego Gubernatorstwa. Doszło do niego na Wawelu 5 kwietnia 1944 r., kiedy już nieuchronnie zbliżała się klęska III Rzeszy. Niemcy perfidnie próbowali pozyskać Polaków pod hasłem walki z bolszewizmem i obrony cywilizacji zachodniej przed sowieckim komunizmem. Sapieha łatwo przejrzał prawdziwe intencje gubernatora. Zbijał lub demaskował jego argumenty, przywołując fakty. Zaznaczył, że Polacy i Żydzi, jeśli atakują, to w samoobronie (rozmowa toczyła się w niemal rok po powstaniu w getcie warszawskim). Frank nie doczekał się aktu lojalności i deklaracji współpracy ze strony Sapiehy. Dwa lata później Frank zawisł na szubienicy z wyroku trybunału norymberskiego.

Abp Sapieha rozumiał, że po wojnie Kościół będzie potrzebował nowego pokolenia księży. Niemcy zamknęli seminarium podziemne. W tym „areszcie” przy Franciszkańskiej warunki były surowe, ale wykładowcy na wysokim poziomie. Zajęcia z wymowy i przemawiania publicznego prowadził wielki polski aktor i reżyser teatralny Juliusz Osterwa (mąż bratanicy Sapiehy). Jednym ze studentów był Karol Wojtyła. Wahał się, czy nie wstąpić do zakonu. Sapieże wydał się utalentowany, odradził mu zamknięcie się w klasztorze. Już po zakończeniu wojny Pius XII mianował Sapiechę kardynałem, późno, ale jednak. Wojtyła wygłosił na skromnej uroczystości z tej okazji kazanie o religijnym wymiarze patriotyzmu. Sapieha wyświęcił go w przyspieszonym trybie, by wysłać go na studia teologiczne do Rzymu.

Wojtyła wszedł do rezydencji metropolity 1 listopada 1946 r. Jako jedyny tego dnia miał być wyświęcony w jego prywatnej kaplicy. Sapieha sprawował obrzęd, siadając co pewien czas na małym, przenośnym tronie biskupim pod ołtarzem. Karol w odpowiednim momencie położył się krzyżem na ziemi. Tę chwilę wspominał pół wieku później jako papież: leżąc bezradnie, poczuł, że chce być posadzką, po której inni będą stąpać z ufnością.

Rewizja w kurii

Początki kościelnej kariery Wojtyły przypadły na lata stalinowskie. „Stalin, przesuwając Polskę na zachód na europejskiej mapie – pisze biograf Jana Pawła II George Weigel – stworzył najbardziej polską i katolicką Polskę w historii”. Ale



Wnętrze pałacu biskupiego przy Franciszkańskiej 3.

nowe władze widziały w Kościele konkurenta w walce o wpływ na społeczeństwo. Postawiły początkowo na politykę taktycznych ustępstw i pojednawczych gestów, a w miarę umacniania się przeszły do konfrontacji. Kardynała jednak nie śmiały tknąć.

Dziś, na fali zainteresowania tuszowaniem pedofilii w Kościele, pojawiły się sugestie, że Sapieha, „książę niezłomny”, miał molestować księży w swoim otoczeniu. Jako dowód przytoczono zeznanie na ten temat złożone po wojnie przez dwóch księży. W okolicznościach, które każą traktować je bardzo ostrożnie. Pierwszy ksiądz był bowiem w konflikcie z Sapiehą, który go suspendował z powodu udzielania się księdza w ruchu tzw. księży patriotów, współpracujących z ówczesnym reżimem. Drugi złożył zeznanie zaraz po aresztowaniu go pod zarzutem szpiegostwa, w ramach przygotowań do procesu wymierzonego w krakowską kurię biskupią. Materiały przekazano władzom warszawskim. Nie zostały nigdy wykorzystane. Może to oznaczać, że albo sama centrala uznała je za niewiarygodne, albo że była to decyzja czysto polityczna: uznano je za nieprzydatne w ówczesnej kampanii antykościelnej prowadzonej przez władzę. Sapieha zmarł w 1951 r., pochowano go w katedrze wawelskiej. Dopiero po jego śmierci rozpędziła się antykościelna machina. Do pałacu przy Franciszkańskiej wkroczyła na rewizję służba bezpieczeństwa. Nawet Niemcy nie posunęli się tak daleko. Skonfiskowano dzieła sztuki, znaczną sumę dolarów, materiały dotyczące sowieckiej zbrodni w Katyniu. W sfigowanym procesie przed sądem wojskowym w Krakowie, opartym m.in. na wymuszonych siłą zeznaniach, skazano na karę śmierci lub wieloletnie więzienie siedem osób fałszywie oskarżonych o szpiegostwo



Od lewej: pokój papieski i gabinet arcybiskupa Stanisława Dziwisza.

na rzecz Watykanu i USA. Kar śmierci na szczęście nie wykonano.

W lipcu 1958 r. 38-letni ks. Karol Wojtyła zostaje mianowany przez papieża Piusa XII biskupem pomocniczym archidiecezji krakowskiej. Rozpoczyna się kolejny etap błyskotliwej kariery. Sześć lat później był już arcybiskupem mianowanym przez Pawła VI i metropolitą krakowskim, a od 1967 r. kardynałem z nominacji Pawła VI. Kierował z Franciszkańskiej Kościołem krakowskim przez 16 lat. Był podziwiany, czczony, a nawet wielbiony bez zastrzeżeń i wątpliwości przez ogromną część społeczeństwa, w tym przez niewierzących. Na wiadomość, że został papieżem, ludzie spontanicznie wylegli na ulice Krakowa, padali sobie w ramiona, gromadzili się pod kurią, modlili. Tak było za każdym razem, gdy odwiedzał Kraków i zaraz po jego śmierci. Wtedy jednak w geście żałoby, a nie radości. Działo się to spontanicznie, z odruchu serca i z przeświadczenia, że na to zasłużył. Czytelnicy POLITYKI wybrali go w plebiscycie na najwybitniejszego Polaka XX w.

Czy się mylili? Odpowiadali na ankietę w dobrej wierze, w duchu historii wysokiej, na podstawie swojej ówczesnej wiedzy i własnych przeżyć. Prócz ofiar, ich krzywdzicieli i tuszujących zło urzędników kościelnych nikt wtedy o tym skandalu nie wiedział. Rysy na spżu pojawiły się dużo później, gdy zaczęły napływać informacje zmieniające postrzeżenie Kościoła i roli papieża Wojtyły. Wątek „omerty” miał tu ogromne znaczenie, przede wszystkim moralne, ale to nie był jedyny powód tej zmiany.

Dom szatana

Pod kurią krakowską po raz pierwszy pojawili się demonstranci, gdy kardynał Dziwisz zaakceptował pochówek na Wawelu pary prezydenckiej Lecha

i Marii Kaczyńskich, ofiar katastrofy smoleńskiej. Kardynał Dziwisz, dziś na emeryturze, wieloletni sekretarz osobisty Jana Pawła II, nieprzypadkowo nazywany był wicepapieżem. Miał ambicje i znaczne wpływy w Kościele i w polityce jako zarządca dziedzictwem Jana Pawła II. Za jego czasów przy Franciszkańskiej pałac był otwarty. Ale i w tej beczce miodu była łyżka dziegciu: zarzuty, że nie informował papieża Wojtyły o przypadkach pedofilii w Kościele. Informacje o tym przyniósł Dziwiszowi na Franciszkańską ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Kardynał zarzuty odrzucił.

W obliczu tragedii smoleńskiej większość obywateli czuła się zjednoczona, podobnie jak w chwili śmierci Jana Pawła II, ale niektórzy uważali, że miejscem pochowku powinny być choćby Powązki, a nie Wawel. Ten drugi konflikt wawelski był pierwszym tak dramatycznym sygnałem narastającego problemu z upolitycznieniem Kościoła po linii piłowskiej prawicy.

Kolejne manifestacje były logiczną konsekwencją postępującego kryzysu zaufania do Kościoła sprzymierzonego z władzą polityczną i czerpiącego z tego sojuszu rozmaite profity. W reakcji na ten bieg wydarzeń pojawił się nowy, ostry język. Ale były też demonstracje ciche, jak ta w 2020 r., gdy pod pałacem biskupim – w którym rezyduje od 2017 r. abp Marek Jędraszewski – ustawili się ludzie z kartkami składającymi się we frazę „dom szatana”. Demonstranci chcieli zaprotestować przeciwko „bezczelności, bezwstydności i bezkarności biskupów”.

Odkąd abp Jędraszewski objął rządę w archidiecezji krakowskiej, liczba manifestacji pod kurią przy Franciszkańskiej wzrosła. Biskupem mianował go Jan Paweł II, arcybiskupem Benedykt XVI. Metropolitą krakowskim – papież Franciszek. Miał opinię kościelnego

intelektualisty. Napisał rozprawy o wybitnych filozofach XX-wiecznych. Tę twarz łagodnego, dobrodusznego ucznia wielkich filozofów dialogu zaczęła jednak przykrywać inna: rzecznika konfrontacji z innością. Seria jątrzących wypowiedzi publicznych Jędraszewskiego, często z ambony, z pastorałem biskupim w ręce, zbulwersowała wiele środowisk obywatelskich broniących praw Innych w demokratycznym państwie.

Kościółem podzieleni

Pod kurią przy Franciszkańskiej gromadzili się nie tylko ci, którzy nie godzili się na mowę nienawiści wobec ludzi LGBT. W 2019 r. protestowali tam w milczeniu katolicy, ze świecami w rękach, pod hasłem „odzyskajmy nasz Kościół”. Jeden z nich tłumaczył później, że czują, iż w Kościele w Polsce coraz rzadziej słyszą przesłanie Jezusa: „Część z nas boi się iść na niedzielną mszę, bo nie chcą znów słuchać słów pełnych lęku, potępienia, nienawiści”. Rok później pod pałacem pojawił się protest pod hasłem „Stop klerikalizacji Polski”. W lutym 2021 r. przeszedł Franciszkańską marsz protestacyjny w obronie praw kobiet. Morze plakatów, bicie w bębny, skandowanie haseł: „Myślę, czuję, decyduję”, „Episkopat do więzienia”, „Świeckie państwo”.

Wykluczający, obraźliwy, piętnujący i polaryzujący język Jędraszewskiego, rozdawanie retorycznych ciosów w ludzi mających inne zdanie na różne ważne tematy – in vitro, równość praw, wolność indywidualna, rola Kościoła w państwie i społeczeństwie, tragedia smoleńska, przyszłość Europy – to wszystko sprawiło, że metropolita przestał być dla wielu postacią jednoczącą, kapelanem w szpitalu dla duchowo zranionych. Tak przecież widzi rolę ludzi Kościoła obecny papież. Jędraszewski przyszedł do Krakowa z Łodzi, musiał zbudować sobie jakieś zaplecze. Otoczył się ludźmi o podobnych poglądach. To środowisko organizowało pod kurią swoje manifestacje w obronie metropolity i przeciwko jego krytykom.

Podczas jednej z nich pod zamurowanym oknem papieskim obwołano Jana Pawła II „hetmanem” boju z „tęczową zarazą”. Pochowany w Rzymie papież nie mógł odpowiedzieć na pytania dotyczące pedofilii w Kościele ani bronić się przed politycznymi manipulacjami jego kultem w Polsce. Kto pamięta biały marsz przechodzący w tej samej okolicy w 1981 r., po zamachu na papieża, widzi, że nic nie jest już takie samo w Kościele i w Polsce.

ADAM SZOSTKIEWICZ



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

Toksyczny związek

Na sali sądowej Iwona i Kazimierz Antczakowie razem z adwokatem siedzą tam, gdzie na każdym procesie karnym jest miejsce prokuratora. Oskarżają chłopaka ich córki Pauliny, że ją zabił. Od prawie dziewięciu lat usiłują dojść do prawdy, którą – jak mówią – śledczy w ogóle nie byli zainteresowani.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Marzec 2023 r. Sędzia Joanna Żelazny spokojnym tonem wyjaśnia, dlaczego wniosek o tymczasowe aresztowanie Dawida Z., złożony przez Antczaków, nie może zostać uwzględniony. Po pierwsze, zgromadzone dowody muszą wskazywać na duże prawdopodobieństwo zarzucanego czynu, a Dawid został nieprawomocnie uniewinniony w pierwszym procesie, od którego właśnie toczy się postępowanie odwoławcze. Po drugie – nie zakłóca przebiegu postępowania. Na kolejne rozprawy nie przychodzi, ale nie musi. Obecność w sądzie

to jego prawo, a nie obowiązek. Po trzecie, oskarżony jest o nieumyślne spowodowanie śmierci i nieudzielenie pomocy, a nie o zabójstwo.

– *To nie jest sąd!* – wykrzykuje Michał Otręba ze Stowarzyszenia Niepokonani 2012. Zdenerwowany wychodzi z sali. Sędzia Żelazny odprowadza go wzrokiem i przypomina, że w sądzie obowiązuje odpowiednie zachowanie. I wyznacza kolejny termin rozprawy, na którym przesłuchani zostaną biegli z Zakładu Medycyny Sądowej w Szczecinie.

Prokuratora na rozprawie nie ma. Był na poprzedniej, kiedy Antczakowie

przekazali sądowi ustalenia biegłych z Zakładu Medycyny Sądowej ze Szczecina. To jedyni specjaliści w Polsce, którzy nie odmówili Antczakom przeprowadzenia ponownej sekcji zwłok ich córki. Prywatnej. I stwierdzili – w szczątkach Pauliny i w trumnie – obecność substancji, które zostały podane żyjącej dziewczynie „w dawce toksycznej, najprawdopodobniej w sposób intencjonalny, co budzi uzasadnione podejrzenie działania karygodnego osób trzecich”. Ich stężenie w badanych wycinkach, po ośmiu latach, przekracza dziesięciokrotnie dopuszczalną dawkę.

Wcześniej biegli z Instytutu Toksykologii w Borowej przebadali też tzw. błoźki parafinowe, czyli fragmenty narządów, które pobrano podczas pierwszej sekcji zwłok. I ujawnili w nich trzy substancje toksyczne, które mogły mieć bezpośredni wpływ na zgon Pauliny. Ani podczas pierwszej sekcji, ani przez kolejnych osiem lat prokuratura nie widziała potrzeby badań toksykologicznych. Widzieli ją rodzice Pauliny.

Z opinii wystawionej w 2014 r. przez biegłego Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu dr. Jerzego Kaweckiego wynika, że Paulina zmarła wskutek upojenia alkoholowego.

Ślady i zeznania

Iwona Antczak: – *Sześć lat walczyłam o to, żeby przestano o moim dziecku mówić jak o alkoholizmie. Sześć lat! Alkohol miał ją zabić. Badania laboratoryjne wykazały 0,00, słownie zero, promili alkoholu we krwi i ciałku szklistym oka, w którym ten alkohol utrzymuje się do 14 dni po śmierci. A prokurator Ireneusz Zieliński, zapytany na procesie przez dziennikarkę, co z tym alkoholem, który był, a teraz go nie ma, odpowiedział: „widocznie wyparował”.*

Świat Antczaków runął w nocy 24 września 2014 r. Wtedy zmarła 25-letnia Paulina. W mieszkaniu, w którym była ze swoim chłopakiem Dawidem. Jak? Nie wiadomo. Prokuratora Marka Zielińskiego, który przyjechał do mieszkania przy ul. Trzebnickiej we Wrocławiu, nie zaniepokoiły siniaki na ciele młodej kobiety, zbite lustro i wgniecenie boazerii w przedpokoju czy plamy krwi na drzwiczkach szafki na buty. Nie zabezpieczył żadnych dowodów ani śladów. Laptopa, z którego korzystał Dawid. Telefonów komórkowych chłopaka

i zmarłej dziewczyny. Zakrwawionych ręczników. Mokrej plamy na dywanie. Nie zlecił obdukcji Dawida. Badania na zawartość alkoholu i substancji odurzających też nie zlecił. Nikt nie dostrzegł, że na półce stoi pusta, zaparowana litrowa butelka po kroplówce, leku stosowanym tylko w lecznictwie zamkniętym. Butelka zniknęła. Ale po dwóch latach zobaczy ją na zdjęciu zrobionym przez policyjnego technika prokurator Ewa Bernacka prowadząca postępowanie po wznowieniu śledztwa.

Po mieszkaniu w trakcie prowadzenia czynności procesowych kręciły się siostra i kuzynka Dawida, pojawiła się koleżanka Pauliny. Nikt ich nie przesłuchał. Nie wpisano ich obecności do protokołu. – *Prokurator zostawił mieszkanie otwarte do dyspozycji Dawida i jego rodziny. A w postanowieniu o przeprowadzeniu sekcji zwłok naszego dziecka wpisał, nie wiadomo na jakiej podstawie, jako przyczynę zgonu „upojenie alkoholowe, zgon we śnie”* – mówi Kazimierz Antczak. I wylicza dalej: – *Kolejny prokurator, też Zieliński, tylko że Ireneusz, nie zabezpieczył billingów i miejsc logowania telefonów Dawida i Pauliny do stacji BTS, nagrania ze zgłoszenia Dawida na pogotowie. Nie zrobił wielu rzeczy, a nasze wnioski dowodowe oddalił na dzień przed umorzeniem. Bez uzasadnienia.*

24 września Dawid wezwał pogotowie o godz. 5.05, ale o 3.29 wysłał do swojego ojca esemesa: „Odezwij się do mnie, paulina nie żyje”. (pisownia oryginalna) Nie wyjaśnił, co robił przez blisko blisko dwie godziny. Ale zeznał, że dyspozytor pogotowia instruiował go, jak powinien reanimować swoją dziewczynę. Kilka lat później dyspozytor zaprzeczy wersji chłopaka. A w procesie w pierwszej instancji,

który Dawidowi wytoczą z prywatnego oskarżenia rodzice Pauliny, zeznania złożony jego kuzynka. Zeznania te nie wzbudzą zainteresowania sędzi Anety Talagi, która uniewinni Dawida.

– *Ojciec Dawida pracował w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym we Wrocławiu. Sprzątał w nocy autobusy. Złożył zeznania w prokuraturze. W sądzie odmówił. A potem nagle zmarł. I tu dochodzimy do clou – mówi mecenas Justyna Flankowska, pełnomocniczka rodziców Pauliny. Clou to właśnie zeznania kuzynki Dawida. Chłopak po śmierci Pauliny związał się z nową dziewczyną. Przeprowadził do niej. Urodziło im się dziecko, które zmarło. Potem była kolejna dziewczyna. I kolejne dziecko. Ono też zmarło. I wtedy Dawid zamieszkał z ojcem, którego sąsiadką jest wspomniana kuzynka.*

– *Świadek zeznaje w sądzie, na procesie karnym, że Dawid zadzwonił do niej, że ojciec stracił przytomność. Więc ona wpada do mieszkania i od drzwi krzyczy: „trzeba go reanimować”, a Dawid do niej, że nie umie. No to umie, bo reanimował Paulinę, instruowany przez dyspozytora pogotowia, czy jednak nie, a więc składając zeznania dotyczące śmierci swojej dziewczyny kłamał?* – pyta retorycznie Justyna Flankowska.

Głową w mur

Kazimierz Antczak o ich walce o prawdę mówi spokojnie, krok za krokiem przedstawiając fakty. Iwona Antczak nawet nie ukrywa nerwów, co jakiś czas wchodząc mężowi w słowo. I wyliczają. Na opinię dr. Kaweckiego z sekcji zwłok czekali pół roku. To oni zabezpieczyli telefon córki i laptop. Kiedy zanieśli je na policję, Iwona Antczak usłyszała: „No jak już pani przyniosła, ►

REKLAMA

1,5%

dla Fundacji
Tygodnika
POLITYKA

KRS: 0000104137

Zachęcamy do przekazania 1,5% podatku dochodowego za rok 2022 na cele statutowe naszej Fundacji, przede wszystkim na stypendia dla młodych naukowców.

W tym celu wystarczy w deklaracji podatkowej podać numer KRS naszej Fundacji: 0000104137 oraz przekazywaną kwotę, która nie może przekroczyć 1,5% rocznego podatku.

Stypendia jako Nagrody Naukowe POLITYKI przyznamy w 2023 roku już po raz 23. Jest to możliwe w dużym stopniu dzięki wpłatom naszych Czytelników, za które bardzo dziękujemy!

Więcej na stronie: polityka.pl/stypendia

FUNDACJA TYGODNIKA POLITYKA

► to niech pani zostawi”. To oni ustalili, skąd pochodziła kroplówka, po której ślad zagażał. Stowarzyszenie Pomocy Ofiarom Przystępstw jako strona społeczna procesu wystąpiło do ministra zdrowia z prośbą o sprawdzenie, do jakiego szpitala należała. – *Ze zdjęcia udało nam się spisać numer kodu kreskowego – opowiadają rodzice Pauliny.*

Minister przekazał sprawę do głównego inspektora nadzoru farmaceutycznego. A rodzice wystąpili do sądu z wnioskiem o wyjaśnienie historii tej kroplówki. I sędzia Talaga takie pismo skierowała do wojewódzkiego inspektora nadzoru. – *Stowarzyszenie dostało odpowiedź, w której podano, w jakim szpitalu ta kroplówka była. Tak się składa, że w tym szpitalu pracował kolega Dawida, który zresztą zeznał, że miał dostęp do szpitalnej apteki i leków. Ale już na pytanie, czy je wynosił, odmówił odpowiedzi. Do sądu z kolei przyszło pismo, w którym nadzór farmaceutyczny napisał, że nie są w stanie ustalić, gdzie ta konkretna kroplówka trafiła... – mówi mecenas Flankowska.*

A rodzice Pauliny dodają, że kiedy na rozprawie powiedzieli sędzi, że oni wyjaśnienie mają, przedkładając je do akt, usłyszeli, że to kserokopia. – *No to daliśmy oryginał, a wtedy okazało się, że dowód jest spóźniony. Wszystkie nasze ustalenia, dowody, świadkowie byli odrzucani. Na jednej z rozpraw sędzia tłumaczyła, że nie ma możliwości wezwać powołanych przez nas świadków, bo nie da się ustalić ich adresów. To na następnej rozprawie Michał Otręba ze Stowarzyszenia Niepokonani 2012 tę listę sędzi dał. Jeden z tych świadków siedział wtedy w zakładzie karnym. I tak ich nie przesłuchała – mówi pełnomocniczka rodziców Pauliny. I dodaje, że inny ze świadków zeznał, że kupował od chłopaka dziewczyny amfetaminę. Sędzia odnotowała w protokole, że należy powiadomić prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Dawida i jego kolegę. Dawid był karany, ale za paserstwo i niepłacenie alimentów. Za handel narkotykami nie.*

Niech pani nie przesadza

Od jednego z prokuratorów Iwona Antczak usłyszała, żeby bywają większe tragedie. W Zakładzie Medycyny Sądowej we Wrocławiu zniszczono ubrania jej córki. Nigdy nie odzyskała bransoletki, którą dała Paulinie w prezencie miesiąc przed śmiercią. Kiedy się dopytywała o ten srebrny drobiazg, usłyszała: „A to w ogóle jakąś wartość miało?”. „Dla mnie największą, bezcenną” – odpowiedziała matka.

Mecenas Flankowska: – *Jak to w ogóle jest możliwe, że po przewiezieniu ciała*

do prosekatorium giną rzeczy, na których są ślady? Próbowaliśmy to wyjaśnić. Najpierw w prokuraturze. Dostali odpowiedź, że to nie jest sprawa prokuratury, tylko „sądówki”. Napisali do „sądówki”. Z odpowiedzi wynikało, że to nie ich sprawa, tylko prokuratury. W końcu Antczakowie poszli do sądu, żeby wyjaśnić, co się stało z ważnymi dowodami w sprawie śmierci 25-letniej dziewczyny. Sąd napisał więc krótkie pismo do Zakładu Medycyny Sądowej. I wtedy rodzice dowiedzieli się, że nie poprosili o zwrot rzeczy, więc je zutilizowano.

– *A procedura jest taka, że najpierw ustala się, czy ktoś ma prawo zabrać te rzeczy. Jeśli rodzice mają prawo, ale odmawiają, to piszą oświadczenie, że ich nie chcą. I dopiero wtedy można zrobić z nimi, co się chce. Spalić, wyrzucić, zniszczyć... – tłumaczy mecenas Flankowska.*

– *Skarżyliśmy się na przewlekłość śledztwa. Wnieśliśmy sprawę przeciwko prokuraturze, która umorzyła śledztwo w sprawie śmierci Pauliny, nie odnosząc się w ogóle do dowodów, jakie jej dostarczaliśmy. Było postępowanie wyjaśniające we Wrocławiu, sprawę skierowano do Opola, stamtąd trafiła do Prudnika. Prokurator cztery miesiące nie mógł się doczekać akt, powiedział nam, że chyba będzie musiał osobiście pojechać do Wrocławia – mówi Iwona Antczak, a jej mąż Kazimierz dopowiada: – I nagle odebrano mu tę sprawę, przekazano do Prokuratury Regionalnej w Szczecinie, a stamtąd do prokuratora w Gorzowie Wielkopolskim Łukasza Gospodarka.*

Najpierw jednak Antczakowie złożyli skargę na przewlekłość postępowania prokuratorów Prokuratury Rejonowej Wrocław Śródmieście. Do szefowej Rejonu prokurator Karoliny Stockiej-Mycek. – *I ta skarga zniknęła. Pani z sekretariatu powiedziała, żebyśmy szukali jej w sądzie rejonowym, a jak nie tam, to w okręgowym. Myśmy jak te głupki chodzili od sądu do sądu, od prokuratury do prokuratury, każdy oczy robił, po czym wracaliśmy do tego sekretariatu. Aż ten pan, który wpuszczał, pytał: „A państwo, to ile razy będą tu jeszcze przychodzić?” – Antczakowie opowiadają, że na szczęście mieli potwierdzenie esemesem, że ich list polecony ze skargą dotarł na miejsce. Wtedy od sekretarki usłyszeli, że widocznie list utknął na poczcie. Pojechali więc na pocztę wskazaną przez sekretariat prokuratury. Kierownicze powiedzieli, że mają potwierdzenie, że list jest ważny. Zdziwiona kobieta podała im nazwisko osoby, która ich skargę odebrała.*

– *Wracamy do prokuratury. Sekretarka oczywiście zdenerwowana, poszła do prokurator rejonowej pani Stockiej-Mycek. A ta jej przekazała, że skarga jest u niej na biurku,*

a ona ma trzy dni na jej rozpatrzenie. Po-czuliśmy się, jakby nam ktoś w twarz dał – mówią Antczakowie. Skarga została rozpatrzona na ich niekorzyść. Bezzasadna.

– *W postępowaniu dyscyplinarnym przeciwko prokuratorom, do którego koniec końców doszło, prokurator Gospodarek zabrał mi zadawać krzyżowe pytania, a ja miałem czarno na białym, że oni co innego mówili teraz, a co innego w papierach albo mówili wcześniej – Kazimierz Antczak do dzisiaj nie wie, dlaczego nie pozwolono mu na wyjaśnienie elementarnych kwestii dotyczących tego, jak prowadzono śledztwo w sprawie śmierci jego córki. – Do mnie prokurator miał pretensje, że nie wypowiadam się jak prawnik. Ciągłe mnie strofował. A czy ja mam taki obowiązek? Czy to, że nie jestem prawnikiem, oznacza, że nie mam już żadnych praw jako matka, jako obywatelka? – denerwuje się Iwona Antczak.*

Postępowanie dyscyplinarne wobec prokuratorów Prokuratury Rejonowej Wrocław Śródmieście umorzył sędzia Marek Górny. Na tamtej rozprawie Iwona Antczak nie wytrzymała i wyrzuciła z siebie: „Czy pan sędzia wierzy w to, co pan napisał?”. Usłyszała, że obraża i narusza powagę sądu.

Dawid Z., czyli kto?

Dawid Z., chłopak Pauliny, pracował drywczó na budowach. Świadkowie – jego ojciec, kuzynka i znajomi – w procesie zakończonym w 2022 r. nieprawomocnym, uniewinniającym go od nieumyślnego spowodowania śmierci Pauliny wyrokiem zeznali, że sprzedawał narkotyki i dopalacze. Paulina była zdecydowaną przeciwniczką narkotyków. Nie była – jak początkowo twierdziła prokuratura – osobą z problemem alkoholowym. Studiowała i uczyła dzieci angielskiego. Związek jej i Dawida od jakiegoś czasu był na zakręcie. Dziewczynie nie podobało się, że chłopak wnosi do lombardu z mieszkania jej rzeczy, takie jak choćby laptop, a ona musi je wykupować. Chciała, żeby Dawid się wyprowadził.

Iza Michalewicz, reporterka, która jako pierwsza opisała historię walki rodziców Pauliny o wyjaśnienie okoliczności śmierci ich córki i która towarzyszy im od lat w kolejnych procesach i rozprawach: – *Dawid Z. nie jest chłopakiem z jakiejś ustosunkowanej, zamożnej rodziny. Podstawowe pytanie więc brzmi, dlaczego nikt tej sprawy nie potrafił czy nie chciał wyjaśnić.*

Prokuratura mimo przedstawiania przez rodziców Pauliny wyników ponownej sekcji i opinii biegłych, z której wynika, że dziewczyna mogła zostać otruta, nie widzi podstaw do wznowienia sprawy. Bo nie zaszły żadne nowe okoliczności.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Jak zostałem sobą

Rozmowa z aktorem **Michałem Żebrowskim** o tym, kto i jak gra nami, a także o tym, jak się z tego wyzwolić.

Michał Żebrowski (rocznik 1972) – debiutował jeszcze na studiach aktorskich u Feliksa Falka w filmie „Samowolka”. Należy do najbardziej rozpoznawalnych aktorów swojego pokolenia. W 2010 r. razem z Eugeniuszem Korinem stworzył Teatr 6. Piętro, którego jest dyrektorem.



JULIUSZ CŹWIELUCH: – Wygląda pan na poruszonego.

MICHAŁ ŻEBROWSKI: – Poruszony? Nie, skąd. Ja jestem wkurwiony.

Na?

Głównie na samego siebie. Na to, że nie byłem dość pilny w szkole, dość dociekliwy poza szkołą, że nie dostrzegłem i nie przemyślałem zjawisk, które dzisiaj wydają mi się oczywiste. Potrzebowałem zbyt

wielu lat, żebym przestał się okłamywać. Głupio, że trwało to aż tak długo. W czerwcu kończę 51 lat. Czy pan wie, o czym ja mówię?

Trochę, a właściwie troszkę.

Pragnąłem zostać artystą, na którego się „chodzi”. Tak jak ja chodziłem do Dramatycznego na Zapasiewicza czy Holoubka. Chciałem stać się kimś... zamiast być sobą. Od jakiegoś czasu mam wrażenie,

że wyzwoliłem się ze strachu, który mnie krępował. Rozumie pan?

Dalej bardzo dużo znaków zapytania.

Chodzi mi o niedosyt, który nosisz w sobie. Kiedy przychodzą prawdziwe sukcesy, nie pozwala ich dostrzec. O zgorzknienie, kiedy zaczynasz siwieć i łysieć, a pogoń okazuje się mrzonką. O brak sympatii do samego siebie, który zabiera ci radość i zatruwa życie. ►

► **Kiedyś ludzie w takich sytuacjach szukali odpowiedzi w Kościele. Pan zdaje się przestał tam szukać?**

Wkurwienie, o którym wspomniałem, dotyka również Kościoła, w którym się wychowałem. Tych wszystkich mitów, dogmatów i praw, których nie przestrzegają sami jego szefowie, biorąc pod uwagę, jak cynicznie podchodzą do człowieka i Polski.

Przepraszam bardzo, ale czy to nie panu ślubu osobiście udzielał ksiądz Jan Mikrut, współzałożyciel Radia Maryja?

Nie tylko mnie, ale również mojej żonie, która była wychowanką niejakiego neokatechumenatu. Osobą religijną do tego stopnia, że jako chłopak wychowany przy oazie czułem się przy niej zbyt mało zaangażowany.

Próbuję to sobie poskładać.

A co tu jest do składania? Po prostu zrozumiałem, że mam – jak to się mówi – zryty beret. Że bronię spraw nie do obrony. Czy chciałby pan być częścią Kościoła, który dał się poznać Polakom w ciągu ostatnich kilkunastu lat? Nie mogę zapomnieć słów pana Gądeckiego, które z uśmiechem wygłosił do kamer na konferencji episkopatu, zwołanej po premierze filmu „Kler”: „Bo ludzie by chcieli, aby tutaj na ziemi był raj, a przecież wiadomo, że nigdy tak nie będzie”.

Chyba rzeczywiście jest pan wkurwiony.

Byłem ministrantem w Archikatedrze Warszawskiej. Śpiewałem tam również w chórze. Jako dziecko obserwowałem oazowe życie. Byłem na placu Zwycięstwa, kiedy Jan Paweł II w czasie swojej pierwszej pielgrzymki do Polski mówił: „Niech zstąpi duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Należałem do Klubu Inteligencji Katolickiej, który bezpieka inwigilowała i nękała na różne sposoby. Chodziłem w procesjach Bożego Ciała. Byłem dzieckiem Kościoła myślą i uczynkiem. Jeśli ktośkolwiek powiedziałby mi jeszcze siedem lat temu, że nie będę chrzczył dzieci, tobym mu nie uwierzył. Dzisiaj mam ochotę wołać: „Niech zstąpi mózg Twój...”.

Ale ochrzcił pan dwoje własnych dzieci.

A pozostałych dwoje już nie. I nie zmarnowałem nawet pięciu sekund, żeby się zastanawiać, czy to dobrze, czy źle. W pewnym momencie ten krok stał się dla mnie oczywisty.

Kiedyś oczywiste było, że będzie pan chrzczył.

Tak jak oczywiste były różne rytuały, w których brałem udział, i nawet nie zadawałem sobie trudu, żeby poważnie się zastanowić, po co to robię. Byłem częścią

Obudziłem się w koszmarze. Bo ktoś mi podmienił mój kraj. Nie wiem, gdzie się podział ten, który znałem.



wyznania, które zdominowało inne w tej części świata. Gdybym urodził się w Indiach, zapewne chodziłbym na inne pielgrzymki, do innych świątyń, bo tam przyjął się akurat inny model sprawowania władzy nad duszami. Inne zatem rytuały. Pamiętam, że przy chrzcie drugiego dziecka przekazano mi w prezencie medalik z komentarzem: „Uwaga, jest jeszcze niepoświęcony”. Poszedłem do zakrystii. Ksiądz powiedział: „Proszę położyć”. Wziął kropidło. Zanurzył w wodzie. Pokropił i jednocześnie wymamrotał pod nosem kilka słów. Następnie z powagą stwierdził: „Już poświęcone”. Trwało to cztery sekundy i kosztowało mnie dodatkową ofiarę. I już. Cztery sekundy temu to był zwykły medalik, a teraz jest już niezwykły i wreszcie jest już coś wart. Takie czary-mary. Zupełnie jak w bajce. Tyle że już nie mojej.

Żona jest najstarszą z ósemki dzieci z bardzo religijnej rodziny.

Moja żona odebrała bardzo sumienne wychowanie katolickie. I to ona pierwsza zaproponowała, żebyśmy nie chrzcili już więcej naszych dzieci.

Jak reaguje na to pana rodzina?

Zgaduję, że diagnoza wydaje się prosta. Straciłem nie tylko wiarę, ale przede wszystkim rozum. Uważam, że to głupia sprawa, kiedy ktoś kocha wymyślonego przez innych ludzi Jezusa bardziej niż własne dzieci. Ojciec np. kochał mnie, a w Jezusa wierzył. Chodził do kościoła, ale mówił: zawsze trzymałem z „Wyborczą”. Generalnie zawsze byłem rozdarty. Prawą nogą w kościele, a lewą w teatrze.

No to co się stało z tą prawą nogą?

Dołączyła do lewej. Czuję, że stoję stabilniej. Po prostu nie mogłem już dłużej chwiać się przy instytucji, która wyklucza, ocenia, dzieli, zwyczajnie nabija ludzi w butelkę. Czego ona uczy? Czego pragnie?

Czego?

Moim zdaniem władzy. Proszę spojrzeć. Przecież dzisiejsza władza jest wypisz wymaluj w swoim stylu i treści kościelna. Od kilku lat mam wrażenie, że jestem wyłącznie wyborczym mięsem armatnim dla ludzi, którzy traktują Polaków jak parafian w kościele. Raz im trzeba podrzucić

pomysł intronizacji Chrystusa na króla Polski, następnie przestraszyć insektami i chorobami uchodźców, potem straszyc deprawacją dzieci w szkołach lub tzw. ideologią gender, jedzeniem robaków i innymi bredniami. Jednocześnie na zapleczu odbywa się regularny podział łupów.

Wstajemy z kolan.

No właśnie ja wstałem i już nie klęczę w kościele. Mam wrażenie, jakby mnie wybudzono z jakiegoś pięknego snu. Obudziłem się w koszmarze. Bo ktoś mi podmienił mój kraj. Nie znam takiego kraju i nie wiem, gdzie się podział ten, który znałem. Inteligencki, ambitny, uśmiechnięty, tolerancyjny, aspirujący, kulturalny, ciężko pracujący kraj, który zadziwiał świat tempem zmian, pokojowym stylem przemian, pokojowym wyprowadzeniem Armii Czerwonej, wejściem do NATO, do UE, organizacją mistrzostw Europy w piłce nożnej, stworzeniem WOŚP. Przecież byliśmy z tego dumni. Czy dzisiaj ktoś by nas zaprosił do UE? Nie sądzę. Przecież nie chcieliśmy być drugimi Węgrami. Przecież dzisiejsze chamstwo i złodziejstwo w życiu publicznym nie tylko jest akceptowane przez ogromną część społeczeństwa, ale nawet w duchu popierane. Wsparte właszczonejmi mediami narodowymi. Popierane pod hasłem „OK, kradniemy. Ale dla Polski. I mamy na to pozwolenie”.

Niby poza Kościołem, ale dalej pan mówi językiem zgorznienia.

A to nie jest zgorznienie? Czy godzi się być premierem jakiegokolwiek kraju na świecie, a tym bardziej Polski, i wręczać medal Janowi Pietrzakowi, który w ramach urodzinowych żartów przed całym polskim rządem oświadcza: „Niesiołowski skończył wydział entomologii i bardzo słusznie, bo jego naturalnym środowiskiem politycznym są mendy, wszy i insekty”? I to wszystko w obecności naczelników naszego państwa, którzy z tego szczerze rechotali. Mnie po prostu ogarnia groza. Nie wierzę, że to się dzieje w moim kraju.

I w telewizji, w której zrobił pan tyle rzeczy.

Dzisiaj na Woronicza czuję się, jakbym przechodził koło budynku kaźni. Obawiam się nawet patrzeć w kierunku jego płotu. Jest mi wstyd, że taka instytucja w Polsce w ogóle istnieje. I zastawiam się, jaka będzie jej przyszłość? Na szczęście wszystko ma swój kres, każda władza się kończy.

Jak będą wyglądały pana Świąta Wielkanocne?

Serio? Nie myślę o tym i nie do smaku mi dywagować nad koszyczkiem

wielkanocnym i jego zawartością. Święta w Polsce stały się dla wielu polskich rodzin przykrą tradycją potwierdzającą, jak bardzo się od siebie oddaliliśmy. My, Polacy.

Z „My, Polacy” już niewiele zostało.

Komuś, kto nie ma dzieci ani rodziny, te podziały pewnie nie przeszkadzają.

Staram się być kimś takim, z kim moje dzieci będą chciały spędzić czas na starość. Żeby nie uciekały przede mną jak przed osobą, która miała na nie własny pomysł i według tego pomysłu je tresowała. Chciałbym się od nich uczyć, jaki jest świat.

A czego się można nauczyć od 9-lątka?

Choćby dystansu. Niedawno skrzyczałem syna, że zamiast pójść szybko coś zjeść i położyć się spać, stał na schodach i gapił się zamyślony. Pytam: „Dlaczego tu stoisz?! A dlaczego mam nie stać? Jak to dlaczego? Przecież miałeś iść spać! No dobrze, ale czy ja muszę robić wszystko szybko? Nie musisz, ale umówiliśmy się, że to zrobisz. No dobrze, ale ja mam swój styl”. Podrapałem się po głowie i mówię: „Słuchaj, przepraszam cię. Właściwie to rzeczywiście bardzo dobrze, że masz swój styl”.

Jak czwórka dzieci robi wszystko w swoim stylu, to chyba nie jest łatwo.

W parze z żoną jest zdecydowanie łatwiej.

A jak się poznaliście?

W kościele.

No tak.

W zasadzie to poznawaliśmy się dwa razy. Za pierwszym razem miałem 33 lata i szukałem nauczyciela angielskiego. Polecono mi Olę. Szybko straciłem zainteresowanie angielskim, a skupiłem się na nauczycielce. Ola miała wtedy narzeczonego, zdecydowanie nie była gotowa na moje oświadczenia. Miała 18 lat. Lekcje się skończyły, a nasze drogi rozeszły. Po trzech latach wpadliśmy na siebie w kościele na uroczystości rodzinnej. Umówiliśmy się. Pamiętam, że piłem kawę i uświadomiłem sobie, że przede mną siedzi moja żona. Oświadczyłem się po miesiącu. Tym razem już podobno na to czekała.

Kim jest dziś prawdziwy mężczyzna?

Kimś, kto np. cierpliwie zmienia pieluchy. Kto rozumie, że nieprzespane przy dzieciach miesiące, a nawet lata, są heroizmem i wyczynem, którego zazwyczaj dokonuje w większym stopniu kobieta właśnie. Bycie tzw. prawdziwym mężczyzną to bycie człowiekiem gotowym do codziennych, zwykłych obowiązków.

Zabrzmiało jak z wywiadu do „Vivy!”, a nie do POLITYKI.

Pan to może banalizować, ale ja tak myślę. Myślę tak do tego stopnia, że zaproponowałem ostatnio mojej żonie w żartach, aby wystartowała w wyborach prezydenckich jako kontrkandydatka Beaty S. Zamiast utyskiwać na to, że ukradli nam Polskę i polskość, zamiast utyskiwać na ciemność, należy według mnie zapalić świeczkę. Naszej ojczyźnie należy się wreszcie kobieta na szczycie władzy. My naprawdę potrzebujemy jakiejś pozytywnej energii. Nowego rozdania. Nasz kraj dawno nie był tak podzielony. Czy Polska jest mniej nasza?

Jest mniej pana, bo nie obsadza pan spółek Skarbu Państwa. Choć – jak policzyłem – razem z żoną macie więcej followersów niż Solidarna Polska ma wyborców.

Nie dość, że nie obsadzamy spółek Skarbu Państwa, to jeszcze nie nosimy pistoletu w gaciach. Wierzę, że młodzież wyrobi sobie odporność na takie obrażki i nie da się zarazić chorobą polskiej nienawiści.

Amen.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CŹWIELUCH

REKLAMA



Zależy Ci na praworządnej Polsce chroniącej prawa człowieka i obywatela?

Fundusz Obywatelski wspiera finansowo działania aktywistek i aktywistów, którzy bronią praw obywatelskich i patrzą władzy na ręce.

WWW.FUNDUSZOBYWATELSKI.PL



dr hab. Adam Bodnar



dr Hanna Machińska



prof. Ewa Łętowska



Stanisław Soyka

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU NA FUNDUSZ OBYWATELSKI
FUNDACJA DLA POLSKI KRS: 0000039342



Auta na aucie?

Unia Europejska wydała wyrok na auta spalinowe, ale w ostatniej chwili Niemcy zgłosiły weto. Natychmiast zyskały wsparcie Polski, bo jak w UE coś trzeba zablokować, to Berlin może na nas zawsze liczyć.

ADAM GRZESZAK

Szok, zaskoczenie, niedowierzenie. Przecież sprawa wydawała się przesądzona, a najważniejsze decyzje zapadły w październiku ubiegłego roku. Kraje UE uzgodniły, że realizacja planu „Fit for 55” i zamiar dojścia w 2050 r. do neutralności klimatycznej wymagają radykalnego ograniczenia emisji CO₂, jakie powoduje transport drogowy. Dlatego zaplanowano, że w rejestrowanych w Unii nowych autach osobowych i dostawczych dopuszczalna emisja CO₂ będzie stopniowo malała tak, by w 2035 r. dojść do zera. A to oznacza, że w nowych samochodach możliwy będzie wówczas wyłącznie napęd elektryczny. Szczegóły dogadano w trilogu,

czyli w trakcie trójstronnych uzgodnień Komisji Europejskiej, Rady UE i Parlamentu Europejskiego, wypracowując kompromis, którego elementem była wywalczona przez Włochy tzw. poprawka Ferrari, zapewniająca małoseryjnym producentom supersamochodów łagodniejszą ścieżkę dojścia do elektrycznej przyszłości.

Plan Wissinga

Kilka tygodni temu przepisy dotyczące limitów samochodowych emisji CO₂ przegłosował Parlament Europejski. Wyglądało, że podczas najbliższej Rady Unii Europejskiej podpisy państw członkowskich będą już tylko formalnością. I wtedy niemiecki minister transportu Volker Wissing ogłosił, że Niemcy odmawiają



podpisu. Zaczął też szukać poparcia innych krajów, zwłaszcza tych, w których działają niemieccy producenci motoryzacyjni. Polskiego rządu nie trzeba było długo namawiać. „W warunkach obecnego kryzysu cele przyjęte przez Parlament Europejski są zbyt radykalne” – oświadczył premier Mateusz Morawiecki. Front odmowy powiększył się wkrótce o Czechy, Słowację, Węgry i Bułgarię. Także Włosi sprawę przemyśleli i doszli do wniosku, że z tymi silnikami nie ma co się tak spieszyć.

Do Berlina na negocjacje pojechała przewodnicząca KE Ursula von der Leyen, ale niewiele wskórała. Sprawa przyszłości aut spalinowych pozostaje zapalnym punktem w relacjach niemiecko-unijnych, podzieliła też Niemcy i Francję. Znow zaczęły się negocjacje. Najpierw temat aut zdjęto z agendy Rady UE, ale potem nagle się na niej pojawił. Niemcy dostali to, czego chcieli, więc weto cofnęli. Reszta krajów z frakcji spalinowej albo wycofała swe zastrzeżenia, albo wstrzymała się od głosu. Oczywiście poza Polską. Samotni ze swym wetem zostaliśmy, nomen omen, na spalonym. Ale losu aut spalinowych to nie odmieni.

Niemcy nie ukrywają, że sprawa przyszłości aut podzieliła także ich rządową czerwono-żółto-zieloną koalicję. FDP, którego reprezentantem jest minister Wissing, uratowanie silników spalinowych traktuje jako ważny element programu gospodarczego. Tymczasem Zieloni, których reprezentantką jest minister środowiska Steffi Lemke, są za radykalnymi rozwiązaniami. Podobne stanowisko ma główny koalicjant, czyli SPD.

FDP nie zamierza się jednak cofać, bo czuje poparcie niemieckiego przemysłu. Poparcie zgłosiły też kraje związkowe – Dolna Saksonia, Bawaria i Badenia-Wirtembergia – obawiające się utraty miejsc pracy w przemyśle samochodowym. „Zgadujemy się, że transport musi się stać neutralny dla klimatu” – przekonuje minister, ale „to rynek powinien zdecydować, która technologia zostanie wykorzystana do osiągnięcia celu najsukuteczniej i najefektywniej kosztowo”.

Wissing walczył o to, by po 2035 r. nadal możliwa była produkcja i sprzedaż aut z silnikami spalinowymi, pod warunkiem jednak, że do ich zbiorników trafi e-paliwo. Pod tą dziwną nazwą, kojarzącą się bardziej z grą komputerową, kryje się paliwo syntetyczne wytwarzane głównie dzięki energii elektrycznej. Dlatego zwane jest też elektropaliwem. „Niemcy mają szansę odegrać wiodącą rolę w rozwoju e-paliw ze względu na swoje umiejętności technologiczne i inżynierskie oraz wysoki poziom innowacyjności” – czytamy w partyjnej deklaracji FDP.

Dziś benzyna i olej napędowy, które tankujemy, które na stacjach paliw, to mieszanina węglowodorów wytwarzana z surowca kopalnego, czyli ropy naftowej. Paliwo węglowodorowe można jednak uzyskać także w sposób sztuczny poprzez syntezę wodoru z dwutlenkiem węgla. Takie paliwo jest nawet doskonalsze, bo nie zawiera zbędnych, a na dodatek szkodliwych składników, takich jak np. siarka czy azot.

Oczywiście syntetyczna benzyna i olej napędowy, aby konkurować z napędem elektrycznym, muszą być neutralne klimatycznie. A więc muszą być produkowane z zielonego wodoru pozyskiwanego w zasilanym energią odnawialną procesie elektrolizy wody, a także z CO₂ wychwytywanego z powietrza. Choć spalanie takiego paliwa w silniku wiąże się z emisją CO₂ do atmosfery, to surowiec do produkcji został wcześniej pobrany z atmosfery, więc w sumie efekt klimatyczny pozostaje neutralny.

Sceptycy pukają się w czoło: to proces kosztowny i niezwykle energochłonny. Po co marnować zieloną energię elektryczną, której nie mamy za wiele, by wytwarzać syntetyczne paliwo samochodowe, skoro można ją po prostu ładować baterie w autach elektrycznych? Do wyprodukowania jednego litra e-paliwa potrzeba ok. 27 kWh prądu, podczas gdy najbardziej efektywne auta elektryczne są w stanie przejechać 100 km, zużywając 15 kWh (średnia to ok. 20 kWh/100 km), czyli są nawet 10-krotnie bardziej efektywne.

Paliwo z Ziemi Ognistej

„Samochodowe e-paliwa to koń trojański stworzony przez firmy naftowe i producentów silników, aby opóźnić przejście na technologie zeroemisyjne” – alarmuje organizacja Transport&Environment. Przekonuje, że w 2035 r. bilans energetyczny UE pozwoliłby na zapętnienie e-paliwem zbiorników najwyżej 5 mln samochodów z przewidywanej floty liczącej 287 mln aut.

Na te zarzuty odpowiada dr Volkmar Denner, dyrektor generalny koncernu Bosch, apostoł e-paliw: „To prawda, że samochody elektryczne są znacznie bardziej wydajne, o ile odnawialna energia elektryczna jest wytwarzana i wykorzystywana w tym samym kraju. A co, jeśli energia elektryczna pochodzi z innych części świata, gdzie jest więcej wiatru i słońca? Taka energia nie może być transportowana liniami przesyłowymi, ale musi zostać przetworzona chemicznie, a następnie ponownie przekształcona w energię elektryczną. W efekcie pojazdy elektryczne i e-paliwa oferują porównywalny poziom wydajności”.

Aby tego dowieść, koalicja wielkich koncernów (m.in. Exxon-Mobil, Siemens, Porsche) zbudowała pierwszą pokazową wytwórnię neutralnego klimatycznie paliwa syntetycznego. ►

► Zakład Haru Oni powstał na najdalszym południu Chile, w bezludnym regionie Patagonii, blisko Ziemi Ognistej. Region ten słynie z silnych wiatrów, dlatego wytwórnia składa się z elektrowni wiatrowej (na razie o mocy 280 MW, a docelowo 2,5 GW), zasilającej elektrolizer wody oraz instalację do wychwytu CO₂ z powietrza. Z zielonego wodoru i dwutlenku węgla powstaje gaz syntezowy, a z niego e-paliwo – na razie 130 tys. litrów benzyny syntetycznej rocznie. Plan zakładu dojście do skali przemysłowej i produkcję 55 mln litrów w 2025 r. i ponad 550 mln litrów do 2027 r. Wyprodukowane na najdalszym południu Ameryki Południowej paliwo będzie wożone na drugi koniec świata do Europy statkami, także docelowo napędzanyymi e-paliwem. Taki jest pomysł na ochronę klimatu.

Wojna o przyszłość silników spalinowych nie jest dla Polski obojętna, bo jesteśmy europejskim zagłębiem produkcji części i podzespołów samochodowych, w tym szczególnie do aut spalinowych. Wielkie koncerny stworzyły u nas sześć fabryk silników, choć wkrótce będzie pięć, bo Stellantis zamyka fabrykę w Bielsku-Białej.

Mimo to w ciągu roku powstaje w Polsce ponad 1,5 mln silników. Dlatego Stowarzyszenie Dystrybutorów i Producentów Części Motorzacyjnych (SDCM), reprezentujące jeden z naj-



Samochody elektryczne są drogie, wymagają budowy tysięcy stacji ładowania, rodzą też liczne ryzyka związane z zapewnieniem surowców do produkcji akumulatorów i silników elektrycznych.

większych sektorów polskiej gospodarki, który wypracowuje 8 proc. PKB, uczestniczy w europejskiej kampanii koordynowanej przez unijne stowarzyszenie CLEPA, apelując do prawodawców UE o technologiczną neutralność. Decydenci europejscy winni wyznaczać cele, ale sposób dojścia do nich zostawić inżynierom i przedsiębiorcom.

– Nie ma rozwiązania doskonałego, e-paliwa i napęd elektryczny mają swoje wady i zalety. Wadą syntetycznych paliw płynnych jest koszt ich produkcji. Dziś dość wysoki, ale w przyszłości zapewne coraz niższy. Zaletą jest możliwość wykorzystania ich w tradycyjnych samochodach spalinowych. Nie trzeba też tworzyć nowej infrastruktury logistycznej, stacji paliw, baz magazynowych, rurociągów itd. Tymczasem samochody elektryczne wymagają budowy tysięcy stacji ładowania, rodzą też liczne ryzyka związane z zapewnieniem surowców do produkcji akumulatorów i silników elektrycznych. Stawianie wszystkiego na jedną technologię może się więc okazać błędem – przekonuje Tomasz Bęben, dyrektor zarządzający SDCM.

Europejski przemysł w sprawie dojścia do neutralności klimatycznej jest podzielony. Duża część zadeklarowała, że stawia na elektromobilność i w najbliższych latach zakończy produkcję aut spalinowych. Volkswagen zobowiązał się, że do 2033 r. stanie się marką pojazdów wyłącznie elektrycznych, General Motors ten sam cel chce osiągnąć do 2035 r., podobnie jak Jaguar Land Rover. Dołączają kolejni: Mercedes, Ford, Stellantis, Rolls-Royce, Maserati.

Liczni multienergetyczni

Nie wszyscy jednak stawiają wszystko na jedną, elektryczną kartę. BMW i Porsche deklarują, że będą producentami multienergetycznymi, wytwarzającymi obok aut elektrycznych także wodorowe i spalinowe. Niektóre firmy nie tylko chcą produkować po 2035 r. auta spalinowe, ale nawet same wzięły się do opracowania e-paliw. Audi (choć to marka należąca do Grupy VW) już w 2015 r. stworzyło własną syntetyczną benzynę wytwarzaną z biomasy. Prace nad e-paliwami prowadzi też McLaren, Bentley i Mazda. Carlos Tavares, szef Stellantis, choć jego koncern deklaruje wolę stuprocentowej elektromobilności, nie szczędził krytyki unijnym przepisom, uznając je za dogmatyczne i ostrzegając przed konsekwencjami społecznymi zbyt szybkiej rezygnacji z silników spalinowych.

Podobnego zdania jest prof. Marcin Ślęzak, dyrektor Instytutu Transportu Samochodowego. Uważa, że proces powinien być rozciągnięty w czasie, tak by nie wywoływać perturbacji na rynku pracy, zwłaszcza w Polsce, gdzie w przemyśle motoryzacyjnym zatrudnionych jest ponad 200 tys. osób. – *Realizacja celów klimatycznych w transporcie musi także uwzględniać siłę nabywczą społeczeństwa, by dodatkowo nie doprowadzić do wykluczenia komunikacyjnego znacznych grup społecznych, których nie będzie stać na pojazdy zeroemisyjne* – przekonuje profesor.

Niepokoju nie kryje też Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego: – *Rezygnacja z silników spalinowych i przejście wyłącznie na napęd elektryczny oznacza dla europejskiego przemysłu samochodowego ogromne wydatki związane z inwestycjami w tworzenie nowych modeli, nowych zakładów produkcyjnych, nowych łańcuchów dostaw. Czasu zostało niewiele, ale najgorsze jest to, że wciąż nie ma pewności, że do 2035 r. powstanie sieć ładowarek umożliwiająca normalne użytkowanie e-aut. Opóźnienia w tej dziedzinie są niepokojące.*

Zdaniem Farysia przedłużenie życia silnikom spalinowym pod warunkiem zasilania e-paliwem jest rozwiązaniem, które bardziej sytuację skomplikuje, niż ją rozwiąże. – *Przecież w 2035 r. nikt nie zamierza wycofywać z eksploatacji wszystkich aut spalinowych kupionych w latach wcześniejszych. Będą mogły jeździć i korzystać z tradycyjnej benzyny i oleju napędowego wówczas, gdy nowe auta miałyby tankować wyłącznie czyste paliwa syntetyczne. Jak wówczas upilnować, by do nowych aut nie trafiały stare paliwa? Jak zweryfikować, czy e-paliwa powstały rzeczywiście z zielonego prądu i zielonego wodoru i są neutralne dla klimatu?*

Wielu ekspertów jest zdania, że dyskusja na temat stosowania paliw syntetycznych w samochodach osobowych jest bezprzedmiotowa, bo e-paliwa są bardziej potrzebne tam, gdzie rzeczywistość nie ma dla nich alternatywy. Jeżeli chcemy zdekarbonizować transport lotniczy, to przecież silników odrzutowych nie da się zasilić z akumulatorów. Podobnie wygląda sprawa z transportem morskim. Ale najgorsze jest to, że dzielimy skórę na niedźwiedziu, bo urządzamy świat neutralny klimatycznie, szafując niewyobrażalnymi ilościami prądu ze źródeł odnawialnych, którego jeszcze nie mamy. I nie wiadomo, kiedy będziemy mieć. W Polsce, gdzie energetyka wiatrowa jest zwalczana przez państwo, z pewnością nieprędko.

ADAM GRZESZAK

Zrzuty do rzeki



© NEWS LUBUSKI/EAST NEWS

Podobno ryby głosu nie mają. Jednak tysiące ton rybich truchłał odławianych z Odry w ubiegłym roku bezgłośnie przemawiały do wyobraźni. Dziś znamy rachunek strat. Czy nadchodząca wiosna i lato dobiją resztki życia w Odrze?

RYSZARDA SOCHA

W zatrutej rzece zginęło wówczas 50 proc. ryb, 85 proc. gatunków chronionych i ok. 90 proc. mięczaków. Nie są to szacunki ekologów, ale dane zebrane przez naukowców z podległego rządowi Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie. Trzeba wielu lat, żeby urosły takie okazy jak te, które martwe wyciągano z wody.

Jeśli ktoś jednak myśli, że już po kłopotcie, że wystarczy rzekę zarybić i czekać, to się myli. Prof. Robert Czerniawski, hydrobiolog z Uniwersytetu Szczecińskiego, raz po raz powtarza, że katastrofa wciąż trwa. W jakim sensie? Ryby wyłowione na blokadach stanowiły tylko niewielką część obumarłej masy. Reszta opadła na dno i uległa rozkładowi, stwarzając korzystne warunki rozwoju dla niepożądanych organizmów. – *Zrobi się ciepło, metabolizm przyspieszy, pojawią się zakwity* – rysuje scenariusz naukowiec. – *Na szczęście jest trochę śniegu w górach, będzie więcej wody, która rozcieńczy te związki użyźniające rzekę.*

Zalew Szczeciński stanowi bufor dla Bałtyku. To tu najpierw trafiła gnijąca woda. Naukowcy nie wiedzą, kiedy trefny ładunek wpłynie do Zatoki Pomorskiej – jeszcze w tym roku czy w następnym? Ani jak się to odbije na stanie wody w tej części Bałtyku.

Sens szybkich zarybień rzeki jest wątpliwy. – *Ryby muszą mieć bazę pokarmową, której obecnie nie mają* – mówi prof. Czerniawski. – *Jeśli będziemy zarybiać teraz, to jest 50-procentowe ryzyko, że zmarnujemy pieniądze. Wiemy, że ścieki płyną. Odra jest kloaką w stanie stabilnym, ale krytycznym.*

To widać i czuć: pensjonaty wzdłuż rzeki świecą pustkami.

Co stresuje złote algi?

Wyniki analiz próbek pobranych 29 listopada 2022 r. w Marinie Gliwice na Kanale Gliwickim opisał na Facebooku dr hab. Bogdan Wziętek, przewodniczący rady naukowej Polskiego Związku Wędkarskiego, doradczący parlamentarnemu zespołowi ds. renaturyzacji Odry: „Przypuszczaliśmy oczywiście, że sytuacja nie jest różowa. Kanał odbiera wody różnego pochodzenia z obszaru części Śląska, więc trudno oczekiwać, aby woda w nim była krystalicznie czysta. Niestety wyniki badań pokazały, że nie jest źle, jest po prostu tragicznie”.

Wskaźnik zasolenia (przewodność) miał wartość podobną do tej, jaką mają wody Atlantyku. Łączna zawartość chlorków i siarczanów wynosiła 3295 mg na liter. To oznacza ponadtrzykrotne przekroczenie ustalonej dla ścieków normy 1000 mg/l dla obu typów soli łącznie. „Można więc śmiało powiedzieć, ►

► że w zasadzie ten fragment Kanału, gdzie pobierane były próbki, to już nie woda powierzchniowa, lecz czysta woda dołowa” – konkludował dr Wziątek. Gorsza niż w czasie masowych śniegów.

W próbkach bez specjalnych poszukiwań natrafiono też na złote algi. Wstępny raport kilkudziesięciosobowego zespołu ds. sytuacji na rzece Odrze, powołanego przez minister środowiska i klimatu (30 września 2022 r.), właśnie tym glonom przypisał odpowiedzialność za katastrofę. Algi do życia potrzebują słonej wody. Pod wpływem stresu uwalniają substancję zabójczą dla ryb i mięczaków. Okoliczności, kiedy do tego dochodzi, nie zostały jednoznacznie i klarownie wyjaśnione. Raport końcowy do tej pory nie powstał. Jest zapowiadany. Ostatnio na marzec.

Zainteresowani tematem budują własne hipotezy. Część uważa, że złote algi najlepsze warunki do namnażania się mają w zasolonych i nagrzanych wodach stojących. A do stresu dochodzi w kontakcie ze słodsza wodą rzeki, do której opróżniane są zbiorniki. – *To musiała być mocno zakwitnięta woda z jakiegoś zbiornika* – mówi o przyczynach ubiegłorocznej katastrofy dr inż. Łukasz Weber, specjalista ds. inżynierii środowiska. – *Nikt nie monitoruje tych zakwitniętych zbiorników. Jedna z amerykańskich agencji uważa, że w przyszłości to będzie źródło poważniejszych problemów.*

Solą płynące

Weber przyciągnął uwagę mediów, bo bardzo wcześniej postawił hipotezę, że to nie rtęć, ale jakieś glony czy sinice trują ryby w Odrze. A potem błysnął wyliczeniami, które unaocznili laikom, ile soli spływa rzeką. Rachunki oparł na wskaźniku przewodności, a właściwie na tym, o ile był on wyższy od przyjętego za poziom naturalny dla Odry. Wyszło mu, że pomiędzy 16 października a 9 listopada 2022 r. rzeka transportowała dodatkowo 6 tys. ton soli (chlorków i siarczanów) w ciągu doby. To 120 węglarek o ładowności 50 ton. Ponad 140 tys. ton soli w ciągu 24 dni.

Sól może pochodzić także z komunalnych oczyszczalni ścieków. Według dr. Webera 25-tysięczne miasteczko odprowadza ok. 1 tys. ton soli rocznie. Ale głównym jej źródłem jest przemysł, zwłaszcza wydobywczy. Górnictwo podziemne nie jest w stanie funkcjonować bez odpompowywania dużych ilości wód. Im głębiej górnik fedruje, tym bardziej są zasolone. Szacuje się, że jedna trzecia soli trafia do Odry, a dwie trzecie do Wisły. Transport tych paru milionów ton soli rocznie można uznać za dług, który przemysł wydobywczy zaciąga u rzek. – *Do Krakowa Wisła jest tak zasolona, że jej wody się do niczego nie nadają* – relacjonuje hydrolog Mariusz Czop, prof. krakowskiej AGH. – *Lepiej jest dopiero po połączeniu z Sanem, który to, co niesie Wisła, rozcieńcza.*

– *Wisła ma dwa razy więcej wody niż Odra* – mówi prof. Czerniawski. – *Ona sobie radzi. Ale też do pewnego momentu. Ta odporność ekologiczna kiedyś się załamie.*

W Wiśle złotych alg na razie nie stwierdzono. Ale ponieważ także tu są warunki sprzyjające ich rozwojowi, panuje przekonanie, że to kwestia czasu.

Tylko jedna kopalnia w Polsce korzysta z instalacji odsalającej wodę. Należy do Jastrzębskiej Spółki Węglowej, która ma się dobrze, bo wydobywa węgiel koksujący. Historia odsalarni sięga – uwaga – 1974 r. (zmodernizowana w latach 90. z zastosowaniem technologii amerykańskich i szwedzkich). Podobno Gierek chciał pokazać, że Polak potrafi. Ponoć nigdzie w Europie czegoś takiego nie było, bo Europa, licząc koszty, zamykała kopalnie, gdzie wydobywanie stawało się trudne, nierentowne i nazbyt szkodliwe dla środowiska. A Polska ma z tym kłopot do tej pory.



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Stałego monitoringu wód Odry jak nie było, tak nie ma. Od monitoringu woda nie robi się czystsza, ale od razu wiadomo, gdy coś się dzieje.

Odsalarnia najpierw zagospodarowywała wody z kopalni Dębieńsko (zamknięta), teraz z kopalni Budryk. Uzyskuje się tu rocznie ok. 70 tys. ton wysokiej jakości soli spożywczej warzonej. Zamiast do rzeki Bierawki sól trafia na rynek. Krzysztof Baradziej, prezes należącego do JSW Przedsiębiorstwa Gospodarki Wodnej i Rekultywacji, nie ukrywa, że obecnie wpływy z soli nie pokrywają nawet kosztów energii elektrycznej zużytej w procesie odsalania. Z grubsza biorąc, to ekologiczne rozwiązanie kosztuje kopalnię Budryk trzy razy więcej, niż gdyby była podłączona do kolektora Olza, jak inne kopalnie obsługiwane przez PGWiR (siedem kopalń należących do trzech różnych spółek w różnej kondycji finansowej).

Kopalnie te nie miały w pobliżu żadnej wystarczająco dużej rzeki, którą mogłyby obciążać ściekami. Rozwiązaniem stał się wspomniany kolektor Olza – zespół zbiorników zbudowanych na terenie dawnej kopalni Moszczenica oraz towarzysząca im sieć rurociągów. Zbiorniki mogą pomieścić ok. 1 mln m sześć ścieków. Są wprowadzane do Odry w rejonie Krzyżanowic. Zrzut jest sterowany za pomocą modeli matematycznych. – *Jeżeli przepływy wody w rzece są duże, a zasolenie małe, to spuszczaamy naszą solankę* – relacjonuje prezes Baradziej. – *Jeśli wody w rzece jest mało i już jest zasolona, to pompujemy mało albo wcale. Przy tej pojemności zbiorników możemy nawet do miesiąca nie pompować. Ten system zapobiega nadmiernemu zasoleniu.* Pod warunkiem że susza nie będzie trwała zbyt długo, przed czym ostrzegają specjaliści od zmian klimatycznych.

Na tym etapie prezes Baradziej nie widzi lepszego rozwiązania niż dozowanie ścieków. Za zrzuty spółka płaci Wodom



Polskim 12–13 mln zł rocznie (tzw. opłata za korzystanie ze środowiska). Po 5 gr za kilogram chlorków i siarczanów (50 zł za tonę). To znaczy, że z kopalń podłączonych do kolektora Olza spływa do Odry 260 tys. ton soli. Podobno w Budryku też by woleli w ten sposób, ale w grę wchodzi odległość od kolektora: 35 km. Poprowadzenie rury przez tereny dość gęsto zabudowane dziś wydaje się nierealne. Chyba żeby przeprowadzić to specustawą.

Gdy Odrą popłynęły martwe ryby, kolektor Olza znalazł się wśród podejrzanych.

– *Nie wiem, czy mamy tę złotą algę, ale ten trop nas niepokoi* – mówi prezes Baradziej. Sami badań pod tym kątem prowadzili.

Nie krzywdzić truciela

Solenie rzek się po prostu opłaca. Nie ukrywa tego gigant miedziowy KGHM (trzy podziemne kopalnie miedzi): „Aktualnie nie istnieje alternatywna metoda zagospodarowania nadmiaru wód kopalniano-technologicznych, która jednocześnie byłaby korzystna dla środowiska i uzasadniona ekonomicznie”. Czyli ekologiczna, a zarazem tańsza od opłat za solenie.

Spółka szczegółowo opisuje, jak działa zbiornik Żelazny Most i w jaki sposób nadmiar wód kopalniano-technologicznych jest wprowadzany do Odry. Za powód do chluby uważa to, że starając się o pozwolenie wodnoprawne, sama wniosowała o zrzuty dozowane, co – jak czytamy – „jest wyrazem szczególnej dbałości KGHM, bowiem wydawane przez organy ochrony środowiska pozwolenia wodnoprawne przeważnie nie uzależniają ilości wprowadzanych zanieczyszczeń od panujących warunków hydrologicznych”.

Natomiast prośba POLITYKI o informację, ile soli rocznie KGHM zrzuca do Odry i ile za to płaci, pozostała bez odpowiedzi. I nie przez przeoczenie. Ciekawe, jak te pieniądze miałyby się do zysku netto osiąganego przez grupę (w 2021 r. – 6,2 mld zł).

Dr hab. inż. Krzysztof Berbeka, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego (Instytut Ekonomii Finansów i Zarządzania), który od lat

analizuje skuteczność systemu opłat za korzystanie ze środowiska, przyznaje, że obecne stawki za chlorki i siarczany są tak niskie, że niższe już być nie mogły. Po prostu symboliczne. W dodatku w przypadku kopalń na minusie nie były egzekwowane i po pięciu latach ulegały przedawnieniu. – *Opłaty z premedytacją utrzymuje się na niskim poziomie, żeby „nie krzywdzić” trucieli* – konstatuje. Trochę to usprawiedliwia. Bo odsalanie jest drogie i energochłonne, bo państwo chroniło trucieli przed zbyt dużymi wydatkami w trosce o konkurencyjność krajowej gospodarki.

– *Powietrze i woda są jednakowo potrzebne do życia, ale zanieczyszczenie czystego powietrza przebiło się do świadomości ludzi, a z wodą ciężko się przebić* – zauważa prof. Robert Czerniawski. W sprawie powietrza wytworzyła się społeczna presja. Natomiast stopień zatroskania o stan wody jest bez porównania mniejszy. Katastrofa Odry – obraz ryb płynących brzuchami do góry – spowodowała, owszem, jakiś wstrząs. Ale raczej chwilowy. Ot, zdarzyło się nieszczęście, minęło, może nie wróci.

Dreptanie w miejscu

Brak silnej presji w sprawie czystości wód ułatwia rządzącym trwanie w inercji, pozorowanie działań. Dało się to zauważyć 7 lutego 2023 r. podczas posiedzenia sejmowej komisji ochrony środowiska, zwołanego w związku z ponownym wzrostem poziomu soli w Odrze. Ale też w końcu chciałoby się usłyszeć, co wynikało z rozlicznych postępowań wyjaśniających, z obietnic, które składano latem 2022 r. w apogeum społecznego wzburzenia. Otóż tak naprawdę nie wynikło nic. Padło mnóstwo liczb mających zaświadczyć, że urzędnicy pracują bez wytchnienia. PGW Wody Polskie liczą wyloty, którymi ścieki trafiają do rzek – legalne i nielegalne. Doszły do liczby 17 048. Inspekcja ochrony środowiska kontroluje zakłady, które mają pozwolenia wodnoprawne na zrzut stłoczonych ścieków. Skontrolowała ich 339. Wniosek: „nie stwierdzono, aby sytuację na Odrze spowodowała działalność konkretnego kontrolowanego zakładu”.

Przegląd pozwoleń wodnoprawnych ma być zakończony w marcu. Stałego monitoringu wód Odry, uwzględniającego podstawowe parametry, chociażby takiego, jaki mają Niemcy, jak nie było, tak nie ma. Wezwany do odpowiedzi Marek Gróbarczyk, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury, które formalnie nadzoruje stan polskich wód, zadeklarował jego uruchomienie w kwietniu br. Specjaliści są zdania, że zważywszy na sytuację kryzysową, można to było zrobić w miesiąc, jeszcze latem 2022 r. Od monitoringu woda nie robi się czystsza, ale od razu wiadomo, gdy coś się dzieje.

Gróbarczyk wolał się skupić na specustawie – wciąż w fazie projektowej. Choć wiadomo, jak szybko działa pisowska legislatura, jeśli jest wola polityczna. Tę specustawę minister zapowiedział już w sierpniu 2022 r. Wedle świeżych deklaracji projekt ma trafić do Sejmu w połowie tego roku. Ma w nim być wszystko, co tylko można sobie wyobrazić: od doposażania GIOŚ i OSP w sprzęt do monitorowania, przez inwestycje w dorzeczu Odry w kanalizację oraz oczyszczalnie ścieków (budowa nowych, rozbudowa albo modernizacja starych), wyższe kary za wykroczenia związane z gospodarką wodną i zachęty finansowe do zmniejszania zrzutów zasolonych wód, po utworzenie specjalnej Inspekcji Wodnej – zapewne rezerwuaru nowych posad.

Nie widać woli, aby realnie pomóc Odrze, aby ochronić Wisłę. Widać chęć przeczekania, zagadania problemu. Pytanie o plan działań kryzysowych w przypadku toksycznego zakwitów alg w 2023 r. pozostało bez odpowiedzi.

RYSZARDA SOCHA

Uwaga, transport specjalny!

PRZEWOŻENIE OGROMNYCH ŁADUNKÓW TO WIELKIE WYZWANIE LOGISTYCZNE, ALE TEŻ WYDARZENIE SPEKTAKULARNE, PRZYCIĄGAJĄCE UWAGĘ MIESZKAŃCÓW. JAK JE BEZPIECZNIE ZAPLANOWAĆ I ZREALIZOWAĆ?

W minionym roku Polskę zelektryzował transport wyjątkowej maszyny TBM (Tunnel Boring Machine), przygotowanej do drążenia tuneli na budowie drogi ekspresowej S19 w Babicy koło Rzeszowa. Był to jeden z najtrudniejszych i najbardziej złożonych projektów przewozu tak ogromnego ładunku, realizowanych do tej pory w naszym kraju. Z Hiszpanii do Polski przetransportowana została w częściach maszyna o masie ponad 4 tys. ton, długości 107 m i tarczy drążącej o średnicy 15,2 m! Cała procedura składała się z kilku etapów i była realizowana przy wykorzystaniu transportu drogowego, morskiego i rzeczno-go. Największe części maszyny o łącznej masie 1900 ton przyplęły do Polski w październiku 2022 r., a następnie barkami zostały spławione Odrą do Opola. Stamtąd w dwóch konwojach, z wykorzystaniem specjalnej platformy z samojedznymi osiami (liczącymi aż 34 osie), były nocami przewożone do Babicy koło Rzeszowa.

Transport budził ogromne zainteresowanie nie tylko ze względu na swoje gabaryty, ale też trasę przejazdu, który ze względu na dostępną infrastrukturę drogową był realizowany przez Warszawę. Maszynę TBM, potocznie zwaną kretem, witali i fotografowali nocą mieszkańcy wielu miast. Takie specjalne operacje (tzw. projekty cargo) są w logistyce traktowane szczególnie. To spektakularne wydarzenia, działające na wyobraźnię. Z drugiej strony wiążą się one z ogromną odpowiedzialnością, wymagają znajomości wielu logistycznych uwarunkowań, przepisów i myślenia poza utartymi schematami. Niezmiennie ważne jest bezpieczeństwo nie tylko



Transport części do ogromnej maszyny TBM, przedmieścia Opola.

przewożonych maszyn, elementów, pojazdów, ale też ludzi pracujących przy załadunkach i transporcie oraz obserwatorów i uczestników ruchu drogowego.

– *Projekty cargo nigdy nie są oczywiste. Tutaj nie ma miejsca na schematy, powtarzalność i rutynę – to prowadzi do błędów, które mogą być niebezpieczne. Nietypowe wymiary ładunków, trasy i złożone procedury wymagają myślenia kreatywnego, aby dostarczyć ładunek na miejsce przeznaczenia w sposób bezpieczny i efektywny* – podkreśla Tomasz Kwapis, szef Przewozów Ponadgabarytowych w DB Schenker. Maszyny do drążenia tuneli, koparki, kombajny górnicze, sprzęty rolnicze, turbiny elektrowni wiatrowych, jachty, konstrukcje stalowe i elementy infrastruktury fabryk, rafinerii, placów budowy

– to tylko niektóre przykłady ładunków, które klasyfikowane są jako ponadnormatywne.

Transport ponadnormatywny oznacza przewóz ładunku, który ze względu na swoje wymiary lub wagę przekracza normy określone w prawie o ruchu drogowym. Zgodnie z przepisami o ładunku ponadgabarytowym możemy mówić m.in., gdy masa pojazdu przekracza 42 tony, szerokość transportu jest większa niż 2,5 m, długość pojazdu wynosi co najmniej 16,5 m dla naczep oraz 18,5 m dla przyczep, a wysokość to ponad 4 m. Przekroczenie tych limitów wymaga uzyskania specjalnych zezwoleń i zastosowania dodatkowych środków bezpieczeństwa. Jakich? Przykładowo realizacji transportu nocą z odpowiednią prędkością, pilotów, eskorty policyjnej,

specjalnych pojazdów i ekspertów dotyczących chociażby wiaduktów, mostów, tuneli.

Każdy transport ponadnormatywny i ładunek ponadgabarytowy oznacza wyzwanie logistyczne. Zawsze jest to skomplikowany proces, który należy dobrze przemyśleć, zaplanować i zrealizować z dbałością o procedury, przepisy prawa i bezpieczeństwo. Czynnikiem, które mogą mieć wpływ na transport, jest wiele, zwłaszcza w przypadku złożonych projektów – na przykład przewożenia maszyn górniczych, elementów infrastruktury portowej czy fabryk. Złożone projekty transportowe to prawdziwy sprawdzian dla ekspertów. W obsłudze takich zleceń potrzebna jest nie tylko wiedza i doświadczenie. Niezwykle istotne są też osobiste relacje i bezpośrednie kontakty.

Potrzebna jest współpraca ze sprawdzonymi partnerami, wyspecjalizowanymi przewoźnikami, znajomość przepisów prawa i ruchu drogowego w danym kraju, ale też bieżący kontakt z ekspertami z różnych obszarów, na przykład wynajmianymi wykonującymi wymagane ekspertyzy. – *Od początku mojej zawodowej przygody z projektami cargo nauczyłem się, że kluczowe jest zaufanie klienta. Musi być on pewien, że operator logistyczny, któremu powierza swój wyjątkowy ładunek, poradzi sobie z taką operacją. Tylko umiejętne łączenie myślenia poza schematami, eksperckiej wiedzy z doświadczeniem gwarantuje powodzenie projektu niezależnie od stopnia jego trudności* – dodaje Tomasz Kwapis. Udany transport maszyny TBM udowodnił, że gdy pomyśli się o wszystkich elementach i uwarunkowaniach, w logistyce nie ma wyzwań niemożliwych.

PIOTR CYMERMAN



Ważna umowa **DB Schenker** i **MSC** na biopaliwo pomoże zmniejszyć emisję w łańcuchu dostaw

Pierwsze tego rodzaju porozumienie między operatorem i armatorem • W 2023 r. co najmniej 30 000 standardowych kontenerów (TEU) popłynie po światowych oceanach z zerową emisją netto • Certyfikowane zrównoważone biopaliwa drugiej generacji pomagają w dekarbonizacji transportu oceanicznego

DB Schenker rozwija swoje ekologiczne usługi frachtu oceanicznego. Firma podpisała porozumienie z MSC Mediterranean Shipping Company, największą na świecie linią kontenerową. Dotyczy ono wykorzystania 12 000 ton metrycznych biopaliwa dla wszystkich własnych skonsolidowanych ładunków, LCL (less-than-container load), FCL (full-container-load) i kontenerów chłodniczych (reefer containers).

Ilość zakupionego biopaliwa jest wystarczająca, aby zaoszczędzić dodatkowe 35 000 ton ekwiwalentu CO₂ (CO₂e) w całym łańcuchu produkcyjnym (well-to-wake) na rynku. Odpowiednik około 30 000 standardowych kontenerów (TEU) będzie mógł być transportowany z zerową emisją CO₂ netto, w zależności od sposobu wykorzystania paliwa podczas rejsu.

Podpisana w tym miesiącu umowa zakupu stanowi jedną z największych transakcji dotyczących biopaliw obniżających emisję dwutlenku węgla, zawartych pomiędzy operatorem i armatorem. Dotyczy ona stosowania certyfikowanych, zrównoważonych biopaliw drugiej generacji – pochodzących ze zużytego oleju kuchennego – zamiast konwencjonalnego paliwa żeglugowego z paliw kopalnych. Komponent 12 000 ton biopaliwa zostanie zmieszany w proporcji od 20% do 30%, co da w efekcie około 50 000 ton zmieszanego biopaliwa, wykorzystanego następnie przez kontenerowce MSC. Dzięki umowie, DB Schenker może zaferować swoim klientom produkt, który umożliwia transport oceaniczny o zerowej wartości netto.

Certyfikowana redukcja emisji śladu węglowego klientów

To partnerstwo jest znaczącym przykładem zaangażowania DB Schenker w czystą logistykę. Stanowi kolejny ważny krok na rzecz wykorzystywania paliw alternatywnych w branży. Podobnie jak w przypadku lotów „zero netto” ze zrównoważonym paliwem lotniczym (SAF), klienci mogą teraz rezerwować regularny trans-

port oceaniczny „zero netto” i otrzymać roczny certyfikat redukcji emisji dla swojego śladu węglowego.

Thorsten Meincke, Global Board Member for Air & Ocean Freight w DB Schenker:

„Razem z MSC oferujemy naszym klientom wygodne i czyste rozwiązanie wykorzystujące biopaliwo najnowszej generacji, które pomoże im osiągnąć rzeczywistą dodatkową redukcję emisji. Robimy to, ponieważ wierzymy, że takie działanie jest słuszne i dlatego płacimy za zakup biopaliwa z góry. Jedno jest pewne: im więcej klientów będzie wymagać neutralności klimatycznej w całym łańcuchu dostaw, tym szybciej osiągniemy czysty fracht oceaniczny”.

Caroline Becquart, Senior Vice President MSC:

„Dekarbonizacja frachtu oceanicznego nie może być osiągnięta przez jednego gracza i wymaga współpracy pomiędzy armatorami i firmami logistycznymi oraz ich klientami. MSC Biofuel Solution to nasz pierwszy certyfikowany program kompensacji CO₂, który zmniejsza emisję w łańcuchach dostaw naszych klientów. Tym samym przyspiesza transformację energetyczną poprzez tworzenie popytu na transport morski o zerowej emisji netto i dostarczanie bezpośrednich oszczędności CO₂. Cieszymy się, że możemy współpracować z DB Schenker. Dzielimy podobne ambicje klimatyczne w naszej wspólnej podróży do zerowego poziomu emisji netto”.

Biopaliwo może być wykorzystywane w regularnych operacjach frachtu morskiego bez konieczności dostosowywania infrastruktury statku lub łańcucha dostaw, dlatego jest to wygodne rozwiązanie. MSC Biofuel Solution ma być podejściem typu win-win, które pozwoli przejść od ambicji do działania. MSC bunkruje zrównoważone biopaliwo, a klienci korzystają ograniczając CO₂, co generuje wartość w całym łańcuchu dostaw. To odróżnia ten program od inicjatyw kompensacji emisji dwutlenku węgla poza transportem morskim, które koncentrują się na przyszłych redukcjach emisji.



Klątwa outsidera

Demonstrujący Francuzi nie tylko mają problem z reformą emerytalną, ile z prezydentem. **Emmanuel Macron** to polityk tak niestandardowy, że ludowi po prostu trudno się z nim utożsamić.

To była 10. minuta ważnego wywiadu z prezydentem Francji. W popularnym programie telewizyjnym zatrzymywano obraz i sekunda po sekundzie analizowano, jak Emmanuel Macron uderzył ręką o blat stołu. Rzeczywiście rozległ się dziwny dźwięk. Później prezydent pośpiesznie schował obie ręce pod stół. Co mógł robić mężczyzna z rękami pod stołem?

W mediach społecznościowych zawrzało. Nie brakowało frywolnych złośliwości, które tutaj pominiemy. W końcu stwierdzono, że ukrywał drogi zegarek. Macron śmiał pouczać lud na temat wydłużania wieku emerytalnego i polityki wyrzeczzeń, jednocześnie nosząc na przegubie dłoni zegarek za 80 tys. euro. I tak wystąpienie, które miało tonować nastroje przeciwników reformy, tylko ich bardziej rozjuszyło.

Tymczasem anegdotyczna sprawa z zegarkiem pokazuje, jak mało Francuzów interesuje, co w ogóle mówi ich 45-letni prezydent. Można odnieść wrażenie, że cokolwiek by zrobił, będzie źle oceniany.

Poirytowanie kierunkiem działań i stylem Macrona właśnie sięgnęło zenitu. Popularność władz w sondażach spadła do poziomu znanego z początku kryzysu żółtych kamizelek w 2018 r. Jeszcze gorzej jest z osobistymi notowaniami prezydenta – według sondażu Elabe popiera go zaledwie 24 proc. ankietowanych. Aż trudno uwierzyć, że dopiero co zatriumfował w wyborach prezydenckich.

Niechęć, wręcz nienawiść na ulicach, wydaje się tym bardziej gorzka, że w 2016 r. Macron – jeszcze jako prezydencki kandydat – w książce „Rewolucja” zastanawiał się nad przyczynami kryzysu V Republiki. Wówczas rozpiszywał się o oderwaniu klasy politycznej od suwerena: „Francuzi słusznie uważają, że ich przedstawiciele nie są do nich podobni”. Stwierdzenia wymierzone w stare elity zyskały mu nawet miano centrowego populisty.

Gdy dziś miliony Francuzów wychodzą na ulice, strajkują śmieciarze i płoną samochody, trudno nie zadumać się nad ekspresowo przebytą przez tego polityka drogą. Skąd ten radykalny zwrot akcji? Dlaczego Macron wywołuje dziś taką polityczną agresję, że – jeśli spojrzeć na uliczne hasła i gniew – niektórzy literalnie chcieliby go potraktować jak Ludwika XVI? Dlaczego jeden z poważnych komentatorów stwierdził, że goszczenie przez Macrona króla Karola III w Wersalu byłoby prowokacją i dobrze, że wizytę odwołano?

1 Macron oczywiście nie jest potomkiem arystokracji ani nawet paryskiej burżuazji. Urodził się w 1977 r. w Amiens nad Sommą – jak byśmy powiedzieli – w Europie Wschodniej, w rodzinie inteligenckiej. Ten głodny sukcesów prowincjusz niczym bohater powieści Balzaka skończył paryskie kuźnie elit, czyli Sciences Po oraz École nationale d'administration (ENA), które przyniosły mu wiedzę i kontakty. Ale jakkolwiek kierunki humanistyczne ewidentnie go pociągały, w tym filozofia, karierę zaczął w świecie finansów. Najpierw jako urzędnik państwowy, później trafił do Rothschild & Cie Banque, co nieustannie rozbudza wyobraźnię jego przeciwników.

Nie byłby jednak tam, gdzie dziś jest, gdyby nie namiętność do polityki. Odnajdował się po lewej stronie spektrum, wcześniej zapisał się do wówczas jeszcze potężnej Partii Socjalistycznej. I tu również błyskawicznie pokonywał kolejne stopnie kariery. Przygarnął go prezydent François Hollande, pracowitość

i umiejętności niebawem doceniono stanowiskiem rządowym – w 2014 r. był już ministrem gospodarki, przemysłu i cyfryzacji. Wybijał się ponad innych niezaprzeczną wiedzą i tupetem. Ale nawet kolejne stanowiska rządowe nie uprawniały go, chłopaka z Amiens, do marzeń o Pałacu Elizejskim.

I tu przyszło zaskoczenie. Partia Socjalistyczna, która miała wówczas pełnię władzy, dramatycznie rozczarowywała wyborców. I nagle młody minister Macron zakłada własny ruch polityczny. Po czym wbija nóż w plecy niedawnego protektora, deklarując udział w wyścigu o Pałac Elizejski. Pod koniec kadencji popularność prezydenta Hollande'a była tak niska, że ostatecznie nie zdecydował się nawet ubiegać o reelekcję. Resztę historii dobrze znamy: potężni konkurenci Macrona odpadli w aferach lub wzajemnym wyniszczaniu się. Lepszego pola dla startu z pozycji outsidera nie można było sobie wówczas wyobrazić.

W dodatku niosła go energia młodości, której świat przyglądał się życzliwie. Stare partie centrolewicy i centroprawicy wydawały się zmuszałe, ich liderzy zajęci sami sobą. W wyborach prezydenckich w kwietniu i maju 2017 r. odniósł oszałamiający sukces. Co więcej, w debacie telewizyjnej przed drugą turą brutalnie przeciął marzenia Marine Le Pen – publicznie wykazał jej skrajną niekompetencję do rządzenia. Można było odnieść wrażenie, że w karierze zawodowej Macronowi wszystko się udaje. Ze 135-tysięcznej stolicy Pikardii dotarł bowiem na sam szczyt.

Śmiałym szczęście sprzyja? Niewątpliwie. Wielkie partie polityczne centrolewicy i centroprawicy leżały w gruzach. Hasło porzucenia podziału lewica – prawica wydawało się rodakom świeże, prawdziwe remedium na bolączki i rozczarowanie klasą polityczną. Po latach zresztą widać, że tak naprawdę poważnych kontrkandydatów do przewodzenia Francji na horyzoncie nie było. Oto młody Macron miał pokierować jednym z najważniejszych państw świata. Problemy zaczęły się jednak niemal od razu.

2 Dziś sypią się pytania, czy obecne załamanie to „tylko” kryzys rządów Macrona, czy całego systemu V Republiki. Chodzi wszak o milionowe protesty na ulicach dużych i małych miast związane z reformą emerytalną. Poblokowane są ronda, autostrady, rafinerie. Uliczne bijatyki oraz płonące śmietniki nie przykuwają już takiej uwagi, bo w zasadzie od pierwszego zwycięstwa Macrona sześć lat temu przez kraj przetaczają się kolejne fale oburzenia, wraz ze wspomnianymi najsłynniejszymi protestami żółtych kamizelek na czele.

Teoretycznie obecny sprzeciw związany jest z czymś bardzo konkretnym: podniesieniem wieku emerytalnego z 62 do 64 lat. W dodatku Macron od samego początku zapowiadał tu zmiany systemowe. Ale gdy 10 stycznia premier Élisabeth Borne ogłosiła założenia reformy, znów zawrzało.

Rząd początkowo uznał, że związki zawodowe nie będą przeszkodą, w Zgromadzeniu Narodowym projekt poparą bowiem centroprawicowi republikanie, którzy od dawna mają reformę emerytalną na sztandarach. Tymczasem rozjechana w 2017 r. walcem Macrona partia do dziś się nie pozbierała. Nie jest temu winny prezydent, niemniej pod wpływem presji ulicy republikanie posypali się do reszty i część z nich odmówiła głosowania za podniesieniem wieku emerytalnego.

W tej sytuacji rząd Borne uciekł się do słynnego art. 49.3 konstytucji z 1958 r., zgodnie z którym projekt ustawy przechodzi, ►

► chyba że wyróci się cały rząd w drodze wotum nieufności. Gabinet otarł się o porażkę zaledwie kilkoma głosami. Trudno było zatem mówić, że silne poparcie ma projekt, któremu w sondażach sprzeciwia się dwie trzecie Francuzów, ulice są zablokowane przez protestujących, a tu jeszcze w Zgromadzeniu Narodowym nie udało się uciuć większości.

Gdy oddawaliśmy ten numer POLITYKI do druku, Francuzi spoglądali w stronę Rady Konstytucyjnej, która może orzec niekonstytucyjność projektu ustawy. Czy i w jakim zakresie to zrobi, pozostaje zagadką. W debacie słychać wątpliwości mnożone przez wybitnych konstytucjonalistów. Analitycy zaś przypominają, że ta 9-osobowa instytucja obsadzona jest emerytowanymi politykami, choćby byłymi premierami, którzy jeszcze mogą pokazać prezydentowi zęby.

Posiedzenie Rady Konstytucyjnej zapowiedziano na 14 kwietnia, w czym organizatorzy protestów upatrują sens dalszego trwania na ulicach.

3 Trudno się nie zgodzić z analitykami, którzy w obecnych wydarzeniach dopatrują się nie tyle jednorazowego sprzeciwu wobec reformy emerytalnej, ile kryzysu pewnej propozycji politycznej, skrywanej pod terminem macronizm. Otóż młody Macron szedł po władzę z ideą regeneracji ustroju Francji. W latach 2016–17 powszechne i dojmujące było wrażenie politycznego marazmu i degeneracji partii politycznych. Żaden outsider nie rozbiłby duopolu centroprawicy i centrolewicy, gdyby główne partie nie okazały się wydrążone od środka. W tym sensie diagnoza ich głębokiego kryzysu była trafna.

Główne postulaty macronizmu wypunktował jednak ostatnio Gilles Finchelstein z Fundacji Jean Jaurésa. Jego zdaniem młody polityk przyszedł z bukietem propozycji, które opierały się na trzech filarach. Pierwszym było wyjście poza anachroniczny wobec wyzwań współczesności podział na lewicę i prawicę. Drugim – zastąpienie partii ruchami społecznymi. Trzecim wreszcie – emancypacja indywidualna, celem odblokowania nad Sekwaną energii i mobilności społecznej.

Co z tego pozostało? Sięgający XVIII w. podział polityczny na lewicę i prawicę nie tyle został przewyższony, ile sam Macron pragmatycznie przesunął się z lewej strony spektrum na prawą. Jego ruch społeczny w praktyce okazał się zawodnym narzędziem sprawowania władzy. Co w teorii prezentuje się ciekawie: dobieranie do polityki ludzi zdolnych i aktywnych w terenie w praktyce przynosi rozliczne trudności. W parlamencie nagle znajdują się osoby, które uczą się polityki od zera, często nie potrafią ze sobą współpracować, bywa, że odkrywają, iż wcale nie chcą być zawodowymi politykami.

Ostatecznie cała francuska polityka kręci się dokoła wyrazistego lidera – Macrona, co w ustroju V Republiki akurat doskonale się mieściło, dopóki w Zgromadzeniu Narodowym była zdecydowana większość prezydencka. Wreszcie hasła emancypacji w ogóle gdzieś wyparowały, jak gdyby obietnica z nimi związana była zbyt ambitna. A może po prostu za bardzo była echem kariery samego Macrona, a za mało propozycją dla zwykłych zjadaczy bagietek nad Sekwaną?

W powyższych trzech punktach Finchelsteina zabrakło słów o paneuropejskich ambicjach prezydenta. Macron wyraźnie opowiadał się za silniejszą Unią Europejską, co kilka lat temu w sytuacji triumfów narodowego populizmu w Wielkiej Brytanii, USA czy Polsce brzmiało zaskakująco, pod prąd.

Przewodniczenie Paryża w kolejnym skoku w „więcej Europę” wzbudziło jednak opory w wielu stolicach. Co więcej sam tandem francusko-niemiecki zaczął szwankować. Pod rządami kanclerza Olafa Scholza Berlin nie ukrywa ambicji prowadzenia

bardziej niezależnej polityki, także międzynarodowej. Spory dotyczą zaś spraw tak zasadniczych na przyszłość, jak polityka militarna i zbrojenia czy polityka energetyczna. Trudno więc oprzeć się wrażeniu osamotnienia Macrona na międzynarodowej scenie, czego nie przesłonią żadne proeuropejskie przemowy, choćby i najpiękniejsze.

Od wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie polityka zagraniczna Paryża wobec Rosji nie budzi również entuzjazmu w naszej części Europy. Podobnie w Afryce wpływy francuskie w czasach Macrona wydają się kurczyć, a nie rosnać. Z pewnością wymagałoby to osobnej analizy, niemniej sam fakt, że relatywnie tanim kosztem Moskwa jest w stanie podcinać afrykańskie inicjatywy Paryża, mocno daje do myślenia.

4 Czy jednak cała V Republika się zawali? To zdecydowanie przedwczesne diagnozy. Warto przypomnieć, że po sukcesie Macrona w 2017 r. wielokrotnie pisano o jej żywotności. Filozof polityki Philippe Raynaud twierdził, że oto ustrój doskonale zaabsorbował zmiany politycznego życia. Może upadły wielkie partie centrolewicy i centroprawicy, ale zmiany na scenie wchłonęły stare instytucje polityczno-prawne.

Problemem pozostaje ich statyczność względem oczekiwań obywateli. Społeczeństwo się zmienia, oczekuje innych form partycypacji. Wbrew deklarowanej od lewa do prawa miłości do Charles'a de Gaulle'a od lat rozmontowuje się jego konstytucję – pomysł na rządy z silną władzą wykonawczą. Suweren ciągle domaga się zmian, czego wyrazem było choćby skrócenie kadencji prezydenta z siedmiu do pięciu lat. Generał raczej nie pochwaliłby tego rozwiązania.

I tu wracamy do twierdzenia, że część diagnoz Macrona z lat 2016–17 okazała się słuszna. Teraz pali się jego kukły, ale tu problemem jest raczej odklejenie się żywej osoby, Macrona, od oczekiwań ludu. Z człowiekiem tak wyjątkowego sukcesu zawodowego, tak odmiennej drogi życiowej, po prostu trudno się ludowi utożsamić.

Corinne Lhaïk, jedna z biografek Macrona, sugeruje, że En Marche to nie tyle nazwa prezydenckiej partii, ile osobowość prezydenta. Mobilność, rozwój, wreszcie gotowość do przekraczania granic zawodowych i rodzinnych. Dziennikarka podkreśla, że zbyt mało uwagi poświęcono w analizach politycznych życiu osobistemu Macrona. A kluczem do zrozumienia osobowości prezydenta jej zdaniem powinno być życie osobiste.

Jako 15-latek poznał 39-letnią nauczycielkę Brigitte Trogneux, z którą (podobno później) nawiązał romans. Rodzice próbowali przeszkodzić temu związkowi, jak wiadomo, bez powodzenia. Ostatecznie poślubił starszą o 24 lata kobietę, która ma trójkę dzieci z poprzedniego związku. Sam Macron nie został ojcem. Brigitte nie udziela się publicznie zbyt często, toteż na temat jej roli w polityce prezydenta krążą legendy.

Macron od początku był więc przygotowany na przekraczanie kolejnych granic: przeciwstawienie się rodzinie, wreszcie pójście za głosem serca na przekór wszystkim. Trudno mu zarzucić konformizm, aczkolwiek tu właśnie może znajduje się ów klucz do problemów z macronizmem. Być może zbyt odróżnia się od innych, suweren nie jest w stanie przejrzeć się w prezydencie. A to nie jest błahostka. W końcu w ustroju demokratycznym – jak przypominał inny Francuz Alexis de Tocqueville – upodobnianie się ludzi do siebie to jedno z żelaznych prawideł rozwoju.

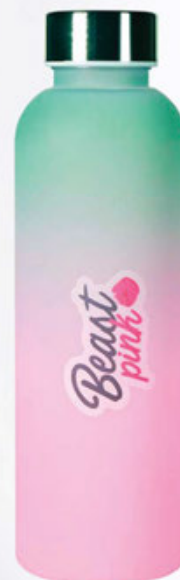
JAROSŁAW KUISZ

Autor jest redaktorem naczelnym „Kultury Liberalnej”, twórcą wideopodkastu „Prawo do niuanse”. Wkrótce ukaze się jego książka „The new politics of Poland”.



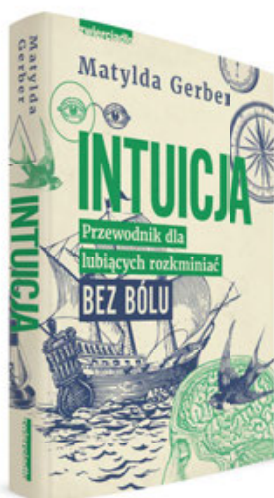
MAJOWE WYDANIE
JUŻ W SPRZEDAŻY

Wydanie
dostępne także
z butelką
na napoje
Thirst Trap
Gradient
GymBeam



Zwierciadło z butelką dostępne
w wybranych punktach sprzedaży.

WYDAWNICTWO ZWIERCIADŁO POLECA



sklep.zwierciadlo.pl @wydawnictwo_zwierciadlo

Pobrano ze strony zajefajna.com



Messimania

ARTUR DOMOSŁAWSKI Z BUENOS AIRES

Obiecałam, że jeśli wygrają mundial, wytatuuję sobie Messiego – opowiada znana feministka. I tak zrobiła. Messi na jej udzie wznosi ręce do ukochanej babci w niebie.

Ana Correa, lat 47: – *Musisz wiedzieć, że w Argentynie wkręceni w piłkę są nie tylko faceci, o nie!* Ana to jedna z założycielek ruchu obrony kobiet przed przemocą domową i autorka głośnej książki „Wszystkie jesteście Belen”, manifestu na rzecz wolnej aborcji. – *Kocham Messiego i całą tę drużynę. A po chwili dodaje: – Z wyjątkiem Rodriga de Paula.*

De Paul rozstał się z żoną, znaną modelką, z którą ma dwójkę dzieci, co ze szczegółami opisały brukowce. Piłkarz znalazł sobie nową narzeczoną niemal w momencie narodzin młodszego syna. Po triumfalnym powrocie mistrzowskiej drużyny do Buenos Aires – inaczej niż koledzy – De Paul nie pokazał się z dziećmi.

Messi, cudowny mąż i tata trzech chłopców, to inna bajka. To właśnie Ana zrobiła sobie na udzie tatuaż przedstawiający idola Argentyny – podkreślmy: idola mężczyzn i kobiet.

Mamy króla

Spojrzenie wstecz. – *Wszystko w Argentynie szło źle* – opowiada Eduardo de Miguel, 60-letni dziennikarz. – *Kryzys gospodarczy, polaryzacja polityczna, jak w Brazylii czy USA za Trumpa. Potem pandemia, a teraz jeszcze wojna w Europie. Jedyna dobra rzecz, jaka mogła nam się przytrafić, rozgrywała się na boiskach piłkarskich. Cała Argentyna zwróciła oczy w stronę Kataru [w listopadzie i grudniu odbywał się tam mundial].*

Eduardo oglądał mecze sam. Po pierwsze dlatego, że – ze względu na różnicę czasu – rozgrywano je w argentyńskie poranki, najpóźniej popołudnia. Po drugie, miał dość kłótni – cała Argentyna jest pokłócona – a mecze to zawsze słowne bijatyki o to, kto źle zagrał, co nie wyszło i dlaczego. Po pierwszym meczu, przegranym z Arabią Saudyjską, zanosilo się na to, że Argentyna znowu obejdzie się smakiem. Ma najlepszego piłkarza na świecie, ale kolektyw nie działa.

Stało się jednak inaczej. – *Że jest wielkim piłkarzem, żadna nowina* – opowiada dalej Eduardo. – *Ale w Katarze cała drużyna grała tak, żeby ten, któremu puchar należał się jak nikomu innemu na świecie, mógł go podnieść po zakończonym finale. Nawet Lula, wtedy prezydent elekt Brazylii, naszego największego rywala, kibicował Messiemu.*

Zanim jednak Messi wznosił puchar i Argentynę ogarnęła messimania, odbyła się istna wspinaczka pod stromą górę. Dlaczego, żeby wygrać, musimy tak cierpieć? Bo jesteśmy Argentyńczykami – mówią rodacy Messiego. Cierniowa droga piłkarzy do mistrzostwa była dla argentyńskiego społeczeństwa drogą wydobywania się z emocjonalnego dołka.

Gdy po wygranym półfinale z Chorwacją Eduardo zbierał się do wyjścia z domu, żona spytała: „A ty dokąd?”. Eduardo na to: „Do miasta – zobaczyć zadowolonych i uśmiechniętych ludzi”.



Po lewej: znaczący gest Messiego po strzeleniu gola Holandii uwieczniony na muralu przy ul. Bolívara w dzielnicy San Telmo. W każdym kiosku są teraz koszulki reprezentacji w różnych wariantach – nawet dla psów.

– *Serio: nie pamiętam* – opowiada kilka tygodni później – *kiedy ostatni raz widziałem zbiorową radość; kiedy poczułem radosną energię na ulicy. Tak się zrobiło po półfinale. A po finale? Bracie, to była czysta magia. Szał.*

Pewien antropolog porównał uliczną radość Argentyńczyków po zdobyciu mistrzostwa do karnawału. Nastąpiło zawieszenie społecznych statusów. Bogaci i biedni wyszli na ulice jako równi sobie. Jedni i drudzy ściskali się, skakali, śpiewali. Społeczeństwo będące ofiarą politycznej polaryzacji doznało wszechogarniającej radości. I ulgi. Coś NAM się w końcu udało. Nie piłkarzom, lecz NAM, Argentyńczykom.

„Chłooopaaki, znowu możemy marzyć!” – hymn argentyńskich kibiców na zawsze zostanie w popkulturze kraju. A jego słowa uwieczniają Messiego, któremu z nieba kibicuje boski Diego Maradona ze swoimi rodzicami – święta rodzina Argentyńczyków.

– *Niezwykle było to* – opowiada Pedro Brieger, dziennikarz i socjolog – *że na ulice wyszło 5, może 6 mln ludzi i niczego nie zdemolowano, nie wybito jednej szyby. Jechałem powoli przez tłum idących ulicą ludzi. W innych okolicznościach stukaliby w samochód, krzyczeli, gdzie się pcham. Tamtego dnia wszyscy uśmiechali się i pozdrawiali.*

Po raz pierwszy Argentyńczycy zaczęli też przyznawać, że Messi wygrał więcej niż Maradona. – *Obaj wygrali po jednym mundialu* – mówi Eduardo. – *Ale Messi wygrał siedem złotych piłek, cztery Ligi Mistrzów... Czy jest lepszy? Nie o tym mowa. Zbiorowe odczucie było takie: „Diego, możesz spokojnie iść do nieba; wreszcie odpocząć. Mamy króla”.* W Argentynie wybuchła prawdziwa messimania.

Mesjasz w więzieniu

W każdym kiosku są teraz koszulki reprezentacji w różnych wariantach; zdarza się, że nawet dla psów. Plakaty z drużyną, ale najczęściej z Messim solo. Mimo że od mundialu minęły ponad trzy miesiące, Messi wciąż jest na okładkach kolorowych magazynów – nie tylko tych o piłce nożnej.

Można też kupić zdjęcia Messiego rozmaitej wielkości – na biurko, na komodę, na ścianę; figurki Messiego, znaczki do przypięcia na ubranie, magnesy na lodówkę, ręczniki, torby na zakupy i sportowe, notatniki, zakładki do książek. Nawet ciężkie popiersie wykonane na wzór popiersi ojców założycieli kraju.

W alei 9 Lipca – najszerzej alei świata – na fasadach biurów świecą się gigantycznej wielkości reklamy z Messim i reprezentacją wznoszącą puchar świata. Te świetliste obrazy największe wrażenie robią po zmroku. Idziesz nocą pustą aleją – Messi zawsze z tobą.

Schodzisz do metra – przy wejściu graffiti przedstawiające Messiego. Wychodzisz z metra na murach słowne zabawy z nazwiskiem nowego króla: *Messias* (Mesjasz). Albo trochę nieprzetłumaczalne: *messiento* (*me siento* znaczy: czuję) na wielkim kontenerze na śmieci.

W witrynach księgarń książki o Messim. Jedna z nich nosi tytuł „Geniusz (nie)kompletny”, przy czym „nie” zostało w najnowszym wydaniu przekreślone. Przed mundialem 2022 r. osiągnął wszystko z wyjątkiem pucharu świata z Argentyną – brakowało ostatniego puzzla, by domknąć układankę. Teraz naprawdę jest kompletny.

Największe wrażenie robią jednak nowe murale rozsiane po mieście. Najbardziej spektakularne – w dzielnicy Palermo (Messi wznosi puchar świata) i w San Telmo (do tego muralu jeszcze wróć).

W Palermo na osobnym muralu uwieczniono bramkarza Emiliano Martinezę – w chwili, w której w doliczonych minutach dogrywki broni strzał francuskiego napastnika Kolo Muaniego. Futbolowe kultury rzadko czczą golkiperów, jednak interwencja Martinezę była jak zwycięski gol przeliczony na złoto. Osobnego muralu doczekał się też Ángel dí Maria, który zaliczył genialny turniej i strzelił gola w finale.

Gazeta „Clarín” opublikowała artykuł o Messi-muralu, który namalowali więźniowie 9. oddziału zakładu karnego w La Placie. Mural znajduje się na więziennym patio, ma rozmiar 50 m kw. – 10 m długości i 5 wysokości. Władze więzienne przychyliły się do pomysłu, wszak – jak powiedział gazecie więzienny urzędnik – sztuka może być potężnym narzędziem przemiany dla tych, którzy kiedyś opuszczą więzienie. Marzeniem osadzonych jest to, by pewnego dnia Messi zobaczył mural.

Słodki chuligan

Nad wejściem do baru futbolowego Pichin, w centrum miasta, od zawsze był mural z wizerunkiem Maradony. Dopiero po mundialu w Katarze domalowano wizerunek Messiego.

– *Pamiętasz tę piękną scenę?* – pyta Eduardo i dalej mówi swoje. – *Po zakończeniu finału uśmiechnięty Messi idzie przez boisko i macha do żony Antonelli. Ona wykonuje rękami gest, który interpretowano tak: „Już po wszystkim – koniec twojej drogi krzyżowej w Argentynie”.* Nie tyle gest radości, ile ulgi.

Bo choć Messi jest od ponad dekady uważany za najlepszego piłkarza na świecie, przez niektórych w całej historii futbolu, messimania w ojczyźnie wybuchła dopiero teraz.

„Tato, dlaczego w Argentynie tak cię nienawidzą?” – pytał Messiego jeden z synów. Niechęć, wręcz wrogość części rodaków była dla niego przez lata prawdziwą traumą. Wyrzucano mu, że ma w nosie narodową drużynę. Że nie śpiewa hymnu, bo ma dla Argentyny zimne serce. Wmawiano mu, że nigdy nie będzie ►

► legendą jak Maradona – i chyba w to uwierzył, bo w 2019 r. zrezygnował z gry w reprezentacji.

Potem dał się przekonać do zmiany decyzji. Zaczął inaczej zachowywać się na boisku – tak jak Maradona i inni koledzy kłócił się z sędziami. W Argentynie zaczęto patrzeć na niego przychylniej: awanturuje się, znaczy mu zależy. I wreszcie, w 2021 r., wygrał z reprezentacją turniej Copa America; w dodatku na słynnym stadionie Maracana po finale z Brazylią. Zaczął uwalniać się od ciężaru, jakim był dla niego mit Maradony. Komentowano, że dopiero śmierć wielkiego Diego w 2020 r. zdjęła z barków Messiego przyrównania symbolicznego tatusiowi.

Teraz wszędzie w Buenos Aires można natrafić na nieco grubiańską odzywkę Messiego do holenderskiego piłkarza, która stała się wiralem i osobliwym aforyzmem: „Co się gapisz, jełopie? Spadaj!” (*Que mira' bobo? Anda pa' alla!*). Przy restauracji na placu San Telmo na „zapraszającej” tablicy napisano: „Co się gapisz, jełopie? Zamawiasz coś – a jeśli nie, to spadaj!”. „Aforyzm” króla występuje na muralach, gadżetach, a nawet na okładkach szkolnych zeszytów.

Messi w wydaniu lekko chuligańskim podoba się w Argentynie bardziej niż Messi – grzeczny chłopiec, którego kocha świat. Żeby Argentyna go pokochała, Messi musiał się „zargentynizować”.

Jeszcze jeden przykład. Po strzeleniu gola Holandii Messi podbiegł do ławki trenera rywali i przyparł sobie dłońmi wielkie uszy, jednak w inny sposób, niż robią to zazwyczaj piłkarze. To nie był gest znaczący „no, słucham waszych braw” – zwłaszcza że zwrócony nie do kibiców, lecz do przeciwnika. Messi zagrał kodem kulturowym zrozumiałym tylko dla Argentyńczyków. Kilka pokoleń rodaków zobaczyło w nim uszy Myszkki Gigio z dobranocek, przypomniało sobie identyczny gest innego piłkarza – dawnego idola Messiego – Juana Riquelme, który w ten sam sposób dał wyraz irytacji na prezesa swojego klubu. W jednym geście, niczym inteligentny trybun, Messi połączył hołd dla Riquelme i prztyczek w nos dla van Gaala – zarówno w imieniu własnym (za przedmeczowe złośliwości trenera Holendrów), jak i w imieniu dawnego idola (Riquelme i van Gaal pozostawali w konflikcie).

Ten gest – bliższy chuliganerki niż elegancji – został uwieczniony na jednym z największych murali, przy ulicy Bolívara w dzielnicy San Telmo.

Piłka sobie, polityka sobie

Gdy drużyna Argentyny przyjechała do kraju po zwycięstwie, prezydent Alberto Fernández zaferował pałac Casa Rosada jako miejsce fiesty, a sam usunął się w cień, by uniknąć zarzutów o dyskontowanie sukcesu piłkarzy przez jedną partię. Messi i ekipa nie pojechali jednak świętować do siedziby prezydenta. Jedni odebrali to jako dystans wobec rządzących peronistów, inni – jako niechęć do upartyjnienia chwili, która powinna ludzi jednoczyć.

Żaden mundial nie wpłynął jednak na politykę w Argentynie – uważa Martin Kohan, pisarz, który argentyńskie zmagania na mundialach wplótł nawet do tytułu powieści „Dwa razy czerwiec”. Kohan uważa, że owiany złą famą mundial w 1978 r. bynajmniej nie przysłużył się wojskowej juncie. Podobnie jej upadek miał niewiele wspólnego z porażką Argentyny na mundialu w 1982 r. (choć oba czerwcowe mundiale ilustrowały – odpowiednio – triumf i kres dyktatury). Z kolei w 1986 r., gdy Argentyna zdobyła puchar świata, kraj znajdował się na krawędzi gospodarczego upadku – zwycięstwo nie wpłynęło nań w żaden sposób.

A jednak ze zwycięstwem w Katarze wiązano nadzieje także polityczne. Eduardo wskazuje wypowiedź Maximo Kirchnera,

szefa młodzieżówki peronistów (syna zmarłego prezydenta i byłejzydentki). Piłkarze – mówił młody Kirchner – pokazali nam, że osobiste dobro jest ważniejsze od interesu partykularnego czy osobistego. Że wartość tkwi w kolektywie – tak w drużynie, jak i w społeczeństwie.

Co by się stało – pytał dalej Kirchner – gdybyśmy wszyscy, tzn. liberałowie i peroniści, prawica i lewica, zwrócili się wspólnie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i powiedzieli: pandemia i wojna zmieniły wszystko, nie możemy spłacać długu jak wcześniej, renegotjujemy warunki? Dlaczego nie pójdziemy w ślady zwycięskiej drużyny, która zjednoczyła się, by solidarnie zrobić coś dla wszystkich?

– *Reprezentacja, owszem, dała przykład, ale od razu wyrzucono go do kosza* – komentuje Eduardo. – *W naszej polityce boisko jest podzielone na tych, którzy strzelają gole, i tych, którzy bronią, ale jednej solidarnej drużyny nie ma.*

Messi dobrych spraw

Wszystko to nie szkodzi messimanii. Przy okazji upada kłopotliwy (mimo wszystko) wizerunek Messiego, na wpół autystycznego sportowca, którego wszyscy wielbią za piłkarskie popisy, ale którego poza piłką nic nie obchodzi. Messi od lat angażuje się w dobre sprawy – najpewniej zawodził jego piar. A może nie chciał rozgłosu?

Przed mundialem w 2014 r. Messi i dwóch kolegów z drużyny (Javier Mascherano i Ezequiel Lavezzi) wzięli udział w kampanii poszukiwania dzieci urodzonych w niewoli za rządów junty wojskowej, a następnie ukradzionych i nielegalnie adoptowanych. Kampanię tę od ponad czterech dekad prowadzą Babcie z Placu Majowego. W muzeum pamięci na terenie dawnej szkoły, gdzie torturowano i „zniknięto” 5 tys. porwanych oponentów dyktatury, znajdują się wielkie fotografie z tej kampanii. Na jednej z nich uśmiechnięty Messi stoi między dwiema Babciami i razem trzymają transparent z apelem: „Sprawdź swoją tożsamość”.

Apel ten był zachętą dla osób mających wątpliwości, czy są biologicznymi dziećmi swoich rodziców, by porównały własne DNA z DNA w banku danych zgromadzonym przez Babcie. Odnaleziono w ten sposób 132 z ponad 400 ukradzionych w czasach dyktatury niemowląt – obecnie są to osoby czterdziestokilkuletnie. Do fotografii z Messim i Babciami przyklejono notatkę: „Poszukujemy cię od dziesięciu mundial”.

– *To jakieś nieporozumienie* – mówi Ana Correa, gdy pytam, co sądzi o pokutującym na świecie przeświadczeniu, że Messi nie angażuje się w nic ważnego poza boiskiem. – *Pokochałam go, gdy w mediach społecznościowych zamieścił apel popierający manifestację naszego ruchu Ni Una Menos (Ani jednej mniej).*

To ruch – Ana jest współzałożycielką – przeciw przemocy domowej, przeciw kobietobójstwom, przeciw kulturze macyzmu. – *Messi zaapelował, by ludzie poszli na demonstrację i że udział w niej jest ważny. On bierze udział w różnych akcjach społecznych, przekazuje pieniądze...*

Ana uważa, że messimania – i futbol w ogóle – mogą nieść inne przekazy niż „ostra męska gra”, brutalna rywalizacja, macyzmu. Dowiedli tego jej zdaniem właśnie Messi i drużyna Argentyny – ta konkretna, żadna inna wcześniej. Najlepszym przykładem i ostatecznym dowodem były łzy radości po wygranym finale. W świecie pełnym nienawistnych słów – jak mówi Ana – widok płaczących z radości mężczyzn, silnych, a zarazem kruchych, był czymś absolutnie pięknym. Wyzwał i niósł nadzieję.

ARTUR DOMOSŁAWSKI





Fundacja Rozwoju Kardiologii
im. prof. Zbigniewa Religi

Ratujemy chorych na serce

Wesprzyj nasze działania

Prosimy o 1,5% podatku

KRS 0000069136 www.frk.pl



**Fundacja
Panoptykon**

Internetowe
korporacje
Zmieniamy je
dla ciebie

Dołącz swoje
1,5% podatku

KRS: 0000327613



**Samotność
zareagowała**



Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci

www.hospicjum.waw.pl



PRZEKAŻ **1,5%** PODATKU

KRS: 00000
97123



Małopolskie Hospicjum
dla Dzieci

**BO ŻYCIE
JEST CZASEM
ZBYT KRÓTKIE...**

www.mhd.org.pl

podaruj

1,5%

KRS 0000249071



Los snajpera

Ołeksandr Macijewski zaciągnął się papierosem, powiedział: „Chwała Ukrainie”, i zginął. A jego matce to nagranie zapętała się między łzami.

MARIUSZ KOWALCZYK **Z NIŻYNA**



ILUSTRACJA ANDRII PETRENKO/TWITTER

W lesie, w wykopanym dole, stoi ukraiński żołnierz. Kurtkę ma rozpiętą. Na głowie wełniana czapka, założona w nie regulaminowy sposób, bo wywinięta i na bakier. Zapewne przed chwilą przeszukali mu kieszenie. „Zdejmuj go” – sły-chać komendę po rosyjsku, która w slangu wojskowym oznacza: zabij. Ukraińiec z pogardą patrzy na oprawców. Nonszalancko zaciąga się papierosem i mówi

po ukraińsku: „Chwała Ukrainie”. „A ty suko!” – znów sły-chać rosyjski. Ciało żołnierza natychmiast przeszywają serie z broni automatycznej. Kule trafiają m.in. w głowę, z której spada czapka. Żołnierz upada. „Giń, suko”.

Praskowia Demczuk, mama Ołeksandra Macijewskiego, długo miała nadzieję, że syn żyje, że utraciła z nim kontakt, bo dostał się do niewoli albo leży gdzieś w szpitalu. Była sama w domu wieczorem, gdy w jednym z komunikatorów

internetowych wyskoczyło jej nagranie śmierci jej jedyne- go dziecka. Obejrzała, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, bo gdy 12-sekundowy film się kończył, komunikator wyświetlał go od początku.

– *Oglądam to w kółko i myślę: Boże mój, to Sasza, mój Sasza. Taki właśnie był. Często powtarzał, że musimy być dumni, bo Ukraińcy to naród kozacki* – mówi mama Ołeksandra, gdy odwiedzam ją w domu w Niżynie, gdzie 42-letni Sasza mieszkał z nią po swoim rozwodzie. – *I ta czapka, założona tylko na czubek głowy. On od dziecka w ten sposób nosił czapki, bo mówił, że jeżeli naciąga czapkę na uszy, to słabo słyszy.*

Snajperów do niewoli nie biorą

Nagranie, na którym widać śmierć Macijewskiego, wiele razy oglądali też jego koledzy z brygady Obrony Terytorialnej, gdzie Sasza był snajperem. – *30 grudnia walczyliśmy na wschód od Sołedaru na Donbasie* – opowiada sierżant sztabowy Andrij Homoljako, z którym spotykam się w Czernihowie, gdzie odpoczywa od walk na rotacji. – *Ołeksandr i jeszcze kilku innych żołnierzy byli na wysuniętych pozycjach. Strzelali do wagnerowców jak do kaczek.*

Zdaniem Homoljaki wagnerowcy muszą być otumaniani jakimisź środkami. – *Idą po ciałach, a nawet głowach swoich kolegów, którzy przed chwilą zginęli, a my ich od razu likwidujemy. Oni natomiast ponawiają takie samobójcze ataki. Grupa wagnerowców obeszła Saszę i jego kolegów, zaatakowali z flanki granatami. – Jeden z naszych tylko krzyknął, że mu urwało nogi. Próbowaliśmy się do nich przebijać, ale nie daliśmy rady.*

Niespełna 50-letni Homoljako jest przekonany, że jego kolega, którego znalazł z rodzinnego Niżyna, zginął, bo był snajperem. – *Ruscy nie biorą ich do niewoli.*

Ołeksandr sam chciał zostać snajperem, zgłosił się na szkolenie. – *On miał do tego smykałkę. Sasza, jak na tym filmie z egzekucji, zawsze był opanowany,*

nawet w trudnych sytuacjach – wyjaśnia sierżant. – *Ale wie pan, co mną najbardziej wstrząsnęło na tym filmie? Czysta nienawiść Ruskich do Ukrainy. Kiedy tylko Sasza powiedział „Chwała Ukrainie”, nie wytrzymali i od razu zaczęli do niego strzelać. Nie dali mu nawet dopalić ostatniego papierosa.*

Zamordowanie Ołeksandra Macijewskiego przez Rosjan ostro potępiły nie tylko władze Ukrainy, ale też Mołdawii. Macijewski urodził się w Kiszyniowie i mieszkał tam przez 28 lat. Jego mama, która pochodzi z okolic Niżyna, wyjechała do Mołdawii za pracą jeszcze w czasach Związku Radzieckiego. Potem się rozwiodła i ponownie wyszła za mąż. Dlatego teraz ma inne nazwisko niż syn.

– *Sasza zawsze czuł się Ukraincem. Co roku przyjeżdżaliśmy na wakacje do Ukrainy. Najpierw jechaliśmy do Koblewa nad Morzem Czarnym, a potem przywoziłam go do dziadka, na naszą wieś – opowiada matka żołnierza. – Sasza dobrze się tu czuł. Mój tata był wojskowym, opowiadał Saszy o wojsku i o historii Ukrainy, o kozakach. Słuchał tych opowieści, jak zaczarowany. Gdy pytam o polsko brzmiące nazwisko „Macijewski”, Praskowia Demczuk odpowiada: – Rodzina mojego byłego męża ma polskie korzenie. Opowiadali nawet o jakichś krewnych w Polsce, ale ja ich nigdy nie widziałam.*

W latach 90. Mołdawia gospodarczo radziła sobie jeszcze gorzej niż Ukraina. Na przełomie wieków była już najbiedniejszym krajem w Europie. Wyludniała się, bo Mołdawianie zaczęli wyjeżdżać za granicę. Ołeksandr Macijewski kształcił się wówczas na elektryka. – *Chciałam, żeby Sasza dalej się uczył, ale nie mieliśmy pieniędzy. Sasza zakasał więc rękawy i poszedł do pracy – opowiada jego mama.*

Gdy film, na którym widać śmierć Ołeksandra, trafił do internetu, do Praskowii Demczuk dzwonił znajomi jej syna z Mołdawii, których życie rzuciło w różne strony świata. Nie odezwał się tylko Wania, największy przyjaciel Ołeksandra, z którym razem dorastali w Kiszyniowie. – *Wania był jak mój drugi syn. Nie zadzwonił chyba dlatego, bo w połowie jest Rosjaninem. Dla niego to wszystko musi być zbyt bolesne.*

Jeden z nas przeżyje

W końcu jednak zdecydowali, że trzeba wyjeżdżać z Mołdawii. Wrócili do Ukrainy i zamieszkali w oddalonym o 150 km od Kijowa 70-tysięcznym Niżynie. A w zasadzie to na przedmieściach tej miejscowości, gdzie miejska zabudowa zaczyna przypominać wiejską.

Piętrowy, nieotynkowany dom z białej cegły, w środku skromnie. Z Praskowią Demczuk siadamy przy niewielkim stole. Częstoje mnie herbatą i cukierkami – dostała ich cały kosz od oficerów. – *Tak tu razem żyliśmy przez 15 lat. Ale Sasza ostatnio rzadziej bywał w domu, bo pracował w Kijowie, w jednej z firm energetycznych – mówi Praskowia.*

Ołeksandr miał blisko do przystanku autobusowego, góra 150 metrów. Czekam tam na bus do centrum Niżyna. – *Sasza był u nas lubiany. Jak komuś zepsuło się jakieś urządzenie elektryczne lub miał problem z prądem, wystarczyło poprosić Saszę, on przychodził i pomagał naprawić – opowiada na przystanku Ksenia, około 30-letnia sąsiadka Ołeksandra. – Rosjanie mówią, że dzięki tej wojnie czyszczą więzienia z najgorszego elementu. Wysyłają na śmierć kryminalistów i cieszą się, że potem nie muszą ich karmić. A nam wojna zabiera najlepszych.*

Była żona Ołeksandra, Julia, wyjechała z 19-letnim synem z kraju zaraz na początku rosyjskiej inwazji. – *Ale utrzymywali ze sobą kontakt, nie było nienawiści między nimi – mówi mama Ołeksandra. – Sasza zgodził się, żeby Julia zabrała Miszkę, mojego wnuka, do Niemiec. Mówił: „Na wojnie ludzie giną, a tak to przynajmniej jeden z nas przeżyje”.*

Ołeksandr zgłosił się do Obrony Terytorialnej 24 lutego 2022 r., w pierwszym dniu inwazji. Nie wzięli go jednak od razu – wtedy w całej Ukrainie do komend uzupełnień ustawiały się długie kolejki. Dla wszystkich nie starczało broni. Niektórzy próbowali nawet dawać łapówki, żeby ich wzięli do wojska, mimo że wcześniej za łapówki wymigiwali się do służby, gdy była ona jeszcze obowiązkowa.

Rosjanie podeszli pod Niżyn i zaczęli okrążać miasto. Sasza pomagał wojsku, jak mógł: zgłaszał się na ochotnika na warty na punktach kontrolnych, przygotowywał butelki z benzyną i wciąż chodził do komendy uzupełnień, żeby go wcielili do armii. Udało się w marcu zeszłego roku, Macijewski już jako żołnierz brał udział w obronie Niżyna. – *Dzwonił i mówił: „Mamo, nie martw się, my ich nie puścimy do miasta” – wspomina Praskowia Demczuk. Gdy Rosjanie wycofali się z północy Ukrainy, oddział Saszy wypłynął rosyjskich maruderów.*

Od sierpnia najcięższe walki toczyły się na wschodzie kraju, w okolicach Bachmutu. – *Przerzucili nas tam 9 grudnia – relacjonuje sierżant Homoljako, który jest doktorem nauk historycznych i przed 2014 r. pracował jako nauczyciel. – Dużo czasu przegadaliśmy o historii. Miał sporą*

wiedzę, tylko nieuporządkowaną. Podrzuciłam mu autorów i tytuły książek, które powinien przeczytać. Ale na froncie przydawał się też wyuczony fach Saszy. – Tam gdzie mieszkaliśmy, montował nam instalację elektryczną. Dzięki niemu mieliśmy prąd.

Syn nie lubił łez

Na froncie obowiązuje zasada, że to żołnierze dzwonią do bliskich i znajomych, a nie odwrotnie. – *Jak dzwonił, to mówił tylko, że u niego wszystko dobrze, zastaniał się tajemnicą. Nie chciał, żebym się martwiła, nie lubił moich łez – mówi Praskowia Demczuk, która z czasem miała coraz gorsze przeczucia. Sasza długo już nie dzwonił, jego telefon nie odpowiadał. Gdy w cerkwi w Niżynie był pogrzeb innego żołnierza, rozpytywała o swojego syna.*

W komendzie uzupełnień w Niżynie wojskowi też nic nie wiedzieli. Pracujący tam prawnik powiedział jej tylko, że wkrótce syn zostanie wpisany na listę zaginionych bez wieści. Ale też pocieszał, że to się zdarza, a potem zaginionych żołnierzy odnajduje się w szpitalach lub w rękach wroga. Praskowia uruchomiła nawet znajomych z Mołdawii, żeby pytali w ambasadzie rosyjskiej w Kiszyniowie, czy np. Ołeksandr nie trafił do niewoli. Bez skutku.

W lutym dostała SMS od kolegi syna, Anatolija, który służył razem z Saszą: „Jestem w zasięgu”. To był znak, żeby zadzwonić do niego pomimo wojskowych regulaminów.

– Nie wiem, jak to pani przekazać... – zaczął rozmowę Anatolij.

– Co z moim synem, nie żyje? – zapytała wprost mama Ołeksandra.

– Tak.

Od tej pory Praskowia chciała już tylko, żeby zwrócono jej ciało syna, żeby mogła przychodzić na jego grób. Rosjanie zgodzili się na wymianę zwłok. – *Był czwartek, 9 lutego. Zadzwonili do mnie z policji, że bym w poniedziałek przyjechała do Kijowa na rozpoznanie ciała. Serce zaczęło mi bić tak mocno, że o mało nie wyskoczyło. Powiedziałam im: „Jaki poniedziałek, do poniedziałku to ja mogę nie dożyć. Jutro będę u was” – opowiada Praskowia.*

Przed wejściem do kostnicy mama Ołeksandra wzięła tabletki na uspokojenie. Zwłoki przywieźli na wózek, odkryli je. – *Głowy prawie nie było, rany od kul na piersiach. Pytają mnie, czy to mój syn. Powiedziałam, żeby przetarli nogę koło stopy, to zobaczą znamię – opowiada Praskowia. I znów w jej oczach pojawiają się łzy, których jej syn tak nie lubił. ■*

Grüss Tag?

Niemieckie tradycyjne pozdrowienie podzieliło polityków. Mieszkańcy Austrii i Bawarii się burzą: a co im do tego, jak kto się wita.

MAREK ORZECHOWSKI Z MONACHIUM

Wraz ze zmianą społeczną zmienia się też język. Doświadczył tego niedawno austriacki parlament, który pokłócił się w sprawie zakorzenionego w religijnej tradycji pozdrowienia. Na jego wokandzie pojawiła się bowiem kwestia – czy wolno w kosmopolitycznym Wiedniu pozdrawiać się formułą „Grüss Gott” zamiast neutralnego światopoglądowo „Guten Tag” albo po prostu „Servus”. Debatę wywołała kolosalne emocje i rozległe polemiki.

Izba zajmowała się właściwie tematem korupcji w szeregach konserwatywnej Partii Ludowej ÖVP. I właśnie wtedy jeden z posłów tego ugrupowania, Bernhard Ebner, witając z mównicy kolegów, użył pozdrowienia „Grüss Gott”. Natychmiast w reakcji na te słowa szef frakcji socjaldemokratycznej SPÖ Kai Jan Krainer w mało elegancki sposób przywołał go do porządku: „W Wiedniu nie używa się »Grüss Gott« tylko »Guten Tag«”.

Mogło się na tej uwadze skończyć, ale w parlamencie i mediach rozpętała się soczysta, emocjonalna debata, która zatrzęsa austriackim przywiązaniem do tradycji. Szybko okazało się jednak, że pytani na tę okoliczność mieszkańcy Wiednia są w tej kwestii bardziej rozsądni od polityków – w ich opinii każdy powinien innego pozdrawiać w sposób, jaki uzna za stosowny, do czego jest przyzwyczajony i czego nauczył się w domu. Polityce nic do tego.

No cóż, nie do końca. Spór dotyczy wszakże sprawy w przenośni i wprost fundamentalnej. To przecież sytuacja znana tysiącom turystów, którzy odwiedzają alpejskie regiony. W bawarskiej wiejskiej gospodzie, na wędrownym szlaku w Tyrolu, w piekarni, kiosku z gazetami w Monachium czy na narciarskim stoku w Kitzbühel przygodnie spotkani miejscowi pozdrawiają nas „Grüss Gott”, a my

nie bardzo wiemy, jak zareagować, więc intuicyjnie odpowiadamy tym samym.

I to jest w sumie poprawna odpowiedź. Nie chodzi bowiem o zwrot zarezerwowany wyłącznie dla miejscowych. Przeciwnie, wśród urzekających krajobrazów dolin, gór, rwących potoków „Grüss Gott” jest okazaniem każdej spotkanej osobie gościnności i respektu. Jednocześnie, odpowiadając tym samym, można wystawić sobie świadectwo znajomości miejscowego obyczaju, co zawsze pomaga w przelotnych nawet kontaktach z tubylcami.

Czy jednak oni sami „pozdrawiają Boga” na nasz widok, rzeczywiście przywołują go w myślach i okazują mu szacunek? Czy w „Grüss Gott” skrywa się ich wiara w Boga? Tego oczywiście nie wiadomo. Zapytani odpowiadają, że to raczej nawyk z lat dzieciństwa, wyniesione z katolickiego domu przyzwyczajenie, zwykły refleks tradycji. I tylko dla nielicznych jest to deklaracja wiary.

Dla obcych uszu, ale i w nie mniejszym stopniu dla niemieckich z dalekiej północnej, protestanckiej części kraju, „Grüss Gott” brzmi nieco dziwnie. Jednak dla mieszkańców Bawarii, Karyntii, Tyrolu czy w niemieckiej Szwajcarii – nawet tych niewierzących – to pozdrowienie jest elementem codzienności, łącznikiem z przeszłością i tradycją. I ważnym, choć zanikającym akcentem regionalnej tożsamości, symbolem odrębności. Niekoniecznie religijnej, a kulturowej i obyczajowej.

W przeciwieństwie do wielu innych elementów tradycji niemieckiej, które swoje źródła mają w prehistorii, są efektem odległych wpływów rzymskich, dziedzictwem twardych Germanów czy wreszcie wyniosłej francuskiej dominacji w obyczaju i kulturze, „Grüss Gott” jest na wskroś niemieckiego pochodzenia.

Również za sprawą druku. Odkąd w niemieckojęzycznych krajach pojawiły się



drukarnie, na herbach drukarzy, zecerów, litografów obecne jest odwołanie do Boga, który ma jakoby roztaczać nad nimi swój parasol ochronny. „Gott grüss die Kunst” (Bóg pozdrawia sztukę) pojawiło się po raz pierwszy na portyku jednej z niemieckich drukarni w 1740 r.

Popularność samego „Grüss Gott”, mimo konotacji z odległym średniowieczem, jest zupełnie świeżej daty, bo sięga XIX w. To właśnie na fali ówczesnej pobożności pozdrowienie to rozprószyło się i wpięło do codziennego obyczaju nie tylko w katolickich regionach, także w landach w większości protestanckich, jak Wirtembergia, Frankonia czy nawet w kalwińskiej Szwajcarii.

Wyniki najnowszych badań historycznych przekonują, że – w przeciwieństwie do dotychczasowego oglądu – XIX w. nie był przesiąknięty wyłącznie postępującą sekularyzacją. Akurat w Niemczech ten okres, między zdominowanym przez oświecenie XVIII w. a wyróżniającym się odejściem od Kościoła i dechrystianizacją wiekiem XX, był epoką, w której odnowa religijnej kultury była na wskroś



Makotka z wędrowcem, który pozdrawia góry: „Bóg z wami moje Rudawy!”

dynamiczna i miała miejsce w obu niemieckich chrześcijańskich kościołach.

Odpierając ataki modernizmu, Kościół ogłosił wówczas dogmat o niepokalanym poczęciu Maryi (1854 r.), listę 80 fałszywych z punktu widzenia kościelnej doktryny tez („Syllabus errorum”, 1864 r.), przyjął dogmat o nieomyślności papieża w kwestiach wiary (1870 r.). To wtedy także, w 1858 r. we francuskim Lourdes, objawiła się według wiernych Maryja, potwierdzając jakby ogłoszony cztery lata wcześniej dogmat.

Wszystkie te okoliczności wprawdzie nie powstrzymały modernizacyjnych procesów, ale nakreśliły ważną do dziś mapę niemieckiej pobożności. Sekularyzacja i jej skutki zdominowały obyczaj i religijność w dużych miastach i przemysłowych okręgach – i tak już zostało. Natomiast na katolickiej prowincji niemieckiej oraz na południu kraju Kościół zapewnił sobie na całe dekady strategiczną pozycję. I tak w dużej mierze jest do dziś.

To wówczas pozdrowienie „Grüss Gott” wyrosło do obligatoryjnej, wręcz naturalnej manifestacji religijnej przynależności w Bawarii, Austrii, Szwajcarii – wciąż ponad połowa mieszkańców tych krain regularnie

używa tego pozdrowienia (w całych Niemczech – ok. 30 proc.).

Samo słowo *grüßen*, pozdrawiać, związane jest w niemieckiej tradycji z wypowiedzeniem błogosławieństwa, połączone z biegiem lat w religijnej pobożności ze Stwórcą, stworzyło formułę bezpośredniej z nim zażyłości i bliskości, która zapewnia wyznawcy wszelką pomysłność. Odwołuje się bowiem wprost do błogosławieństwa wyrażonego w Księdze Liczb: „I mówił znowu Pan do Mojżesza tymi słowami: »Powiedz Aaronowi i jego synom: tak oto macie błogosławić Izraelitom. Powiecie im: Niech cię Pan błogosławi i strzeże«” (6.22-24).

Co ciekawe, chrześcijańskie wezwanie do Boga wyrażone w „Grüss Gott” było według początkowych opinii niemieckich Żydów wyrażnym bluźnierstwem, zwywało wszak imię Boga nadaremno. Dlatego wypowiedziane w ich obecności mogło wywołać w nich religijny sprzeciw.

Dodatkowo, w przypadku „Grüss Gott” obecna substancja i znaczenie tej formuły odbiegają od pierwotnej. Wręcz zostały wypaczone, przez co uzyskała ona

odwrotne do zamierzonego znaczenie. W rzeczywistości bowiem „Grüss Gott” jest tylko skrótem od wezwania „Grüsse dich Gott”, które wyraża, że to Bóg cię pozdrawia, nie jesteś sam – więc to nie ty pozdrawiasz Boga, a on ciebie.

Językoznawcy tę zmianę tłumaczą zwykłym językowym niechlujstwem i wygodnictwem, a także obyczajowym szlifowaniem codziennego języka: gdzieś tam po drodze wypadło jedno ważne słowo, nikt tego w porę nie zauważył, pojawił się więc skrót i w konsekwencji diametralnie zmienił znaczenie pierwotnej wypowiedzi. Skoro tak, pobożni wierni, od lat już nie wiedząc o tym, nie przekazują sobie wcale, jak sądzą, pozdrowienia od Boga, ale przeciwnie – wynoszą się uzurpatorsko nad niego i pozdrawiają w nieuprawniony sposób samego Stwórcę.

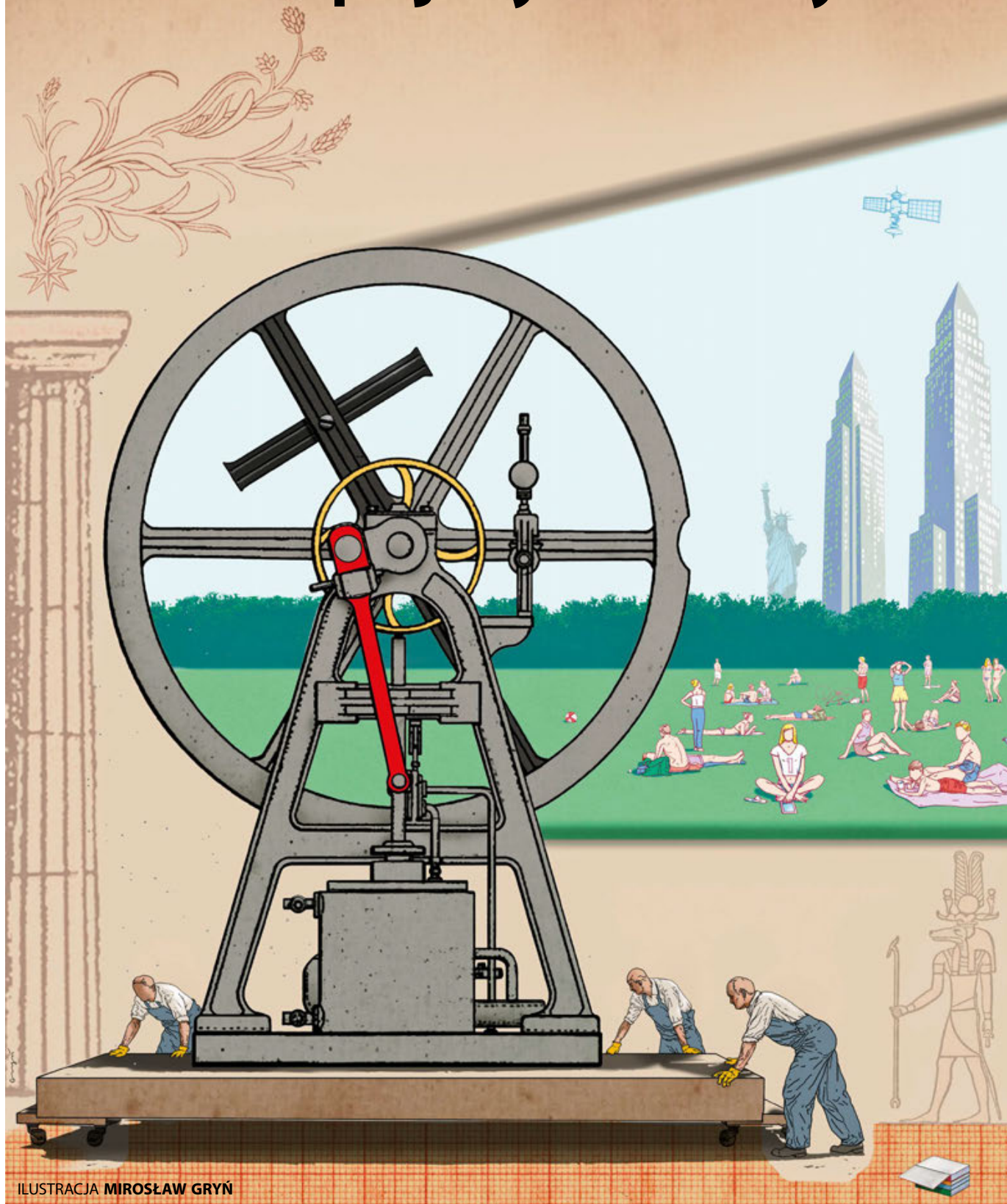
To zresztą niejedyny przypadek zmiany znaczenia w religijnej kulturze języka niemieckiego. Podobnie rzecz ma się bowiem z austriackim powiedzeniem „Pfiat Gott”, czyli – chroń Boga, które także jest skrzywioną, skróconą wersją „Pfiat di Gott”, co oznacza „Niech Bóg cię chroni”. Bo przecież to ja potrzebuję asysty Boga, nie on mojej. W pierwotnej wersji pozdrowienie wyraża zatem pokorę, w zmodernizowanej, skróconej – naszą, człowieka, nad Bogiem wyższość. Może pod tym językowym lenistwem drzemie więc znak naszych czasów?

Przez całe dekady konserwatywni wierni, przy każdej okazji manifestujący swoją pobożność, nieświadomie stawiali się więc nad Stwórcą, podczas gdy nastawieni lewicowo, zsekularyzowani, nie popełniali tego grzechu pychy, ponieważ celowo używają innej formuły pozdrowienia, znacznie bliższej ludzi, jak proste „Guten Tag”. Jak widać, obyczajowe różnice językowe wyrażane przy okazji religijnego pozdrowienia, mają swoje korzenie również w politycznych przekonaniach.

I w regionalnych niesnaskach. Jak wiadomo Bawarczycy lubią każdego, z wyjątkiem Austriaków, a szczególnie Prusaków, bowiem to wśród tych ostatnich nie brakuje sarkazmu i kpin z bawarskiego „Grüss Gott”. Kiedy mieszkańcy północnych Niemiec – które są oddalone mentalnie, obyczajowo, kulturowo i religijnie od katolickiego południa (od Bawarii) – słyszą „Grüss Gott”, odpowiadają ironicznie: „Jeśli go spotkasz”, „Jeśli go zobaczysz”. Albo: „Wcale się do niego nie spieszę, żeby go pozdrowić, mam jeszcze czas”. Lub: „Nie wybieram się aż tak wysoko”.

Stąd może wielu Niemców z północy nadal jest przekonanych, że Bóg musi być Bawarczykiem. ■

Europejscy dziwacy



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Ludzie Zachodu są wyjątkowi – zdolni, kreatywni, bo przez setki lat mieli obsesję na punkcie seksu i prokreacji. A przyczyniła się do tego działalność Kościołów – twierdzi w najnowszej książce antropolog Joseph Henrich.

MARCIN RYSZKIEWICZ

Kształt naszych czaszek, budowa zębów, klatki piersiowej, miednicy, jelit, kończyn górnych i dolnych, te wszystkie właściwe dla człowieka cechy zostały dosłownie „od stóp do głów” prze-modelowane przez nasze kulturowe innowacje, do których biologia z czasem się dostosowała. Joseph Henrich jest antropologiem ewolucyjnym z Uniwersytetu Harvarda i współ-autorem nowego spojrzenia na rolę kultury w przemianie „nie-wyróżniającego się zbytnio prymata sprzed kilku milionów lat w gatunek, który zapanował niepodzielnie na naszej planecie”. O tym zapętleniu biologii i kultury pisał przed paru laty w książce „Secret of Our Success”, a w swej najnowszej „WEIRDest people of the World” pokazuje, dokąd i kogo ta pętla najdalej zaprowadziła. I który wśród wszystkich ludów na świecie jest najdziwniejszy. Jego tezy są niezwykle i zaskakujące.

Ewenement

Jako antropolog Henrich poznał niemal wszystkie ludy zamieszkujące naszą planetę. Typując te najdziwniejsze, miał więc do wyboru ogromnie bogaty zbiór – mógł wskazać np. na ostatnich do niedawna na Ziemi ludożerców, lud Fore z Nowej Gwinej, który poprzez rytualne żądanie mózgow swych zmarłych członków doprowadził do epidemii przenoszonej przez priony choroby kuru. Innym wyborem mogliby być Andamańczycy z wyspy Sentinel, ostatni może ludzie na świecie żyjący w pełnej izolacji od otaczającego świata, i to od dziesiątków tysięcy lat. Do dziś nie znamy ich języka, wierzeń, zwyczajów; nie wiemy nawet, czy potrafią krzesać ogień, bez którego, jak się zdaje, ludzie nie są w stanie egzystować (dymy unoszące się nad wyspą wskazują, że z niego korzystają, ale czy potrafią go wzniecić – nie wiadomo). Mógłby wreszcie wybrać lud Pirahã z amazońskiej dżungli, w którego języku brak liczebników, oznaczeń kolorów i – przede wszystkim – rekursji, czyli zdań podrzędnie złożonych. To sprawia, że ich zdania są bardzo krótkie, a dłuższe wypowiedzi na abstrakcyjne tematy – utrudnione. Pirahã są też jedynym znanym ludem pozbawionym wierzeń o nadprzyrodzonych bytach – przełożenie Biblii na jego język byłoby może wręcz niewykonalnym zadaniem, a to właśnie od lingwisty i misjonarza, który żył z nim przez kilka lat, Daniela Everetta, znamy najwięcej szczegółów życia i języka tego ludu.

Kogo więc wybrał Henrich na bohaterów swej książki, mając tak bogaty wybór i tak dogłębną wiedzę o ludziach, o których większość z nas w ogóle nie słyszała? Otóż wskazał na Europejczyków, białych chrześcijan, których zwyczaje i zachowania stanowią ewenement wśród wszystkich grup etnicznych, jakie dotąd zostały opisane przez antropologów. To oni są „najdziwniejsi”, a może nawet „najdziwniejsi”, bo takie tłumaczenie słowa *weirdest* wydaje się najwłaściwsze.

Cóż tak dziwnego jest w Europejczykach i ich potomkach żyjących dziś na całym świecie? Lista takich cech jest bardzo długa, więc z konieczności można tu wymienić tylko te najbardziej charakterystyczne. Najważniejszą, bo najsilniej związaną

z biologią (a więc stanowiącą odstępstwo od „typowej” dla *H. sapiens* kondycji), jest osłabienie więzi rodzinnych i klanowych na rzecz indywidualnych, a nie tylko genetycznych sukcesów. Jak pisze Henrich w rozdziale zatytułowanym „Who are you”: „zapewne jesteś WEIRD, Western, Educated, Industrialized, Rich and Democratic. Inaczej niż większość ludzi, którzy kiedykolwiek żyli na świecie, my – ludzie WEIRD – jesteśmy silnie indywidualistyczni, obsesyjnie skoncentrowani na sobie, skłonni do kontroli nad własnym losem, nonkonformistyczni i myślący analitycznie”.

Odmienność

Czytelników, którzy w tym miejscu chcą głośno zaprotestować, proszę o cierpliwość i zrozumienie: to są słowa antropologa i ewolucjonisty, a więc jego spojrzenie na naszą kondycję jest inne od potocznego. Poza tym są to sądy względne i ilościowe i dopiero ich suma, a nie każda pojedyncza cecha, robi wrażenie. I są statystyczne: nie mówią o preferencjach wszystkich, a jedynie o średnich dla całej grupy. I jeszcze jedno: żyjemy w czasach zupełnie nietypowych, które nawet – nieco przedwcześnie – nazwano, nie bez powodu, „końcem historii”. By zrozumieć ten wywód, musimy zdrapać z naszej percepcji tę pozłotkę nowoczesności, bo to pod nią kryje się nasza prawdziwa natura.

Jedźmy więc dalej. Ludzie WEIRD widzą świat w kategoriach uniwersalnych bytów (dom, las, zwierzę) i sztywnych reguł, a złożone zjawiska rozbijają na mniejsze części składowe o określonych właściwościach i jasnej przynależności. Dobrze pokazuje to tzw. Test Triady, gdy badanemu pokazuje się trzy obrazy (np. krowa, kot, trawa), prosząc, by wskazał dwa najbardziej pasujące do siebie. Ludzie WEIRD częściej wskazują kota i krowę (bo to ssaki – kategoria), non-WEIRD krowę i trawę (bo krowy jedzą trawę – relacja).

Podobnie jest z podejściem do chorób. Ludzie WEIRD wierzą, że wywołują je „zarazki” lub inne, ściśle określone czynniki, które należy indywidualnie zwalczać. Inni – że są wynikiem zakłócenia równowagi całego organizmu, a leczenie polega na próbie jej przywrócenia. Tradycyjna chińska medycyna bardzo ostrożnie podchodzi do operacji chirurgicznych, bo te naruszają integralność ciała i koncentrują się na jednostkowej przyczynie, pomijając i zakłócając ogólną kondycję ciała i jego związki z otoczeniem. Coś podobnego dzieje się z budownictwem. Wznosząc dom, ludzie WEIRD biorą pod uwagę sam budynek, w tym dobór odpowiednich materiałów i szczegóły planu architektonicznego. Ludzie (umownego) Wschodu – niezliczoną ilość relacji między budowlą a otoczeniem (feng shui), których analizę powierzają doświadczonemu specjalistom.

Różnice między „nami” a „nimi” dotyczą też cech psychologicznych. Henrich wymienia ich dużo. Ciekawie na przykład i nieoczekiwanie przedstawia się sprawa poczucia winy i wstydu. Ludzie Zachodu, gdy zrobią coś złego, czują się winni, nawet jeśli żadna szkoda z tego nie wynikła. U ludzi non-WEIRD częstszy jest wstyd, który pojawia się wtedy, gdy czyn taki może przynieść ujmę członkom rodziny lub klanu. Wina wynika z naruszenia ►

► ogólnych zasad, wstyd związany jest ze standardami zbiorowości, w której się żyje. Ludzie Zachodu mają też inne poczucie czasu – gdy mają wybór: zarobić trochę już lub więcej za jakiś czas, wybierają to drugie, w przypadku non-WEIRD natychmiastowa gratyfikacja wygrywa z obietnicą odroczonej wypłaty. Różne jest też poczucie sprawiedliwości. W tzw. Grze w Dyktatora, gdy ludzie Zachodu mają wedle własnego uznania podzielić się z nieznaną osobą określoną sumą pieniędzy, wybierają podział zbliżony do 50:50, a oferty znacząco niższe obdarowani odrzucają, nawet jeśli oznacza to, że obie strony nie dostaną nic. Ludzie non-WEIRD są bardziej „racjonalni” i akceptują większość ofert, skoro ich odrzucenie nigdy się nie opłaca.

W innym teście, zwanym Dylematem Pasażera, badanym przedstawia się następującą historię: jedziesz z przyjacielem samochodem i dochodzi do potrącenia pieszego. Przyjaciół lubi szybką jazdę, przekroczył dozwoloną prędkość o 50 km na godzinę. Świadków zdarzenia – poza tobą – brak. Adwokat mówi, że jeśli zeznasz, że twój przyjaciel przekroczył prędkość o 30 km, oszczędzi mu to poważnych konsekwencji. Pytanie brzmi: czy przyjaciel ma prawo oczekiwać od ciebie takiej przysługi? Większość ludzi spoza kręgu WEIRD wybiera odpowiedź twierdzącą (bo przyjacielom trzeba pomagać), wśród krajów WEIRD odpowiedź przecząca zgarnia ponad 90 proc. głosów.

Jest jeszcze Uogólniony Test Zaufania. Tu uczestnikom zadaje się jedno pytanie: „czy, ogólnie mówiąc, powinno się ufać większości (nieznanych) ludzi, czy zawsze trzeba zachować możliwie największą ostrożność”? Tu rozstrzał znów jest olbrzymi: w Norwegii gotowość ufności wobec większości ludzi deklaruje 70 proc., w Trynidadzie i Tobago – 4 proc. We Włoszech jest różnie: w Trento na północy odsetek wynosi 49 proc., ale na Sycylii już tylko 26. Myślenie dzisiejszych ludzi wynika z gromadzących się przez wieki doświadczeń, stąd tak częste i na pozór niezrozumiałe regionalizmy, widoczne np. w odmiennych preferencjach wyborczych mieszkańców żyjących w jednolitych dziś krajach.

Jasne, są też cechy uniwersalne, ale one właśnie podkreślają naszą WEIRD-ową wyjątkowość. Takimi cechami gatunkowymi są na przykład określone preferencje przy wyborze partnerów seksualnych (np. proporcje budowy ciała obu stron tego „kontraktu”), uczucia żywione przez rodziców wobec dzieci, lojalność wobec własnej grupy itd. Wspólne dla ludzi jest też naśladownictwo – nad indywidualną naukę, zawsze niepewną co do wyniku, lepsze jest korzystanie ze sprawdzonych przez pokolenia wzorców. Trzeba tylko wiedzieć, co i od kogo warto przejmować. Pod tym względem nasz gatunek jest naprawdę wyjątkowy.

Jeden przykład, jak to się dokonuje. Grupie uczestników badania pokazuje się zbiór krzywych linii, pytając, która z nich jest najdłuższa. W ocenie mogą polegać na własnych zmysłach i analizie lub na decyzjach podejmowanych przez innych. Co się okazuje? Gdy zadanie jest łatwe i różnice między długością linii widać gołym okiem, każdy polega na własnej ocenie sytuacji. Gdy jednak ocena staje się trudniejsza – prawie wszyscy przychylają się do werdyktu większości. A kiedy ta większość – specjalnie dobrana przez eksperymentatora – głosuje za opcją, w której wygrywa linia krótsza, reszta, wbrew swym zmysłom, podejmuje tę samą decyzję. W dziejach świata nadmierny indywidualizm, opieranie się na własnych, a nie grupowych sądach, nigdy nie był preferowaną opcją. Ani bezpieczną.

Teraz najważniejsze: przedstawione wyżej badania prowadzone były przez lata z użyciem testów, których zarówno autorzy, jak i uczestnicy nie należeli w większości do ludzi WEIRD, ale ich wyniki przedstawiano do tej pory jako typowe dla całego *H. sapiens*. Cechy dziwaczne uznawano za uniwersalne, bo wszak wszyscy ludzie powinni być, pod względem psychiki, w zasadzie tacy sami. Tyle że – coraz więcej na to wskazuje – nie są.

Obsesja

Czas na najważniejsze pytanie: co sprawiło, że ludzie WEIRD stali się tak dziwni? Zważmy – wiele z ich dziwactw odnosi się do szeroko rozumianej sfery reprodukcji, życia rodzinnego i relacji z innymi, w tym całkiem niespokrewnionymi osobami.

Wśród ludzi WEIRD rodziny są mniejsze, więzy rodzinne i klanowe osłabione, wartości osobiste szczególnie cenione, a relacje z obcymi naznaczone zaufaniem i silniejsze. Mówiąc w skrócie – największym przemianom uległy cechy, które należą do najbardziej uniwersalnych, a więc i najtrudniejszych do wykorzenia, atrybutów *H. sapiens*. Lecz skoro tak, to i czynnik, który tak radykalnie na te cechy wpłynął, musiał być potężny i działać przez długi czas – inaczej by się nie dało. Więc co to było?

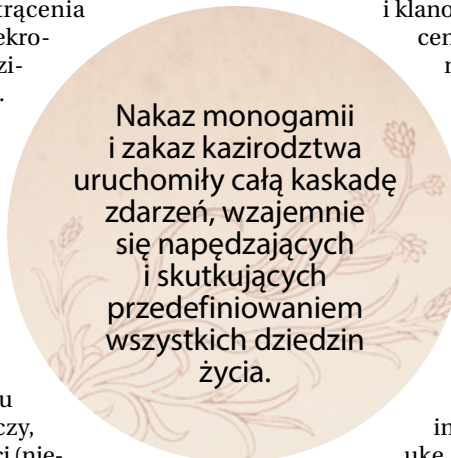
Odpowiedź Henricha brzmi: Europa (głównie Zachodnia, bo do niej te rozważania się w największym stopniu odnoszą) zawdzięcza swoją wyjątkowość, kreatywność, indywidualizm, sukcesy swej gospodarki, naukę i demokrację dominującej roli Kościołów chrześcijańskich, zarówno katolickiego, jak i protestanckiego (w mniejszym stopniu prawosławnego), odgrywanej przez z górą tysiąc lat. I nie chodzi tu bynajmniej o specyficzne znaczenie pojmowanego w sposób osobowy Boga, ale dobrze nam znaną i niezbyt dobrze ocenianą obsesję związaną z seksem i prokreacją. A także celibatem. Bez tego wszystkiego Europa nie odniosłaby swoich sukcesów.

Kościół i papieżstwo były przedłużeniem i odnowieniem Cesarstwa Rzymskiego – paradoksalnie dopiero jego upadek pozwolił rozszerzyć kościelne wpływy daleko poza zasięg rzymskich *limes* – na tereny germańskich, a później skandynawskich i słowiańskich barbarzyńców. Kościół zachował łacinę i Rzym jako stolicę, by nie było wątpliwości, skąd czerpie swe siły i inspiracje. Rola papieża była poniekąd nawet większa od cesarskiej – bo to on namaszczał królów, przyjmował nowe kraje w obręb kultury i wpływów dawnego imperium i regulował prawodawstwo, w tym – w szczególności – to wpływające na stosunki seksualne i relacje rodzinne. I tak zaczęła się rewolucja.

Rozziew

Pierwszym krokiem, z całej serii trwających z górą tysiąc lat i z czasem coraz silniejszych przedsięwzięć, był nakaz monogamii i zakaz kazirodztwa, co uderzało w zakorzenione od niepamiętnych czasów i niemal wrodzone standardy rodzinne i prokreacyjne. Miało to uruchomić całą kaskadę zdarzeń, wzajemnie się napędzających i skutkujących przededefiniowaniem wszystkich dziedzin życia, znajdujących kulminację w dzisiejszej pozycji Zachodu w skali całego świata. Sieć tych zależności jest tak gęsta i tak brzemienna w skutki, że jej opisanie wymagało opasłej książki, o której właśnie tu mowa.

Pierwszymi z tej serii nakazów, zakazów i tabu były uchwały synodu w Elwirze w latach 305–306, które zaczęły się niewinnie



od uniemożliwienia mężczyznom przyjmowania komunii, jeśli poślubili siostrę zmarłej żony (sororat, zwyczaj bardzo w świecie rozpowszechniony). Rychło przyszedł zakaz małżeństw między kuzynami pierwszego stopnia, co rozszerzano później sukcesywnie do XI w. aż po kuzynów szóstego stopnia. To – jak wylicza Henrich – rozszerzyło krąg osób spoza możliwych kandydatów do żeniaczki na niewyobrażalną liczbę 10 tys. Zmieniło się też samo pojęcie kazirodztwa, obejmujące także bliższych i dalszych krewnych ze strony obojga małżonków (którzy są powinowaci, ale nie spokrewnieni), a nawet rodziców chrzestnych, których pokrewieństwo lub powinowactwo wynika wyłącznie z więzi sakralnych. W czasach małej mobilności ludzi miało to daleko idące konsekwencje i radykalnie odmieniło stosunki społeczne całych narodów i państw.

W tradycyjnych, rolniczych i hierarchicznych społecznościach znaczna część mężczyzn była zawsze wyłączona z rynku matrymonialnego, gdyż ten monopolizowany był przez lepiej urodzonych, co niekiedy osiągało kolosalne rozmiary – miliony żyjących dziś potomków Czyngis-chana są tego dobrą ilustracją. Kościelne regulacje spowodowały, że Europa, zwłaszcza Zachodnia, wcześniej weszła na tym polu na drogę daleko idącej demokratyzacji, ale też ekspansji – wybór kandydatów do ożenku był na miejscu bardzo ograniczony, co wymuszało migracje i puchnięcie miast, gdzie spotkanie osób niespokrewnionych było znacznie łatwiejsze.

Oslabienie i rozerwanie więzów rodzinnych i klanowych, głęboko zakorzenionych w ludzkiej naturze, kompensowano powstawaniem różnorodnych związków, towarzystw, stowarzyszeń i bractw opartych nie na więzach krwi, ale wspólnocie interesów, aktywności zawodowej czy poglądów. Cechy, gildie, związki żakowskie, zakony, towarzystwa naukowe – cały ten europejski średniowieczny protointernet był tygłem, w którym wytapiał się amalgamat nowych myśli, postaw i relacji. Spoiwem była lojalność już nie klanowa, lecz zawodowa. Powiększał się też rozdział między psychiką mieszkańców miast i tych, którzy zostawali na wsi – zjawisko, które daje o sobie znać po dziś dzień.

Rozbudowane słownictwo odnoszące się do bliższych i dalszych krewnych zaczęło w Europie Zachodniej szybko zanikać, najpierw w językach romańskich (już ok. 700 r.), nieco później – ok. 1100 r. – w językach germańskich. Na wschodzie

kontynentu, gdzie te procesy zachodziły wolniej, a wpływy papieżstwa dotarły później, utrzymało się znacznie dłużej. Zalamanie się tradycyjnych i trwających przez tysiąclecia relacji rodzinnych i międzyludzkich stanowiło cichą rewolucję, jakiej świat nie widział od narodzin naszego gatunku. Rewolucję powolną, ale konsekwentną, jakby każdy kolejny etap zamykał za sobą drogę odwrotu.

Zawiłość

Zmiany psychologiczne obejmujące coraz większe rzesze społeczne przygotowywały grunt do kolejnych innowacji, jak reformacja, która upowszechniła indywidualizm przez zachętę do osobistego studiowania Biblii w językach zrozumiałych dla każdego. Choć załączki protestanckiego myślenia i sposobu życia istniały już setki lat wcześniej, na europejskich uniwersytetach i w wielu zakonach (np. cystersów) i pewnie taka czy inna reformacja nastąpiłaby i bez Lutera czy Kalwina i nawet bez zrywania więzów z Rzymem. Raz puszczane koło z zapadkami toczy się tylko w jednym kierunku.

Kolejnymi krokami na tej drodze były ekspansja na cały świat, rewolucja przemysłowa, rządy prawa, wybieralność urzędów, wreszcie liberalna demokracja, która ogarnia coraz większe tereny, choć wśród ludów non-WEIRD przyjmuje się niekiedy z oporami.

Tezy Henricha, choć frapujące, nie dają odpowiedzi na wiele cisnących się na usta pytań. Czy setki lat wyjątkowego eksperymentu, jaki dotknął mieszkańców tego niewielkiego półwyspu na zachodnich rubieżach Eurazji wpłynęły też na ich geny, co zresztą pozostawałoby w zgodzie z jego koncepcją wyłożoną w poprzedniej książce? Czy sukcesy ludzi z Dalekiego Wschodu wynikają z jakiegoś innego, równie silnego impulsu u zarania ich historii, czy mają zupełnie inne podłoże? Jaki był wpływ Kościołów wschodnich, słabiej lub w ogóle niezwiązanych z papieżem, a za to silnie zespolonych, aż do podległości, z władzą świecką? Te społeczeństwa, nie bez przyczyny, są znacznie mniej WEIRD.

Pełnych odpowiedzi na te i inne pytania jeszcze nie znamy. Książka Henricha stanowi jednak dobry punkt wyjścia do rozważań nad zawiłościami kulturowej i biologicznej ewolucji ludzi, gatunku, który sam w sobie jest przedziwny.

MARCIN RYSZKIEWICZ

REKLAMA

PRZEZ 22 LATA WSPARLIŚMY 362 NAUKOWCÓW KWOTĄ PONAD 6 MLN 875 TYS. ZŁ

23
NAGRODY NAUKOWE
POLITYKI

JESTEŚ MŁODYM AMBITNYM NAUKOWCEM?
PROWADZISZ NIEBANALNE, WAŻNE SPOŁECZNIE PROJEKTY BADAWCZE?

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Czekamy do 14 czerwca!

Partnerzy
Nagród Naukowych
POLITYKI 2023

za:ks
sprzyjamy wyobraźni

Dr Irena Eris

Pobrano ze strony zajefajna.com



FUNDACJA ONKOLOGII
DOŚWIADCZALNEJ I KLINICZNEJ
Onkologia - FORUM

Patron
medialny



Wielki Pościg

Chiny dominują w badaniach nad większością technologii krytycznych dla rozwoju gospodarki i obronności. Czy już przegoniły Stany Zjednoczone?

EDWIN BENDYK

Służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych przeżyły w sierpniu 2021 r. szok: Chińczycy zademonstrowali pocisk hipersoniczny zdolny do przenoszenia ładunku jądrowego. Wyniesiony w przestrzeń przez raketę kosmiczną Długi Marsz, po osiągnięciu orbity okołozemskiej został zwolniony i lotem szybowcowym okrążył Ziemię. Ze swoim celem ćwiczebnym na terenie Chin rozminął się o kilkadziesiąt kilometrów, co jednak nie zmniejszyło zdumienia amerykańskich wojskowych. Najwyraźniej Chińczycy ich wyprzedzili, mimo że prace nad systemami wykorzystującymi pociski poruszające się co najmniej pięciokrotnie szybciej od dźwięku trwają w USA od lat 50. XX stulecia.

Gen. George Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów,

stwierdził nawet, że militarno-technologiczna rywalizacja z Chinami zbliżyła się do „momentu sputnikowego”. Przypomniał osłupienie, w jakie USA wprawił Związek Radziecki w 1957 r., umieszczając na orbicie pierwszego sztucznego satelitę, pokazując tym samym, że nie tylko przoduje w rywalizacji o podbój kosmosu, lecz także dysponuje raketami zdolnymi przenieść ładunek w dowolne miejsce na świecie. Tym razem Chińczycy pokazali, że dysponują pociskami zdolnymi do ataku na terytorium Stanów Zjednoczonych, przed którym Amerykanie nie byłiby w stanie się obronić.

Twarda konsekwencja

Jak jednak do tego doszło? Dlaczego nieliczne głosy wojskowych ostrzegających przed możliwą chińską przewagą wywoływały ironiczne odpowiedzi? Na przykład taką, że Chińczycy może i są mistrzami, ale w kopiowaniu cudzych technologii i z tego względu nie mają

dostępu do granicy technologicznej, czyli rozwiązań najbardziej zaawansowanych, gdzie nieustannie prym wiodą Stany Zjednoczone.

Częściowej odpowiedzi na te pytania udzielił 10 marca Paul F. Freisthler, główny naukowiec Agencji Wywiadu Wojskowego (DIA). Podczas wystąpienia w Kongresie stwierdził: „Chiny w ciągu ostatnich dwóch dekad dokonały wielkiego postępu w rozwoju technologii uzbrojenia hipersonicznego, zarówno konwencjonalnego, jak i jądrowego. Stało się tak w wyniku intensywnych i skoncentrowanych inwestycji, prac rozwojowych, testów i wdrożeń”. Freisthler nie mówił wprost, że Chiny wyprzedziły Stany Zjednoczone, tylko wyliczył składniki ich mocy w tej dziedzinie: liczbę tuneli aerodynamicznych, ośrodków badawcze, typy dostępnego i rozwijanego uzbrojenia.

Swoistym uzupełnieniem analizy amerykańskiego wojskowego jest Critical Technology Tracker, internetowe interaktywne narzędzie umożliwiające porównywanie stanu technologicznej rywalizacji między różnymi państwami. To dzieło Australian Strategic Policy Institute, który jednocześnie opublikował raport zatytułowany „The global race for future power” (Globalny wyścig po przyszłą władzę). Australijscy analitycy przebadali miliony publikacji naukowych w 44 obszarach technologii ich zdaniem krytycznych dla rozwoju nowoczesnej gospodarki i obronności (to m.in. inżynieria materiałowa, superkomputery, przetwarzanie dużych ilości danych, sztuczna inteligencja, technologie przechowywania energii, biologia syntetyczna, nanotechnologia, a także zaawansowane napędy lotnicze).

Naukowa dominacja

Badacze sprawdzili, jakiej narodowości są autorzy 10 proc. najbardziej cytowanych prac naukowych. Wykorzystali także inne wskaźniki jakości naukowej, jak tzw. współczynnik Hirscha. Analizowali przepływy kadry i pozycję całych instytucji. Wnioski okazały się porażające – Chińczycy mają przewagę w 37 z 44 obszarów krytycznych. W niektórych można mówić wręcz o hegemonii. Wystarczy spojrzeć na „zaawansowane napędy lotnicze” (obejmują zapewne te hipersoniczne). Prawie połowa publikacji z 10 proc. najczęściej cytowanych pochodzi z Chin. Z USA – zaledwie 11,7 proc. Państwo Środka dysponuje także siedmioma z dziesięciu instytucji badawczych mających największy udział w publikowaniu prac o najwyższym wskaźniku cytowań.

W zaawansowanej robotyce konkurencja między tymi dwiema potęgami jest bardziej wyrównana. Spośród 10 proc. najczęściej przywoływanych publikacji 27,9 proc. ma autorów chińskich, 24,6 proc. pochodzi z USA. Jeśli zastosować inną miarę jakości – wskaźnik Hirscha – oba kraje zamieniają się miejscami. Ale już w badaniach nad systemami fotowoltaicznymi zaznacza się chińska dominacja – prawie 40 proc. z 10 proc. najczęściej cytowanych ma autorów chińskich (z USA pochodzi zaledwie 9,2 proc.). Do Państwa Środka należy też siedem z dziesięciu najsilniejszych instytucji badawczych w tym obszarze.

Australijska analiza robi wrażenie. Od badań naukowych do prawdziwych technologii droga jednak daleka. Tylko rzeczywiście najlepsze publikacje służą jako źródło wiedzy wynalazcom, co widać doskonale w zgłoszeniach patentowych: aż 80 proc. spośród 0,01 proc. najczęściej cytowanych prac naukowych jest także przywoływana przez autorów patentów. Wartość ta maleje do 60 proc., gdy pulę powiększyć do 0,1 proc. i do 40 proc. dla 1 proc. najczęściej cytowanych artykułów. Artykuły z „ogona” 50 proc. najrzadziej cytowanych nigdy nie trafiają do patentów. Niestety, autorzy „Critical Technology Tracker” nie sprawdzili, jak się rozkłada chińska twórczość naukowa pod tym względem.

Ciągły rozwój

Lukę tę po części wypełnia opublikowane pod koniec 2022 r. przez London School of Economics, a przygotowane przez Antonina Bergeaud (ekonomistę z HEC Paris) i Cyrila Verlaude (data scientist z QuantumBlack) opracowanie „The rise of China’s technological power” („Wzrost chińskiej potęgi technologicznej”). Badacze sprawdzili, jak zmieniała się w ciągu ostatnich dekad statystyka zgłoszeń patentowych w sześciu technologiach krytycznych: pojazdy autonomiczne, inżynieria genetyczna, rozpoznawanie obrazów, druk 3D, blockchain i magazynowanie wodoru. Nie dali się przy tym zwieść liczbom bezwzględny – patentowanie stało się ulubionym sportem Chińczyków, liczba zgłoszeń nic jednak nie mówi o ich wartości. Znaleźli sposób na wyławianie nie tylko propozycji najwyższej jakości, ale także o największym potencjale innowacyjnej radykalności.

Wyniki nie pozostawiają złudzeń – Chiny przegoniły już Europę we wszystkich z sześciu krytycznych technologii, wyprzedzają Japonię i konsekwentnie zbliżają się do Stanów Zjednoczonych, ciągle

światowego lidera. Widać wyraźnie, jak działa schemat omówiony przez Paula Freisthlera: Chińczycy konsekwentnie, w sposób skoncentrowany inwestują w rozwój kluczowych dla przyszłości technologii, rozpoczynając od rozbudowy potencjału naukowego i kształcenia kadr, konsolidacji wiodących instytucji badawczych, inwestycji w najnowocześniejszą infrastrukturę naukowo-badawczą i wspieranie wdrożeń przemysłowych.

Własne innowacje

Ten ostatni etap jest wszakże najslabiej rozpoznany przez analityków, a tym samym najbardziej zmitologizowany. Najsilniejszym memem jest przekonanie, że chińskie firmy albo zajmują się montowaniem produktów na zlecenie zachodnich firm technologicznych, albo wytwarzają produkty w oparciu o technologie wykradzione i skopiowane na użytek własnej gospodarki. Chińczycy nie ukrywają, że transfer technologii z zagranicy był podstawą rozwoju ich kraju jeszcze w czasach rządów Mao i ciągle ma znaczenie. Jednocześnie jednak trwa systematyczny rozwój rodzimego ekosystemu innowacji, co opisał ekonomista Yin Li w opublikowanej właśnie książce „China’s Drive for the Technology Frontier” („Chiński marsz do granicy technologicznej”).

Pokazuje on, że Chińczycy zbudowali wyjątkowy system rozwoju innowacji łączący państwowy interwencjonizm, prywatną przedsiębiorczość, gigantyczny i coraz bogatszy rynek wewnętrzny oraz coraz lepiej wykształconych pracowników. To właśnie popyt wewnętrzny i rosnące wymagania konsumentów powodują, że firmy z Państwa Środka nie mogą zadowalać się kopiami rozwiązań z zagranicy i muszą stawiać na oryginalne propozycje. Jednocześnie państwo, wbrew powielanym na świecie stereotypom, nie subsydiuje przedsiębiorstw zbyt chętnie, by im ułatwić globalną konkurencję – rzeczywiście samo inwestuje coraz więcej oraz zachęca firmy do nakładów na badania i rozwój. O ile jeszcze w 1996 r. Chiny wydawały na badania i rozwój zaledwie 0,56 proc. PKB, o tyle w 2022 już 2,55 proc., co odpowiada kwocie 443 mld dol.

Brakujący czas

Czy więc Państwo Środka nieuchronnie zbliża się do dominacji technologicznej, co z kolei otworzy drogę do dominacji militarnej i politycznej? Nie tak szybko. To wymaga kompetencji, jakich Chińczykom jeszcze brakuje. Jak zauważył tygodnik „The Economist”, tamtejszy przemysł ciągle nie opanował na przykład

całego cyklu samodzielnego projektowania i wytwarzania silników spalinowych, jednych z najbardziej złożonych systemów technicznych. Potrzeba do tego nie tylko technologii, ale także kultur organizacyjnej i technicznej, których rozwój wymaga czasu.

Podobnie jest z wieloma wyspecjalizowanymi technologiami niezbędnymi do wytwarzania silników lotniczych, mikroprocesorów lub substancji chemicznych. Okazuje się, że tylko jedna firma na świecie – ASML z siedzibą w Holandii – potrafi produkować maszyny do fotolitografii potrzebne do wytwarzania najbardziej zaawansowanych mikroprocesorów. Tak więc wyzwaniem dla Chin są nie tylko Stany Zjednoczone panoszące się na granicy technologicznej, lecz także gospodarki mniejszych państw, których firmy opanowały wyspecjalizowane obszary technologii niezbędne jednak dla funkcjonowania całych gałęzi gospodarki. Ta właśnie umiejętność identyfikacji i kontroli technologicznych punktów krytycznych jest źródłem siły Szwajcarii, Danii, Finlandii, Szwecji i zapewnia im czołowe pozycje w międzynarodowych rankingach innowacyjności.

Poza tym im bliżej technologicznej granicy, tym większe znaczenie dla rozwoju nowych technologii mają badania podstawowe. Chińczycy przeznaczają na nie zaledwie 6 proc. nakładów idących na badania i rozwój, Amerykanie 15 proc. Znowu olbrzymi dystans do nadrobienia. Na dodatek chińską naukę dotyka plaga produkcji publikacji bez większej wartości poznawczej, nierzadko opartych na podkręcaniu wyników eksperymentów i wzajemnym cytowaniu się w ramach swoistych „spółdzielni” – te patologiczne praktyki opisał niedawno „Financial Times”.

Tymczasem Państwu Środka zaczyna brakować czasu na nadrobienie zaległości – łączne zadłużenie sektora publicznego i prywatnego osiągnęło astronomiczną kwotę 52 bln dol., czyli blisko 300 proc. PKB. Kraj zestarzał się, zanim stał się bogaty. Rosnąca średnia wieku społeczeństwa przekłada się na coraz trudniejszy rynek pracy. Produktywność pracy osiągnęła poziom zaledwie 30 proc. wartości dla krajów najbardziej rozwiniętych. Na dodatek dynamika jej wzrostu zmalała.

Całościowy obraz chińskiej gospodarki jest znacznie mniej spektakularny niż punktowe osiągnięcia w dziedzinie broni hipersonicznej czy paneli fotowoltaicznych. To właśnie dlatego wielu ekspertów na pytanie: „kiedy Chiny przegonią Stany Zjednoczone?”, odpowiada: „może nigdy”. ■

Taniec na dwa ogony



Z zimowego odrętwienia budzą się właśnie traszki – drobne, nieco zapomniane, ale fascynujące płazy. Ruszają w stronę wody, by wziąć udział w niezwykłym spektaklu.

MIKOŁAJ KACZMARSKI

Płazy to marginalizowana gromada zwierząt. Być może dlatego, że nie widzimy ich zbyt często. A może dlatego, że w niektórych wzbudza obrzydzenie skóra – wilgotna u żab czy gruczołowata u ropuch.

Tymczasem płazy są w coraz większych opałach. Jak wynika z danych Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody, w skali świata ponad 40 proc. znanych gatunków zagrożone jest wyginięciem. Nieliczne badania długofalowe prowadzone w Polsce także pokazują bardzo niepokojącą tendencję: spadek zarówno liczebności, jak i bogactwa gatunkowego. Dotyczy to też traszek, nazywanych także trytonami. Płazów, które jako pierwsze opuszczają zimowe kryjówki. Gdy przyjrzymy się im z bliska, okaże się, że są piękne. A w ich oczach kryje się tajemniczy błysk.

Jeśli nam się poszczęści, na południu kraju możemy spotkać traszkę górską *Ichthyosaura alpestris* i będącą gatunkiem endemicznym dla Karpat *Lissotriton montandoni*. W pozostałych rejonach Polski zaś – niewielką traszkę zwyczajną *Lissotriton vulgaris* i wyraźnie większą niż wszystkie

pozostałe, bo osiągającą nawet powyżej 15 cm, grzebieniastą *Triturus cristatus*.

Pomimo różnych rozmiarów nasze nizinne traszki często są mylone. Głównie ze względu na grzebień, który pojawia się u samców tych dwóch gatunków podczas okresu godowego, gdy przebywają w wodzie. Sam, gdy pierwszy raz złowiłem samca traszki zwyczajnej w szacie godowej, musiałem konsultować swoją obserwację z herpetologiem.

Wydaje się, że lepsze w rozpoznawaniu traszek są osoby starsze, których dzieciństwo przypadało na okres do lat 80. ubiegłego wieku. Mają one w pamięci mokradła, kałuże i rowy pełne wody, w których obserwowały i z których wyławiały dziesiątki tych zwierząt. Traszki trafiały do słoików po ogórkach oraz akwariów w domach i szkołach. Później wiele niestety ginęło – wysychały za szafami podczas prób ucieczki. W literaturze powojennej można znaleźć instrukcje, jak pozyskać zwierzęta w celu ich hodowli i prowadzenia obserwacji w pracowni przyrodniczej. Dzisiaj takie praktyki są zabronione, a większość osób zgodzi się z tym, że dzięki zwierzęta powinny żyć na wolności.

Większości miejsc, w których dzisiaj 50–60-latkowie kiedyś widywali traszki, już nie ma, a jeśli nadal istnieją, to trytony

z nich zniknęły. Wszystkie płazy występujące w Polsce są chronione, ale ich stanowiska są masowo niszczone, a wiele tych stworzeń ginie corocznie na drogach.

Miły dygot ciała

Zwróciłem uwagę na te płazy, gdy byłem na studiach (wtedy znalazłem pierwszego samca traszki zwyczajnej). Było to w miejskim parku, w którym spacerowałem często jako dziecko, nie mając świadomości, że trytony żyją niespełna 100 m od mojego bloku. Z czasem okazało się, że ten zaniedbany modernistyczny kawałek zieleni jest stanowiskiem jednej z największych populacji traszki zwyczajnej w Poznaniu. Dzisiaj ten obszar znany jest jako użytek ekologiczny Traszki Ratajskie i gości reliktoową grupę tego gatunku. To mój poligon zawodowy, a żyjące tutaj trytony są chyba najlepiej zbadane i chronione w Polsce.

Pierwsze analizy, które prowadziłem z wieloletnim współpracownikiem dr. Janem M. Kaczmarkiem, dotyczyły śmiertelności traszek na ścieżkach, na których odbywa się ruch pieszy i rowerowy (niestety ten problem nie został rozwiązany, mimo że jest to obszar chroniony). Później odkryliśmy, gdzie traszki zimują. Ze zdziwieniem skonstatowaliśmy, że chowają się w sąsiadującym ze stawem nasypem



Na tego płaza mówiono kiedyś także trach, drach, dracha, co wynikało ze skojarzenia ze smokiem. Na zdjęciach: samiec traszki grzebieniastej oraz samica traszki zwyczajnej (na dole).

tramwajowym. Jego struktura zapewnia bezpieczne i wilgotne kryjówki, do tego pełne pokarmu w postaci drobnych bezkręgowców. I wygląda na to, że drgania wywoływane przez przejeżdżające tramwaje nie stanowią dla trytonów większego problemu, za to płoszą drapieżniki. Poza tym uproszczona struktura troficzna izolowanego parku pozbawiona jest np. zakręśców, a z powodu niedoborów wody wymarły też ryby, będące największym zagrożeniem dla tych delikatnych płazów.

Dalsze badania pozwoliły nam odkryć kolejną tajemnicę. Mimo że w podręcznikach do herpetologii umieszczone są informacje, że traszki w okresie zimowym pozostają w schronieniach, ich zachowanie okazuje się podążać za zmianami klimatu. Niektóre osobniki pojawiają się na powierzchni w grudniu



lub styczniu i ewidentnie żerują. Warunek: temperatura musi osiągnąć wartość dodatnią, a wilgotność poziom 90 proc. To tylko część z obserwacji i opublikowanych wyników badań wykonanych na poligonie badawczym w centrum miasta.

Czułe ruchy grzebienia

Co robią trytony, gdy w powietrzu czuć wiosnę? Zmierzają do wody. Literatura podpowiada, że wśród polskich płazów swoją aktywność najwcześniej zaczyna traszki zwyczajne. Nasze obserwacje dowodzą zaś, że następuje to, gdy tylko temperatura punktu rosy osiągnie poziom 2 st. C. Wydaje się wręcz, że na zachodzie podczas ciepłych i wilgotnych zim niektóre osobniki nie zapadają w długotrwałe odrętwienie, lecz pozostają w gotowości.

Najwcześniejsze migracje w kierunku zbiorników rozrodczych (kałuż, stawów, jezior) mogą trwać długo. Naga skóra nie chroni traszek przed utratą wody zbyt dobrze. Gdy tylko warunki się pogorszą (zbyt sucho lub zimno), ponownie chowają się do swoich schronień (siedliska powinny być więc bogate w kryjówki, takie jak sterty kamieni czy martwe drewno). Okienka pogodowe sprzyjające aktywności otwierają się wraz z nadejściem kolejnych wilgotnych frontów atmosferycznych.

Przyjmuje się, że typowy zasięg migracji traszki zwyczajnej to nawet 400 m, a maksymalny – 1,2 km. Nasze badania wskazują jednak, że większość osobników żyje w bliskim sąsiedztwie stawów, tj. w promieniu do 300 m (zarządzając populacjami płazów, należy więc chronić i właściwie kształtować nie tylko same zbiorniki rozrodcze, ale także ich otoczenie).

Gdy najbardziej niecierpliwie trytony docierają wiosną do wody, jej temperatura waha się nieznacznie powyżej zera, a nocami wciąż może pojawiać się tafła lodu. Traszkom to nie przeszkadza, bo są odporne na zimno (gorzej radzą sobie z letnimi upałami). Jako pierwsze do zbiorników przybywają samce. Już wtedy wyraźnie widać u nich zalotną szatę i listewkę skórną będącą zaczątkiem grzebienia, który wyrośnie w ciągu kilku dni. Do aktywności godowej samce są gotowe przy ok. 4 st. C, jednak w takiej temperaturze są jeszcze mało ruchliwe. Rzadko wypływają na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, a o tokowaniu, czyli specyficznym rytuale, którego celem jest zainteresowanie i przywabienie samicy, nie ma mowy. Żeby ten spektakl się zaczął, musi być nieco cieplej.

Taniec godowy traszek składa się z kilku etapów. Najpierw samiec ustawia się przed samicą i ją obwąchuje, by się

upewnić, że należy do tego samego gatunku. Później następuje pokaz statyczny: zalotnik stara się przyciągnąć uwagę partnerki ruchami tułowia, ogona i grzebienia. Jeśli ona zbliży się do niego, to zazwyczaj przechodzi do fazy pokazu z odwrotem. Samiec kontynuuje wtedy dynamiczne wachlowanie ogonem, zachowując swoją pozycję względem partnerki. Kiedy po długich staraniach otrzyma sygnał, że samica jest gotowa, następuje przekazanie spermatoforu (pakietu plemników w osłonce).

Sekwencja godowa jest ściśle związana z bardzo wyraźnym dymorfizmem płciowym. Perłowe pręgi u samców traszki grzebieniastej, błękitna barwa u samców traszki zwyczajnej, kontrastujące kolory czy specjalna nitka będąca przedłużeniem ogona u traszki karpackiej to elementy, które wpływają na odbiór samca jako silnego i atrakcyjnego. Takiego, z którym warto zainwestować w potomstwo. Zakradanie się, wyginanie ciała, stoszenie grzebienia, drżenie i wachlowanie ogonem czy delikatne nim muśnięcie to także elementy subtelnej gry wstępnej (nierzadko przerywanej przez inne osobniki lub drapieżniki). Czasami samica wypływa zaczerpnąć powietrza, a samiec płynie tuż za nią, po to, by jak najszybciej spróbować wrócić do tańca godowego.

Nocna wyprawa na gody

Gdy samiec dokończy zaloty i przekaże materiał genetyczny samicy, często przez jakiś czas jeszcze jej pilnuje i odgania rywali. Samica stopniowo zapładnia kolejną jaja (u krajowych gatunków traszki grzebieniastej od 350 do ponad 400) i składa je, każde osobno i troskliwie zabezpieczając w kołysce z liści. Po jakimś czasie znów zaczyna interesować się samcami, by pozyskać kolejny możliwie najlepszy spermatofor. Okres godowy może trwać nawet do końca maja, w zależności od temperatury, dostępności wody i pokarmu czy obecności drapieżników w wodzie.

Gdy za oknem pada wieczorny deszcz, wybierzcie się z silną latarką w poszukiwaniu traszek. Gdy już znajdziecie akwen, do którego wędrują, wróćcie tam za dnia. W okresie godowym trytony aktywne są całą dobę, także podczas tokowania. Jako że roślinność jeszcze nie przerosła w całości zbiorników i brzegów, kwiecień jest najlepszym okresem, by zobaczyć niezwykle płazie rytuały godowe na własne oczy.

Autor jest adiunktem w Katedrze Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. Herpetolog i społecznik, założyciel i jeden z liderów Grupy Traszka www.traszka.com.pl.



Bazar Różyckiego
w latach 70. XX w.

Oda na instrumencie poszarpanym

Bazar Różyckiego w Warszawie to opowieść o tym, jak kapitalizm zwyciężył z socjalizmem przez nokaut, a potem sam się pobił własną pięścią.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

O

a szwindlem. Epopeja wódki, flaków i pyz, bójek na noże, etosu złodziejskiego, miłości i złotych sygnetów (ze złota lub tombaku). Krótko mówiąc: z jednej strony honorowość, z drugiej więzennictwo, w środku pieniądz. Klientela lubi takie rzeczy, dlatego przez ponad 100 lat robiła tłum między budami Bazaru i każdy każdego mógł spytać: „Co masz i za ile?”. Towarem było wszystko, dosłownie i bez wyjątku.

opowieść barwna, bo ludyczna i łotrzykowska. Gatunkowo rozpięta między melodramatem a farsą. Życiowo między geszeftem

Bohaterowie Bazaru to zwykli ludzie, wysoko kształceni inteligent rzadko się z tym miejscem utożsamiał. Tutaj mawiało się sympatycznie „ynteligent z koziej dupy trąba”, ale nawet za najgłębszego PRL trzymało się dla inteligenta białe kruki światowej literatury i muzyki.

Różycki to też historia języka; szczególna składnia, akcent, melodia i poezja. Nigdy nie miały znaczenia religia, rasa, płeć, przemawiał interes. Bazar wymyślił multi-kulti na długo, zanim wpadli na to emancypacyjni aktywiści.

To wszystko było, już nie ma, niedawno znikło. „Szanże raz, szanże dwa, alle i gotowe – jak mawiali benklarze z książek



Grajek uliczny przy wejściu na targowisko, lata 60. Obok: obchody 101-lecia bazaru, 14 czerwca 2002 r. Poniżej: bywalcy, lata 80.

Wiecha. – No, któren przyważył, gdzie się kulka znajduje?” (Trudne słowa wyjaśnię dalej – autor).

Kulka

Wszystko zaczęło się bardzo po polsku. WXVII w. żyli jednocześnie Szmul Zbytkower i Stanisław August Poniatowski. Stanisław, król, pożyczał pieniądze od Szmula, Żyda, właściciela interesów, takich jak rzeźnie, cegielnie i gorzelnie. W dowód wdzięczności król wydzierżawił Szmulowi ziemie, które dziś jako części warszawskiej Pragi noszą nazwy Targówek i Szmulowizna (Szmulki).

Równie polskim sznytem kulka dziejów potoczyła się dalej: w XIX w. Julian Różycki, farmaceuta i przedsiębiorca, dał się namówić Manasowi Rybie, też przedsiębiorcy, na założenie bazaru na Szmulkach. Podobno Różycki, Polak, bazaru się wstydził i rzadko na nim bywał, natomiast Ryba, Żyd, przeciwnie – został jego zarządcą i pierwszą figurą. Pomysł Ryby na bazar, wówczas postępowy, polegał na tym, że mógł tutaj handlować każdy (po wpłaceniu czynszu za wynajem straganu). Geszeft szedł tak świetnie, że z wdzięczności Różycki dał Rybie kamieniec przy ul. Targowej 52 (dziś pod tym adresem mieści się Muzeum Warszawskiej Pragi). Ryba mógł doglądać bazaru z okien.

Żydowskie korzenie i założenia Bazaru Różyckiego, otoczonego żydowskim żywiołem dzielnicy Szmulki, w stolicy rządzonej przez Rosjan zaborców, przetrwały niezmiennie aż do końca tego miejsca, przez dwie wojny światowe, PRL, po wilczy kapitalizm lat 90. Handel dla każdego, podpatrzony u Żydów sposób reklamy

i zachwalania towaru, zręby gwary budowanej na jidysz, rosyjskim i kminie urków (dialekt przestępców) – to wszystko przeżyło samych Żydów, którzy nie wrócili na Pragę po Holokaucie. Słowa geszeft (interes), szwindel (oszustwo), miglanc (cwaniak), sztajmes (pijak, żul) albo dintojra (krwawa zemsta) były obecne na Różycu zawsze, z upływem czasu już jako codzienne, gwarowe polonizmy, bez wiedzy o źródłosłowach.

Ale to jeszcze nic. Właśnie dorosło w Warszawie pokolenie, które nie wie już także, co to był Bazar Różyckiego i gdzie się mieścił.

Elizjum

W połowie września 1944 r. Armia Czerwona wraz z 1. Armią Wojska Polskiego zdobyła warszawską Pragę. Niemcy, wycofując się za Wisłę, gdzie trwało powstanie warszawskie, zniszczyli most Poniatowskiego. Sowiecka ofensywa stanęła, Stalin nie chciał pomagać powstaniu. Przez kolejne cztery miesiące rzeka dzieliła Warszawę na dwa światy – lewy brzeg rujnowany i wykrwawiający się w walce, prawy kipiący życiem. Później wielu historyków i wspominaaczy będzie przypisywać ten prędko renesans unikatowemu żywiołowi mieszkańców Pragi – że przedsiębiorcze chojractwo (cwaniactwo) z mlekiem matek wyssało wiedzę, jak prosperować w każdej sytuacji na swój szemrany sposób – ale faktem jest, że zniszczony Bazar Różyckiego stanął na nogi z dnia na dzień. Olgierd Budrewicz (żołnierz AK, powstaniec warszawski, reporter, pisarz, varsavianista) opowiadał, jak po zamrożonej Wiśle przeszedł na Pragę, żeby sprawdzić krążące na martwym lewym brzegu ▶

► legendy o tutejszym luksusie. Stał na Targowej, przylegającej do Bazaru głównej ulicy Pragi: „Jezus Maria, gdzie ja jestem? Paryż? Pola Elizejskie? Tak, tu jest wszystko, nie tylko kielbasa, ale i kartofle, i chleb, nawet świeżawy, i karp. To było prawdziwe olśnienie”.

Można powiedzieć: wrócił przedwojenny kapitalizm. Wrócili na Szmulki dawni bazarowi geniusze handlu o ksywach z półświatka, pociągnęli za znane sobie sznurki powiązań i wydobyli na światło towary, które nie miały prawa istnieć. Od paćzka, poprzez mięso, po walutę i złoto (w socjalistycznych „okresach niedoboru” miało być na Bazarze tak samo, krążyło dumne powiedzonko o tutejszym „zatarowaniu” we wszystko: „bajery, rowery, damskie skutery, śrubki, nakrętki, kondony, dętki”). Pozostawała kwestia ceny – zawsze drogo, ale i tuż po wojnie, i potem dopuszczano handel wymienny oraz opcję towar za przysługę. Z uciążliwą przyfrontowością Pragi 1944 r. radzono sobie tak, że na czas trwania niemieckiego ostrzału handel zamierał na chwilę.

Ale nie trzeba było długo czekać – kulka Historii urosła i zaczęła wydawać nad Bazarom groźne odgłosy ideologicznych zmian („szanże raz, szanże dwa”). „Na Bazarze głupich nie było – spisałem te słowa pani H., emerytowanej handlarki w drugim pokoleniu, na początku lat 90. – Wiedziało się, że jak Ruski przyjdzie, to będzie robił „fikołki”, pozamyka nam budy i rozgoni. Czekają się, każdy patrzył, co będzie, czy się w ogóle da handlować. No i zobaczyło się w końcu krasnoarmiejców – wychudzone chłopaki ze wsi, zegarka taki w życiu nie widział, tam u nich bida aż piszczała. Przychodzili na bazar, mówili »machniom, machniom« (wymiana rzeczy), ale co oni tam mieli? Gówno mieli. Oczami przewracali, jak widzieli, jakim dobrem Warszawa handluje. Mówiło się, że nasi brali od nich pistolety, ale ja przy tym nie byłam”.

Brali, wiadomo. Szmulki miały też dużo broni ponemieckiej i przedwojennej. Raz, że na handel (ten towar będzie po cichu popularny na Bazarze Różyckiego przez kolejne dekady), a dwa, do obrony przed bandytami. Nowa komunistyczna władza przyszła na Bazar jako bandyta krótko po wyzwoleniu Pragi – siłowo.

Różyć odpowiedział siłą. „Ferajniarz”, jeden z bohaterów książki o bazarze „Niebieski syfon” Piotra Kuleszy, mówił o tych pierwszych starciach: przyszło kiedyś kilkunastu w cywilu, z opaskami MO (milicja obywatelska), mieli siekiery, zaczęli rąbać bazarowe kramy: „Ale wieśniaki, źle trafili. Oni za siekiery, to chłopaki za noże. W końcu doszło do strzelaniny i ten ich główny milicjant dostał prosto w głowę (...). Milicjant, obojętnie granatowy czy czerwony, to była dla wszystkich parszywa gnida! Nieraz dochodziło do strzelaniny. Każdy chłopak na ulicy miał broń. (...) To była nasza ulica! Nasz bazar!”.

Martyrologia

Czerwiec 1945 r. – oficjalne otwarcie Bazaru Różyckiego po wojnie. Ukonstytuował się nawet oficjalny komitet organizacyjny (dziś powiedziałoby się inicjatywa obywatelska albo i szumnie NGO) z siedzibą przy Brzeskiej (ulicy pięknej secesją, ale najbardziej na Pradze szemranej). I nagle naród polski (Warszawa, potem prowincja) widzi jak na dłoni dziwność powojennego rynku i nowej, socjalistycznej władzy: w przejętych przez państwo sklepach nie ma nic, ludzie głodują, nie mają się w co ubrać, lekarstw brak, pensje wypłaca się w deputacie kartoflanym. Na Bazarze jest wszystko. Drożej, ale jest. Można powiedzieć, że kapitalistyczny Różyć odpowiada na zapotrzebowania społeczne i najczęściej powtarzane wśród westchnień marzenie gospodyń domowych w PRL: „Niech kosztuje, ile chce, ale żeby było”.

Władza socjalistyczna dłużej tego znosić nie mogła. Wjeżdża propaganda na sowieckich wzorach: Bazar to „szkodniczo gospodarcze” i „wrzód na zdrowym ciele społeczeństwa”,

„spekulantom śmierć”, „bumelantom, kułakom i wrogom demokracji mówimy nie”, „elementy częstokroć pozbawione zdrowej etyki kupieckiej” (to ostatnie konkretnie o handlarzach z Różyckiego).

Wjeżdża ustawodawstwo i nekujące przepisy: państwowa Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym; wymierzona w handel bazarowy ustawa o zwalczaniu drożyzny; likwidacja prywatnych hurtowni zaopatrujących Bazar w towar; zrównanie cen oficjalnych z bazarowymi; nacjonalizacja Bazaru; „Akcja H” – zdelegalizowanie prywatnego uboju, z którego czerpie Bazar.

Koniec lat 40. i początek 50. przejdą do historii PRL jako „bitwa o handel”. W przypadku Różyca będzie to często bitwa dosłowna – na pięści, noże i spryt – zjednoczony praski ludek stanie do walki z potężną machiną władzy, jak potrafi. Będzie odpierał milicyjne naloty i wymierzał własną sprawiedliwość kapusiom, będzie budował legendę, śpiewał rzewne i okrutne ballady do melodii akordeonów i instrumentów szarpanych (z pieśni Stanisława Grzesiuka: „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka/ chcesz z nami zacząć, to se przedtem trumnę kup”). Ale też tą samą metodą – siłową – Bazar będzie rozwiązywał swoje problemy aż do końca (ostatnim aktem „bitwy o handel” na Szmulkach staną się smutne mordobicia między samymi kupcami z Bazaru na początku XXI w).

Na razie, za Stalina, kogo władza złapała na Bazarze na nielegalnym handlu (ściślej: kto dał się złapać albo go wsypali), trafił dobytek i sędzi na długi wyrok do obozu pracy w Mielęcinie koło Włocławka. Obóz ten, zorganizowany według hitlerowskich wzorców, miał „prywaciarza” złamać głodem i ciężką, bezsensowną pracą (jak kopanie dołów po to, aby je zasypać, i tak w kółko). I ludzie się łamali. W Archiwum Akt Nowych zachował się poruszający zapis walki o uwolnienie Agaty Lesińskiej, w której domu „ujawniono” 38 kg słoniny. Zaczęło się od donosu Zbigniewa Malińskiego, mieszkanka Targówka, robotnika. Czujny obywatel zauważył, że kobiety związane z Bazarom Różyckiego stoją o określonych porach na szlaku koło Dworca Wschodniego, by sprzedawać słoninę pasażerom pociągu relacji Moskwa–Berlin. Lesińska się nie przyznała, ale wsypały ją dwie inne handlarki. Następne lata spędziła w Mielęcinie, w domu została chora córka i nieradzący sobie z życiem mąż, grożący samobójstwem. Skazana wysyłała dziesiątki podań o łaskę, chciała ratować rodzinę. Pisali córka i mąż („i z okna wyskoczyłam pragnę, bo zdaje mi się, że w ten sposób prędzej odzyskam ukochaną a cierpiącą mamusię”). Komisja Specjalna nie znalazła podstaw dla łaski, Lesińska „odpękała od wojtka do wojtka” (cały wyrok).

Benkel

Z perspektywy czasu, kiedy Bazar z samozwańczej legendy kapitalizmu pływającej w nieco mętym, knajackim sosie kulturowym warszawskiej Pragi stał się przedmiotem badań socjologów i historyków, widać dokładnie całą jego potęgę organizacyjną. Była to organizacja oddolna, o nigdzie nie spisanych regułach, oparta na solidarności i honorze (dobre strony charakternej etyki złodziejskiej z ul. Brzeskiej rodem), ale chyba bardziej na pieniądzu. Ważna była też wspólnota miejsca, Szmulki niczym wieś, gdzie wszyscy o sobie wiedzą. I ten nerwowy system powiązań, gdzie kara za zdradę przeciw swoim wymierzana jest natychmiast. Jak mówiła H., była handlarka: „Wiedzieliśmy, że w kupie mogą nam naskoczyć”. Fakt: im bardziej władza chciała Bazar zniszczyć, tym bardziej jej się nie udawało.

Pięknie to pokazuje reporterska książka Marka Millera „Co dzień świeży pieniądź, czyli dzieje Bazaru Różyckiego” (wyd. w 2020 r., przez Fundację Laboratorium Reportażu). Książka ma konstrukcję otwartą, może być uzupełniana o nowe opowieści i dzięki temu

właściwie nigdy się nie skończyć. Ale ważniejsze jest co innego: to historia mówiona, bez publicystycznych ściemnień, bardziej „zmontowana” niż napisana. Bo powstawała tak, że materiały, rozmowy, zbierali przez lata studenci LR – dzięki temu mówią tu o Różyckim tylko ci, co mają coś do powiedzenia. Miller napisał w posłowniu, że chciał oddać książką hołd „badylarzowi” i „prywatniarzowi”, postaciom pogardzanym w Polsce przez dziesięciolecia tylko dlatego, że ośmieliły się uczynić sztukę życia z zarabiania pieniędzy, a nie z romantycznej śmierci od kulki na polu chwały.

Czyta się to jednym tchem, łąpczywie. Stają przed oczami mali bogowie Szmulowizny, zawsze tu obecni w klechdach: szynkarz Wicuc Marynarz i bokser Kolczyński (byli przyjaciółmi, leżą na Bródnie grobami głowa w głowę); Miecio Szaleciarz (spełniony dewiant,



Reklama mody damskiej.

który podglądał na Bazarze tyłki klientów); Ferajniarz, Piękny, bard Wielanek w wersji z bandżolą i akordeonem; złodziej, który – gdy zarzucają mu szulerowanie w kartach – na dowód uczciwości wbija sobie nóż w wątrobę; cała rzesza bezimiennych, łagodnych i brutalnych zakapiorów z Ząbkowskiej i Brzeskiej; handlarek warzywem, mistrzyni pyz i flaków gorących; skubaczek pierza; zlociarzy, waluciarzy; cygańskich rodzin sprzedających patelnie własnego wyrobu. Szeregi milicjantów i ubeków, którzy najpierw infiltrują Bazar, a na emeryturze przenoszą się tu handlować (jest teoria, że to milicja pozwoliła Różyckowi przetrwać – funkcjonariusze żyli z łapówek od kupców, a zdarzało się też, że załatwiali odpłatne przysługi kolegom z prowincji: np. kilkanaście lewych świadectw maturalnych dla całego komisariatu z zachodniej Polski).

W tej budzie, proszę państwa, wielcy aktorzy Dymusza i Fijewski stalowali sobie palta zimowe. W tamtej płaszcz kupował Wiech, mistrz warszawskiego felietonu, który po wojnie przeniósł się tematycznie na Szmulki i Targówek, bo tu znalazł nienaruszoną tkankę miasta. Wiech napisał piękny fragment o benkle („szanze raz, szanze dwa”). Benkel to był odwrócony do góry dnem kosz na śmieci, na którym fachowcy organizowali grę w znajdź kulkę

lub w trzy karty. Wygrać się nie dało, oni mieli system i całą brygadę obstawiaczy. Rozlegał się krzyk i nagle benklarze znikali z całym interesem, zostawiając oskubaną z pieniędzy ofiarę. Na benkle zaczynał legendarny już mafioso Henryk Niewiadomski „Dziad”. Z benklarzy wzięły się mafie: Pruszków, Wołomin, Rympałek...

W tym miejscu autor tego artykułu wyznaje: urodziłem się, wychowałem i przez większą część życia mieszkałem na Szmulowiznie, potem Targówku. Do życia długo starczały mi ulice: Kawęczyńska, Ząbkowska, Brzeska i Kijowska. Podlegałem wszystkim przez Bazar dyktowanym modom: od pyz, przez pocztówki dźwiękowe, zegarki z melodiami i turecki džins. Koledzy sprzedawali tam „ciepłe” walkmany marki „Kajtek”, a z czasem i większy asortyment. Pamiętam, jak w połowie lat 90. M., były kolega z ławki szkolnej przy Kawęczyńskiej, pokazał mi „cud na Brzeskiej”: jego BMW z kluczykami w stacyjce zostawiliśmy pod samą bramą Różyca, patrzyliśmy z daleka, podchodzili różni, mieli zamiary, ale nikt nie tknął. Kolegi poszukiwali potem antyterrorysty, ale nie wiem z jakiego powodu – nie było mnie przy tym. Pracowałem w dziale miejskim „Expressu Wieczornego”, pisałem stałe rubryki z Bazaru, targu staroci na Kole i Stadionu X-lecia, więc losami M. się zupełnie nie interesowałem.

Miller przypomniał mi odwieczną topografię Różyca, od Brzeskiej drób i ryby, smród końskiego łajna; od Targowej szczeniaki, pączki, flaki/pyzy, naręczniacy z podrabianym lacoste i świeżo wyprodukowane w okolicy Bazaru buty marki Bata; od Ząbkowskiej duperele i jatki mięsne. A w środku dużo serdeczności i poczucia humoru. Wybaczcie mi podniosły ton tej „ody” i pisanie „Bazar” wielką literą. Dla mnie to nie jest pretensjonalne.

Jęzor

Wydaje się, że za wolności najpierw zniknął z Bazaru „jęzor” – to charakterystyczne, słowotwórcze niezamykanie się gęby, składnia oparta na umiejętnym, intuicyjnym, obliczonym na efekt połączeniu słowa wielkiego („górnolotu”) z kminą, grypsersą, jidysz, rusycyzmem, gwarą wiejską („dolnoptukiem”). Przez dekady niemal każde słowo miało swój odpowiednik na Bazarze, niezrozumiały dla obcych. Zanik tego, to był zły znak.

„Znakiem tego” (jak by napisał Wiech) Bazar Różyckiego przetrwałszy cara, pierwszą wojnę, Piłsudskiego, drugą wojnę, Stalina, Gomułkę, Gierka, stan wojenny i Solidarność, podatki, domiary, więzienia, nagonki, niewyjaśnione pożary, milicyjne pałowania, najazdy ludzi mafii, pokazowo „wyłożony się” na wolnej Polsce. Niektórzy mówią: Unia. Inni: mafia.

Najwięcej tych, co powiedzą: winni Wietnamczycy, Ruscy handlujący badziewiem, Jarmark Europa na Stadionie X-lecia, konkurencja supermarketu „Wileńska”, miasto. Mówią też: winni bazarowi spółdzielcy, którzy wzięli się za łyby i utrupili to miejsce na amen, aż wygląda tak, jak proszące o uwagę hospicjum bez odwiedzających.

Koniec lat 90. i początek dwutysięcznych, co wyczerpująco pokazuje książka Marka Millera, to już mało handlu, a więcej zbrojnych najazdów zwaśnionych spółdzielni handlarskich w obstawie ochroniarzy – celem zajęcia terytorium Bazaru dla siebie i swojej idei rewitalizacji (ładny supermarket kontra stylizowane kocie łyby i stragany dawnych Szmulek). Było dużo rannych i poszarpanych.

Zostało malutko, tyle co nic, jakież tylko mgliste projekty, co by tu dalej. Czyli jak w tym fragmencie z Wiecha („szanze raz, szanze dwa”), od którego zaczynał się ten tekst: nikt nie przyuważył, gdzie się faktycznie kulka znajduje, a tylko z publiki ktoś krzyknął obelżywie: „w dupie!”.

Chama wyprowadzono, na Bazarze obowiązywała kiedyś swoista kultura.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Bardziej rozważne niż romantyczne

O tym, dlaczego pannie na wydaniu w XIX w. opłacało się poślubić 30 lat starszego mężczyznę i dlaczego bardziej niż uczucia liczył się posag, opowiada dr Alicja Urbanik-Kopeć.



Mieszczańska rodzina w salonie, koniec XIX w.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: – XIX w. to dla kobiet jeden z najmroczniejszych okresów w dziejach, głównie poprzez kontrast, bo gdy mężczyźni rozwijali naukę, tworzyli nowoczesność i zdobywali fortuny, wciśniętym w gorsety niewiastom przypadła rola ich cienia. Miała rację Eliza Orzeszkowa, która napisała

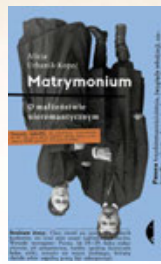
w „Marcie”: „Kobieta musi koniecznie ucześć się mężczyzny, jeśli chce żyć”?

ALICJA URBANIK-KOPEĆ: – Warunki życia w dziewiętnastowiecznej Europie stawały się podobne do naszych, ale podział obowiązków w rodzinach z wyższych warstw społecznych był bardzo sztywny – mężczyźni chodzili do pracy, kobiety dbały o dom. W konsekwencji istniała

ogromna różnica pomiędzy tym, co wolno było kobietom, a co mężczyznom, którzy cieszyli się przywilejami na każdej możliwej płaszczyźnie. W sferze obyczajowości wiązało się to z podwójną moralnością. Od każdej kobiety wymagano wierności, czystości, naiwności, podczas gdy mężczyzn uważano za istoty seksualne, które muszą realizować swoje



Dr **Alicja Urbanik-Kopeć**, kulturoznawczyni z Instytutu Historii Nauki PAN, jest badaczką XIX-wiecznej nowoczesności, zwłaszcza emancypacji kobiet w Królestwie Polskim, i autorką nagradzanych książek „Anioł w domu, mrówka w fabryce”, „Instrukcja nadużycia. Historie kobiet służących w dziewiętnastowiecznych domach”, „Chodzić i uśmiechać się wolno każdemu. Praca seksualna w XIX wieku na ziemiach polskich” i najnowszej „Matrymonium. O małżeństwie nieromantycznym”.



naturalne potrzeby. Dlatego przyłapano na zdradzie kobiety spotykały się z ostracyzmem, ale panowie powszechnie korzystali z usług pracownic seksualnych, utrzymywali kochanki i gwałcili służące. Ponieważ mężczyźni z warstw wyższych przepełniali głębocka pogarda wobec kobiet z ludu, współżycie seksualne z nimi w ogóle nie było traktowane w kategoriach zdrady.

Brak szacunku dla kobiet pracujących był powszechny. Robotnice w fabryce, guwernantki czy służące były fatalnie opłacane, niedoceniane, pogardzane. Czy wraz z industrializacją kobiety nie stały się najbardziej wykorzystywaną grupą społeczną?

Industrializacja i rosące miasta bardzo potrzebowały kobiet i dzieci do wykonywania drobnych, nudnych i najgorzej płatnych prac. Cała przemysłowa praca nakładczą stała kobietami – one robiły zapakki, skręcały papierosy, kleiły pudełka. W przemyśle włókienniczym, jednym z najpopularniejszych w Królestwie Polskim, ponad 50 proc. pracowników stanowiły robotnice, pobierające połowę pensji robotnika. Według spisu powszechnego z 1897 r. w miastach 30 proc. wszystkich zatrudnionych to była służba domowa z 90-proc. udziałem kobiet. Jeśli doliczymy do tego szwaczki, sprzedawczynie, praczki, bony, zalegalizowane pracownice seksualne, to mamy ogromną rzeszę zarabiających kobiet. Ich pracę uważano za gorszą, chociaż to one pozwalały bogacić się fabrykantom i funkcjonować ludziom z klas wyższych. W stopniu nie do wyobrażenia, skoro gros z nich nie potrafiło się samodzielnie ubrać, ucześć, zrobić sobie herbaty, nigdy nie nalali wody do wanny, nie zamietli podłogi i nie zmyli naczyń.

Czy to nie dotyczyło tylko najzamożniejszych?

Właśnie nie, bo podstawową cechą odróżniającą warstwy wyższe od niższych było posiadanie służby, która stanowiła rodzaj dystynkcji klasowej. Dziewczynę ze wsi do pomocy miała żona aptekarza, tramwajarza, policjanta, a nawet ci, których na nią nie było stać, więc

karmili je resztkami i płacili marne-go rubla czy dwa miesięcznie za niezwykle ciężką fizyczną pracę. Dlatego dziewczyny pracowały do 25. roku życia, a potem na gwałt szukały męża, zanim zachorowały na reumatyzm od trzymania rąk w zimnej wodzie albo dostały przepukliny czy zwyrodnienia kręgosłupa od noszenia ciężarów.

Wokół planowania małżeństwa kręciło się życie kobiet. Czy w Królestwie Polskim giełdy małżeńskie wyglądały tak jak w powieściach Jane Austen?

Zajmują się raczej wnuczkami kobiet opisywanych przez tę pisarkę, ale sposób szukania męża w klasach wyższych w końcu XIX w. był bardzo podobny. Kobiety nie miały możliwości kształcenia się i decydowania o sobie, więc panowało powszechne przekonanie, że jedynym życiowym sukcesem i sposobem na życie jest dla nich dobre zamążpójście. Wokół tego narósł system społeczny, który miał im to umożliwić. Były to aranżowane spotkania towarzyskie. Jadwiga Kopeć, która urodziła się w latach 80. XIX w., wspomina swą przyjaciółkę Ninę, córkę fabrykanta spod Łodzi, której rodzice wynajęli w Warszawie mieszkanie i każdego dnia organizowali w nim fajfy – proszone herbatki. Przychodzili na nie znajomi z synami i przynosili kwiaty, a zadaniem 17-letniej panny na wydaniu była gra na pianinie.

Udało się jej znaleźć dobrą partię?

Niestety, trafiła na łowcę posagów – pan młody kłamał, że ma majątek ziemski pod Sieradzem, i miesiąc po ślubie rodzice Niny wnieśli o unieważnienie jej małżeństwa. Właśnie ze względu na takich oszustów rodzice często decydowali się na oddanie córek w ręce znacznie starszych, znanych sobie i już dobrze sytuowanych mężczyzn. Wydanie 17-latkę za 20-letniego studenta niosło ryzyko, bo nie wiadomo było, czy skończy on studia, czy zdobędzie dobrą posadę, w konsekwencji zaś – czy zapewni życie na poziomie. Ponieważ kobieta z klasy wyższej nie zarabiała, tylko generowała koszty, system społeczny wytworzył instytucję posagu, który przechodził na własność męża w momencie

podpisania u notariusza pokwitowania posagu.

I kobieta traciła prawa do tych środków?

Zależy, jakiego rodzaju umowę podpisywano, jeśli intercyzę – to nie. Mąż mógł też dostać posag w zarząd, dzięki czemu kobieta miała wiedzę o tym, jak inwestowane są jej pieniądze. Jednak zazwyczaj posag przechodził na własność męża. Może się to wydawać pragmatycznym sposobem kupowania męża, ale nie do końca tak było. Należy wziąć pod uwagę jedną sprawę – każdy mężczyzna chciał pokazać, że stać go na żonę niepracującą, ale dla średnio zarabiającego urzędnika taka kobieta wraz z przyszłymi dziećmi stanowiła ogromne obciążenie finansowe. Jej pieniądze z posagu kładło się więc do banku na lokatę ze stałym oprocentowaniem i comiesięczne dochody były rodzajem jej pensji na utrzymanie. Choć oczywiście zdarzali się mężowie, którzy cały posag wydawali na pokrycie długów i w rezultacie zostawiali swoją połowę z niczym.

Niewykształcone panny nie miały pojęcia o finansach i to rodzice musieli zadbać, by zapewnić im dobry alians i w miarę możliwości awans.

To się zmieniało po powstaniu styczniowym, po którym doszło do gigantycznej transformacji nie tylko politycznej czy ekonomicznej, ale i społecznej. Badacze mówią, że w Królestwie Polskim na krótko zapanował matriarchat, bo represje zabrały mężczyzn. Emancypantki, takie jak Narcyza Żmichowska, namawiały kobiety, by zaczęły się kształcić i stały się bardziej świadome, a przez to i samodzielne. Pisały, że dziewczęta muszą być niezależne, bo bolesne doświadczenie powstania udowodnia, że „nikt na nie z pomocą nie czeka”.

Jedną z patronek 2023 r. jest Jadwiga Zamoyska, która założyła szkołę dla kobiet. Z tym że ona nie uczyła ich matematyki, chemii czy geografii, ale tego, jak mają dobrze zajmować się domem. To raczej staroświecki model edukacji.

Jadwiga Zamoyska nie była emancypantką. Ta arystokratka została wydana za 30 lat starszego wuja (dostali dyspensę od papieża), schorowanego bohatera powstania, dla którego miała być pielęgniarką. Jako osoba bardzo religijna uważała to za dopust boży, ale próbowała wykonywać wszystkie obowiązki, jak umiała, chociaż w prowadzeniu domu nie pomagała jej ani znajomość sześciu języków, ani gra na pianinie. Po powrocie z emigracji w Paryżu i śmierci męża założyła w Kórniku szkołę, w której uczyła ►

► dziewczęta tego, czego sama nie umiała, wychodząc za mąż: sprzątać, gotować, prać, robić świece i konfitury, wypłacać kosze. Według niej praca w domu czyniła kobiety przydatnymi, dawała im siłę, poczucie sprawczości i niezależności. Jej szkoła kształciła gospodynie doskonałe. Kończące ją arystokratki miały umieć zarządzać służbą, a pochodzące z ubogich rodzin stypendystki mogły dzięki niej pracować zarobkowo, np. jako certyfikowane kucharki.

Tego, jak być dobrą gospodynią, można się było też uczyć z podręczników i poradników, które zaczęto wydawać w końcu XIX w.

Zabawno, że powstawało ich tak dużo i to zarówno z radami dla pań domu, jak i z instrukcjami sprzątania dla służących, chociaż powszechnie uważało się, że kobietom naturalnie przychodzi pewne czynności, jak zajmowanie się dziećmi (bo instynkt macierzyński), szycie (bo są skrupulatne i mają delikatniejsze palce) czy sprzątanie (bo są bardziej czułe na bałagan). Podręczniki, poradniki i szkoła Zamyskiej dowodzą jednak, że nie istnieje coś takiego jak instynktowna umiejętność prowadzenia domu.

Swoją drogą tworzenie tej wyidealizowanej „domowości” było potwornie angażujące, dzień pani domu i jej służącej był wypełniony od rana do późnego wieczora.

Oj tak. Ogromna presja, by wszystko w tym burżuazyjnym domu było czyste, estetyczne, zapraszające, smaczne, ładne i bezpieczne, wymagała od kobiet ogromnych nakładów energii i sił intelektualnych. Jednak feministki końca XIX w. zaczynały przypuszczać, że kultura zmusza kobiety do robienia tych wszystkich powtarzalnych czynności po to, by odciągnąć ich uwagę od rzeczy istotnych. I coś w tym jest, bo gdy zmuszonym się jest do liczenia, ile majtek oddano do pralni, myślenia o tym, kiedy wywoskować podłogi, umyć okna, nastawić konfitury, podlać kwiaty i codziennie przygotować inny obiad składający się z dwóch mięsnych lub rybnych dań oraz deseru, to nie ma czasu, by myśleć o czymś innym.

Mówimy o klasie wyższej.

A co z tą niższą, co z robotnicami, prostytutkami, szwaczkami? Czy one w tym natłoku prac miały czas na małżeństwo?

I tu znów paradoks, bo chociaż ówczesni intelektualiści pisali, że kobiety z klas wyższych nie nadają się do pracy zawodowej, bo są zbyt delikatne, emocjonalne, nie mają ambicji i siły woli,

to o pracujących fizycznie niczym mrówki kobietach z warstw niższych pisali, że nie muszą wychodzić za mąż, bo mają własne pieniądze. Choć dobrze wiedzieli, że warunki życia robotnic są nie do pozazdroszczenia. Mimo to robotnice chciały wychodzić za mąż i wpłacały pieniądze na kasy posagowe, co dowodzi, jak silna była presja małżeńska. Kobiety ze swych marniutkich pensji wpłacały co miesiąc składki, ale nie mogły wyciągnąć pieniędzy, gdy zachorowały lub były niezdolne do pracy, tylko wtedy, gdy brały ślub. To pokazuje, że mąż był dla kobiety odpowiednikiem funduszu emerytalnego i ubezpieczenia ZUS.

Aby go znaleźć, można było umieścić ogłoszenie matrymonialne, choć częściej robili to mężczyźni niż kobiety. Drukowane w gazetach anonse zawsze informowały o wieku, wyglądzie, ilości posiadanych pieniędzy. Aspekt finansowy zdawał się najważniejszy w kontekście poszukiwania męża czy żony.

Ludzie zawsze pobierali się z różnych powodów. Ale w społeczeństwie, które tak silnie upośledzało kobiety ekonomicznie, wytworzył się bardzo merkantylny system instytucji małżeństwa. Można odnieść wrażenie, że małżeństwo to transakcja ekonomiczna, w której uczucia nie były najważniejsze. Ogłoszenia matrymonialne są emanacją tego chorego systemu – panowie szukali kobiet młodych i ładnych, najlepiej z posagiem o określonej wysokości. Mieli też konkretne oczekiwania, np. żeby kandydatka na żonę miała ojca dentystę. Albo chcieli panią z apteką lub sklepem żelaznym, bo zależało im na koneksjach w branży lub zawodzie, który sami uprawiają. Ale były też anonse ziemian bez grosza, którzy informowali, że szukają posażnej panny, by wyremontować swoją posiadłość.

Preferowano małżeństwa w tej samej klasie społecznej.

Co nie jest dziwne. Osoby z różnych klas, jeśli się pobierały, były narażone na nieprzyjemności. Jednymi z najbardziej znanych przykładów są małżeństwa Włodzimierza Przerwy-Tetmajera oraz Lucjana Rydla, którzy ożenili się z córkami chłopca z Bronowic. To był mezalians nie tylko finansowy, ale i środowiskowo-klasowy, który stanowił ogromny szok dla krakowskiego mieszczaństwa. Z tym że podczas gdy należącym do bohemy artystom wybaczone, to ich żony – Jadwiga i Anna – nie posmakowały rzekomego awansu, bo przy niezaradnych życiowo mężach musiały

zajmować się dziećmi, prowadzić dom, uprawiać ogródek i zarabiać, sprzedając mleko na rynku.

Dość powszechną praktyką było kupowanie tytułów, na co konserwatyści też patrzyli jak na mezalianse.

Przykładem są cztery córki Jana Blocha, potentata kolejowego, jednego z najbogatszych mieszkańców Królestwa Polskiego – dzięki swym ogromnym pieniądzom wydał je za polskich arystokratów. W XIX w. na Zachodzie mówiło się o „dolarowych księżniczkach”, czyli córkach amerykańskich przemysłowców, którzy, zaspokajając swoje wielkie aspiracje, wysyłali je do Anglii jako żony brytyjskich arystokratów. Dzięki gigantycznym posagom utytułowani mężowie spłacali długi i remontowali rozpadające się posiadłości. Jedną z prababć Diany Spencer była właśnie taką dolarową księżniczką – nazywała się Frances Work, a jej ojcem był niezwykle bogaty nowojorski makler giełdowy. Zresztą alianse między biznesem i arystokracją nadal mają się doskonale.

Mezaliansom nie dawano szans powodzenia. A czy są jakieś przykłady udanych związków, które w XIX w. oburzały opinię publiczną?

Jasne, chociażby rodzice pierwszej polskiej lekarki z dyplomem Anny Tomaszewicz-Dobroskiej. Jej matka pochodziła z ziemiaństwa, a ojciec był zrusyfikowanym oficerem w żandarmerii rosyjskiej, więc ich związek stanowił skandal patriotyczno-narodowy. Mimo to prze-trwali i wychowali oraz wykształcili trzy córki i syna. Przyznam jednak, że jako historyczce trudno mi jednoznacznie stwierdzić, gdzie te uczucia były, a gdzie ich nie było.

Niełatwo doszukać się w XIX w. miłości i romantyzmu w małżeństwie, ale tak wielki dystans między płciami, wymuszający tłumienie uczuć, sprawiał, że był to czas popularności namiętych romansów.

Wszystko przez kontrast między sztywnym konwenansem a buzującymi pod powierzchnią uczuciami, które starano się w kreatywny sposób wyrażać. Z drugiej strony materialistyczne podejście do związków małżeńskich i cyniczny rynek matrymonialny powodowały, że trudno było znaleźć partnera o szczerych intencjach. Dlatego tak wiele osób traciło nadzieję na znalezienie kogoś, z kim miałyby się więź emocjonalną. Opowieści o tym, że w tak niesprzyjających okolicznościach gdzieś jest prawdziwa miłość i pożądanie, działały na wyobraźnię.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

80. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim



Za tydzień
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt-pulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”



na ekranie

Takie buty 5/6

Air, reż. Ben Affleck, prod. USA, 112 min

To nie jest film o Michaelu Jordanie, legendarnym koszykarzu NBA, uznawanym za najlepszego sportowca wszech czasów, chociaż wszystko się tu kręci wokół jego marzeń i dopiero nabierającej rozpędu kariery. „Air” odsłania kulisy żmudnych negocjacji handlowo-marketingowych z 1984 r. mających na celu przekonanie go do niezawierania umowy z doskonale radzącą sobie konkurencją i podpisania kontraktu z nielubianą przez niego marką Nike. Jordan nie był wtedy jeszcze gwiazdą przynoszącą miliardowe zyski swoim sponsorom, a concern Nike jedynie dzięki przeczcuciu i uporowi świeżo zatrudnionego dyrektora Sonny’ego Vaccaro (**Matt Damon**) zdołał te negocjacje zamknąć z korzyścią dla siebie. Wydaje się, że ubijanie interesu z firmą produkującą buty to tematyka średnio atrakcyjna, przynajmniej jak na widowisko mające w tle rywalizację sportową. Tym większe

zaskoczenie, gdyż film, mimo iż jest mocno przegadany i brakuje w nim pasjonujących popisów na parkiecie, ogląda się wybornie. Pomagają dowcipne, błyskotliwe dialogi gwarantujące odpowiednią ilość zwrotów akcji i wysoką temperaturę słownych pojedynków managementu. Obok Damona grającego zaniedbanego wizjonera ze sporą nadwagą na wyróżnienie zasługuje też Viola Davis w roli wyciszonej, lecz twardo stąpającej po ziemi matki Jordana (to dzięki jej naciskom dochodzi do zawarcia historycznego kontraktu), oraz Ben Affleck zarówno jako charyzmatyczny, mający obsesję na punkcie buddyzmu szef Nike, jak i reżyser całego przedsięwzięcia. Sukces „Air” to także zasługa jasno płynącego z ekranu przesłania dotyczącego niesprawiedliwego wynagradzania, niedzielenia się z ludźmi, którzy przynoszą wielkim korporacjom bajkowe zyski. Kontrakt zawarty przez Jordana, dający mu prawo do procenta od wpływów ze sprzedaży butów, okazał się przełomowy. Skorzystali na tym także inni sportowcy egzekwujący podobne przywileje. Co ciekawe, założona rok temu przez Afflecka i Damona firma Artists Equity (producent „Air”) działa według zasad zapewniających podział zysków dla wszystkich zatrudnionych w niej pracowników. Składając hołd Jordanowi, przy okazji twórcy wyznaczają więc nowe standardy. Pytanie, czy za tym przykładem pójdą inni.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

w telewizji

Paranoja w bejsbolówce 4/6

Rabbit Hole, twórcy serii: John Requa i Glenn Ficarra, 8 odc., SkyShowtime

Nowy serial z **Kieferem Sutherlandem**, obrońcą świata z kultowych „24 godzin” czy „Designated Survivor”, zaczyna się w konfesjonale. Skołowany i zmęczony bohater musi zrelacjonować wypadki ostatnich tygodni, bo może dzięki temu sam się zorientuje, „what the fuck is going on”. Książdz nadaje się na słuchacza nie tylko z powodu tajemnicy spowiedzi, ale przede wszystkim dlatego, że wzbudza najmniejsze podejrzenia w człowieku, który zawodowo, z charakteru i wychowania



nie ufa nikomu, a teraz został wpakowany w ciąg zdarzeń przerastających nawet jego paranoiczny obraz świata. John Weir jest bowiem superszpiegiem korporacyjnym o dość

nietypowych metodach działania, który z łowcy staje się zwierzyzną łowną, a poluje na niego tajemnicza i potężna organizacja planująca zniszczyć demokrację w USA. „Rabbit Hole”, ocenając po pierwszych czterech odcinkach, to akcyjniak w typie „24 godzin”, wypełniony teoriami spiskowymi i zaskakujący częstymi zmianami tonu (scenarzyści mają na koncie także komedie i seriale obyczajowe). Co chwila ktoś okazuje się kimś innym, niż się wydawał, wrogowie i sprzymierzeńcy wymieniają się rolami, podejrzani są wszyscy, trup pada gęsto i z dużych wysokości, a zdarzają się też zmartwychwstania. Żeby dobrze się bawić, oglądając, trzeba machnąć ręką na absurdy i niedorzeczności, na których trzyma się akcja. Z drugiej strony – są też momenty zabawne, trochę ironii i mruklawy Kiefer Sutherland, któremu nieźle partnerują Meta Golding i Charles Dance.

ANETA KYZIOŁ

Poczuć i przeżyć 5/6

Moja żona odeszła z naszą terapeutką, czyli jak zakończyć wieloletni związek i nic przy tym nie poczuć, tekst i reż. Michał Sufin, muzyka Radek Łukasiewicz, Klub Komedii w Warszawie

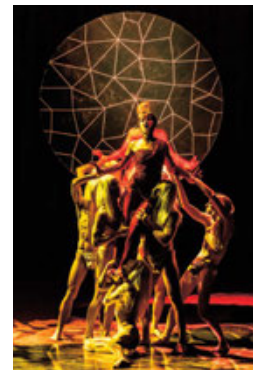
Przez niemal dekadę istnienia Klubu Komediiowego Michał Sufin ze współpracownikami wielokrotnie udowodnił, że nie ma tematu, którego nie można z powodzeniem podjąć w formie komediowo-lirycznych scenek przerywanymi piosenkami. Wystarczy przypomnieć, że poprzedni spektakl, „Jak być Polakiem i niedrogo za to zapłacić”, opowiadał o polskości z perspektywy galopującej inflacji i rosnących stóp procentowych. W najnowszym, „Moja żona odeszła z naszą terapeutką...”, **Bartosz Szpak** i Małgorzata Mikołajczak grają rozwodzące się małżeństwo (z dwójką małych dzieci), a w paradzie dialogów, monologów i piosenek z pomocą – często dość specyficznym rozumianą – spieszą im krewne, psycholożki, kołcze i „empatodeweloperzy” (świetni **Monika Pikuła**, Joanna Halinowska, **Wiktoria Wolańska**, Mateusz Lewandowski). Wśród porad, m.in.: „Kiedy utkniesz w życia lobby/ znajdź se hobby/ Proste choćby/ by ze zmianą nie przedobrzyć/ W drobne hobby/ zrób dziś hop ty”, ale są też cukiereczki na poprawę nastroju, szczerze rozdawane (także widzom) przez recepcjonistkę z ośrodka Radosna Synapsa. Sufin jak zwykle wspólnie bawi (się) językiem, tym razem ze szczególnym naciskiem na żargon psychoterapeutyczny, i zręcznie przeplata humor z liryką i melancholią. Tej ostatniej jest w tej „komedii rozwodowo-muzycznej” więcej niż zwykle i to z pewnością wyróżnia ten spektakl na tle produkcji Klubu Komediiowego. AK



Mityczna ofiara przemocy 4/6

Astor Piazzolla, **Maria de Buenos Aires**, reż. Wojciech Faruga, Teatr Wielki – Opera Narodowa

Tango-operita, jak został określony ten utwór, tworzy mit i opowiada o nim w sposób poetycki i nieco hermetyczny, jeśli chodzi o słowo (tekst: Horacio Ferrer) – jednak muzyka jest, jak to twórczość autora *nuevo tango*, namiętna, choć też na swój sposób wyrafinowana. Dlatego interesowali się nią nie tylko wykonawcy tanga, lecz także bardziej ambitni artyści z Gidonem Kremerem na czele. Realizacja na scenie kameralnej Opery Narodowej opiera się na dramaturgii Mikity Ilyinychyka, Białorusina działającego obecnie w Bydgoszczy, podobnie jak reżyser Wojciech Faruga, a choreografię stworzył Krystian Łysoń. Tytułowa Maria to bohaterka plebejska, grzeszna i święta, kochana i nienawidzona, umierająca parę razy i powracająca jako duch i alegoria miasta fascynującego i piekielnego. Wiele jest tu aluzji do Marii, matki Chrystusa, gdy jednak ta Maria rodzi dziecko, jest to córka, która pociągnie jej los – ofiary przemocy, choć autorzy spektaklu każą w tym momencie myśleć raczej o pamiętnym „dziecku Rosemary”. Dekoracje abstrakcyjne, dużo tańca, a przede wszystkim znakomity śpiew: obok bohaterki – w tej roli **Natalia Kawalek**, która musi wykazać się tu szczególnie umiejętnościami, np. śpiewania głową w dół – baryton Łukasz Karauda, który wykonuje kilka ról męskich połączonych w jedną, nawiązując do stylu pieśniarzy tanga z Carlosem Gardelem na czele. Spektakl pojawi się jeszcze w kwietniu i maju.



DOROTA SZWARCMAN

w galerii

Moc emocji 5/6

Ekspresja. Lwowska rzeźba rokokowa, Zamek Królewski na Wawelu, do 22 października

Trudno wyobrazić sobie lepszą wystawę towarzyszącą Świętom Wielkanocnym. Jej bohaterem jest Johann Georg Pinsel, rzeźbiarz, o którego dość krótkim życiu (zmarł ok. 40 lat w 1761 r.) wprawdzie niewiele wiadomo, ale który pozostawił po sobie prace niezwykle i elektryzujące. Zaczynał od rzeźb kamiennych zdobiących różne świątynie na dawnych wschodnich kresach Polski. Ale dopiero wykonane na zamówienie Mikołaja Bazylego Potockiego drewniane figury do ołtarza głównego kościoła w Hodowicy pozwoliły, po długim okresie zapomnienia, wykreować Pinsla na prawdziwą gwiazdę rokokowej rzeźby wschodniej Europy. Część



Johann Georg Pinsel, „Matka Boska Bolesna”, ok. 1757–58

z nich pokazywana była już w Polsce, ale miało to miejsce trzy dekady temu. Później z sukcesem podróżowały po Europie, trafiając nawet do Luwru. Z kolei kilka lat temu we Lwowie, w którym są obecnie przechowywane, miała miejsce bardzo ciekawa wystawa konfrontująca te prace z dziełami współczesnego polskiego rzeźbiarza Adama Myjaka. Ekspozycja na Wawelu gromadzi 13 obiektów, wśród których znajdują się także rzeźby nieodrodných uczniów mistrza: Piotra i Macieja Polejowskich. Tytułowa ekspresja to znak firmowy tej wystawy, widoczny we wszystkim: mimice bohaterów, ich gestach, dynamice ciała, geometrycznych fałdach szat. Ból, cierpienie, determinacja, uduchowanie, ekstaza – wszystko tu jest skrajnie wyraziste i jakby zwielokrotnione. To fantastyczny przykład sztuki sakralnej, która miała przekonywać wierzących nie subtelnością wywodów i alegorii, ale mocą emocji zaklętych w postaciach anioła, Chrystusa, Matki Boskiej, św. Jana, Samsona czy Abrahama.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Za wszelką cenę 4/6

Jakub Ćwiek, **Drelich. Nim braknie tchu**, Wydawnictwo Pulpbooks, Łódź 2023, s. 420

Nowa powieść Jakuba Ćwieka inauguruje działalność oficyny Pulpbooks (pisarz jest jej współzałożycielem), której nazwa idealnie określa wydawniczy profil – chodzi o literaturę rozrywkową, odwołującą się do sprawdzonych wzorców. Tę obietnicę „Nim braknie tchu” spełnia z nawiązką. To sprawnie skonstruowany thriller, w którym odnaleźć można okruszki amerykańskiego kina akcji, a nawet neowesternu: w końcu część akcji toczy się na ranczu nazwanym, na cześć „Bonanzy”, Ponderosa. Tam zaś podporządkowaną swoim zachciankom sektę tworzy niejaki Kamaz, popularny coach i podróżnik, a przy okazji bezwzględny psychopata, gotowy zniszczyć każdego, kto wejdzie mu w drogę. W macki sekty wpada szesnastoletnia dziewczyna, córka Marka Drelichy – znanego



z wydanej dwa lata temu powieści Ćwieka „Prosto w spłot” – świetnie wytrenowanego, inteligentnego mistrza w złodziejskim fachu. A Drelich, który właśnie planował wycofanie się z przestępczej branży, nie ma zamiaru pozwolić, by ktokolwiek groził jego rodzinie. Ćwiek doskonale czuje się w ramach wytyczanych przez literackie gatunki, opanował wszystkie pisarskie sztuczki pozwalające utrzymać czytelniczką uwagę. W „Nim braknie tchu” precyzyjnie prowadzi akcję, wie, kiedy zwolnić, a kiedy docisnąć gaz do dechy, a przede wszystkim pamięta o tym, by postaci z trzeciego planu miały swój charakter, dialogi dobrze brzmiały, a realia były wiarygodne. To proza, która niczego nie udaje: rzeczywiście literacka pulpa, lekkostrawna, ale świetnie przyrządzona.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Rozliczeniowa burleska 5/6

Jurij Andruchowycz, **Radio Noc**, przeł. Jerzy Czech, Czytelnik, Warszawa 2023, s. 488

Josyp Rotski, główny bohater powieści „Radio Noc” Jurija Andruchowycza, prowadzi nocną audycję w podziemnym radiu. Samotny mężczyzna puszczający w eter swoje rozmyślenia to wciąż żywotny motyw literacki. Ale Andruchowycz czyni tak tylko dla zmyłki, jest to bowiem fantasmagoria, karnawał i galopada. A raczej – jak

w nazwie współtworzonej w latach 80. grupy literackiej Bu-Ba-Bu – burleska, bałagan i bufonada. W tym szaleństwie jest jednak metoda. W typowym dla siebie stylu Andruchowycz, opisując przygody Rotskiego, opowiada o swoim pokoleniu, a może też o samym sobie. To historia człowieka, którego przedstawiciele młodej generacji mogliby określić mianem „boomera”: wspomina z rozrzewnieniem dawne czasy i nieufnie patrzy na młodszych od siebie. Jest w tym portrecie spora dawka autoironii, ale przede wszystkim kpina z pewnej życiowej postawy. Przedstawiając dzieje Rotskiego, autor mówi też o kosztach rewolucji, o totalitarnej władzy, o terrorystycznym zagrożeniu. Mówi wreszcie o sytuacji politycznej. I choć powieść została opublikowana w Ukrainie w 2021 r., przepowiada też późniejsze wydarzenia. Andruchowycz dołącza tym samym jako komentator ukraińskiej rzeczywistości do Serhija Żadana oraz Oksany Zabużko. Tyle że nie rezygnuje przy tym z ludycznych funkcji literatury. „Radio Noc” to przecież przede wszystkim wciągająca fabuła i nieustanna radość lektury.

MACIEJ ROBERT



Gdy liczy się klikalność 4/6

Therese Bohman, **Andromeda**, przeł. Justyna Czechowska, Wydawnictwo Pauza, Warszawa 2023, s. 183

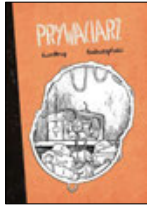
Niewielka powieść szwedzkiej pisarki Therese Bohman należy do książek, które raczej stawiają pytania niż na nie odpowiadają. Główna bohaterka Sofie zaczyna pracę w wydawnictwie, gdzie dostrzega ją Gunnar, doświadczony redaktor, który wprowadza ją w pracę, ale też kształtuje jej myślenie o literaturze. I kiedy wydaje się nam, że wiemy, jak ta historia się potoczy, że romans starszego mężczyzny z młodą stażystką jest nieuchronny, to opowieść zmierza w nieco inną stronę. Owszem opowiada o relacji mistrz–ucznica i wszystkich pułapkach, które ona rodzi, ale też pokazuje w bardzo ciekawy sposób niewidoczną, a decydującą rolę redaktora w literaturze. I wreszcie opowiada o współczesności, w której ważniejsza jest klikalność i jednoznaczna wymowa ideologiczna niż literatura. Jednocześnie dostajemy opowieść o tym, że w życiu wiele rzeczy po prostu się zdarza, nie zawsze jest tak, że kształtujemy nasz los według własnego planu. Wieloznaczność tej opowieści podkreśla forma: dostajemy dwie wersje, opowieść Sofie, poruszającą historię dziewczyny, która wydobywa się z niepewności i nieśmiałości, staje się dobra w tym, co robi, znajduje swoje miejsce i nie zostaje z podciętymi skrzydłami po zakończeniu relacji z mistrzem. Druga opowieść to historia Gunnara, pisana z perspektywy schyłku życia i z poczuciem, że cała jego praca przy literaturze poszła na marne, a życie minęło zupełnie inaczej, niż chciał. Ta pierwsza bardzo angażuje, druga miejscami budzi dystans. Wszystkie zależy, które motywy tutaj będą dla nas najważniejsze. Jest o czym myśleć po skończeniu lektury, i to jest bardzo dobry stan.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

komiksy miesiąca

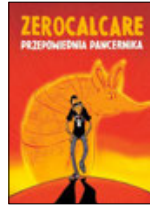
Okruchy życia

Na początek tytuł jeszcze z ubiegłego roku, lecz wart przypomnienia, bo niedawno został uhonorowany Złotym Kurczakiem (tę piękną nazwę noszą przyznawane co roku nagrody dla komiksów undergroundowych) w kategorii „najlepszy album”. **„Prywaciarz” (wydanie niezależne, 4/6)** jest częścią większego projektu „Wyspa Szyszek”, stworzonego przez rysownika **Jakuba Babczyńskiego** we współpracy z różnymi scenarzystami (a w tym konkretnym przypadku z **Tomaszem Kontnym**, autorem m.in. popularnej serii „Wydział VII”). „Prywaciarz” łączy w sobie elementy kryminału, historii szpiegowskiej i ślapstickowej komedii, wszystko w dziwaczno-groteskowych realiach wyspy rządzonej twardą ręką przez wszechwładnego Burmistrza. Wydawnictwa niezależne łatwo znikają w natłoku ukazujących się każdego miesiąca tytułów,



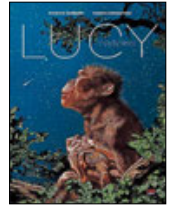
a naprawdę warto o nich pamiętać, bo poza głównym obiegiem ukazują się często rzeczy nieprzejęte.

Komiksy Michele Recha, lepiej znanego jako **Zerocalcare**, także wyrastają z tradycji undergroundu, lecz okazały się prawdziwym fenomenem. We Włoszech są bestsellerami większymi niż amerykańskie przeboje czy rodzime hity w stylu „Dylana Doga”, doczekały się też zrealizowanej przez Netflix ekranizacji. Wreszcie dotarły także do nas: **„Przepowiednia pancernika” (przeł. Paulina Kwaśniewska-Urban, Mandioca, 5/6)** pozwala lepiej zrozumieć fenomen Zerocalcare. Jego komiks to głęboko zanurzona w popkulturze autobiograficzna opowieść o niedoli komiksarza, artystycznych aspiracjach, lecz także o relacjach, przyjaźni, niespełnionej miłości. Album jest bowiem zarazem wzruszającym pożegnaniem przedwcześnie zmarłej przyjaciółki z młodości. „Przepowiednia...” bywa piekielnie błyskotliwa, kiedy indziej balansuje na granicy banału i oczywistości,



ale być może dlatego jest tak popularna: każdy może w niej odnaleźć okruchy własnego życia.

Lucy. **Nadzieja” (scenariusz: Patrick Norbert, rysunki: Tanino Liberatore, przeł. Krzysztof Umiński, Kultura Gniewu, 4/6)** to album z przeciwnego bieguny: opowieść inspirowana odkryciem szkieletu żeńskiego osobnika z gatunku *Australopithecus afarensis*. Fabuła – w której Lucy, by chronić swoje nowo narodzone dziecko, zaczyna współpracować z samcem wygnanym ze stada, które przemierza afrykańską sawannę – jest oczywiście skrojona pod czytelnicze potrzeby, ale powstała z uwzględnieniem archeologicznej i antropologicznej wiedzy. Hiperrealistyczne obrazy Tanina Liberatore nadają komiksowi pozór barwnego reportażu z prehistorii, a precyzyjny scenariusz pozwala w przedludzkich bohaterach dostrzec sprawczość i piękno, traktuje ich bowiem z empatią i czułością należnymi przodkom rodzaju ludzkiego.



JAKUB DEMIANCZUK

na płycie

Poza granice 5/6

Wacław Zimpel, Train Spotter,
The State51 Conspiracy

Sześć lat temu nagradziliśmy Wacława Zimpla Paszportem POLITYKI w pierwszej kolejności jako czołowego polskiego klarnciście. W tym czasie zaczął pracować nad muzyką elektroniczną, a przy tym grywał częściej za granicą niż w kraju. A „Train Spotter” dokumentuje okres, gdy nie można było w ogóle grać koncertów, i ilustruje kolejne pole zainteresowań artysty, który podczas pandemii realizował przedsięwzięcie związane z rejestracją dźwięków miasta. Na wydanej przez londyńską wytwórnę The State51 Conspiracy płycie słychać więc Warszawę, m.in. tutejsze ptaki, metro czy tramwaje. A w atmosferę nagrań wkradła się w naturalny sposób emocja związana z manifestacjami Strajku Kobiet czy środowisk LGBTQ. Ta emocja jest ważna, bo choć w pulsującej rytmicznie, ale instrumentalnej muzyce Zimpla trudno odnaleźć prosty klucz, to przenika cały album w stopniu wcześniej w tego muzyka niesłyszany. Robią wrażenie pod tym względem te wielowarstwowo malowane, gęste kompozycje – na ciele z „Vanishing Rainbow” odnoszącym się, poprzez „Tęczę”, wprost do pl. Zbawiciela. Album poszerzy publiczność Zimpla na Zachodzie, więc jeśli nagradzaliśmy go za „przekraczanie granic w muzyce”, to udało się po raz kolejny: w przenośni i dosłownie.



BARTEK CHACIŃSKI

Moniuszko bliższy swojej epoce 4/6

Goldberg Baroque Ensemble, Gellert Ensemble, dyr. Andrzej Szadejko,
Stanisław Moniuszko. Requiem Aeternam, MDG

Moniuszko – to dla nas opery, czasem także „Śpiewniki domowe”. Był on jednak autorem wielu dzieł w innych gatunkach, w tym muzyki religijnej, ukazującej inne, niezwykle intymne jego oblicze. Ta płyta, będąca pokłosiem programu MONIUSZKO_150 (z okazji 150-lecia śmierci kompozytora), prowadzonego przez organistę, dyrygenta i muzykologa Andrzeja Szadejkę we współpracy z różnymi instytucjami w Polsce, Litwie i Niemczech, przedstawia te dzieła po raz pierwszy na instrumentach historycznych, z użyciem praktyk wykonawczych epoki. Skromność, a zarazem emocjonalność tej muzyki uzyskują zupełnie nowy walor w tej wersji. To tylko wycinek z twórczości sakralnej Moniuszki obejmującej ponad 90 kompozycji. Wykonywane z nich są zazwyczaj tylko trzy Litanie ostrobramskie. Poza nimi na płycie znalazły się premiery fonograficzne: kantaty Sub tuum praesidium, Ecce lignum crucis, Requiem Aeternam oraz przejmujący Marsz żałobny Antoniego Orłowskiego – najprawdopodobniej dzieło Orłowskiego opracowane przez Moniuszkę i wykonane na pogrzebie tego kompozytora, przyjaciela Chopina z czasów warszawskich.



DOROTA SZWARCMAN

Seks, drag i rock'n'roll

Świat mody i gwiazd popkultury pokolenia Z rozmył płciowe granice stylu bycia i ubioru w stopniu niewidzianym od dawna. Choć samo zjawisko nowe nie jest.



Od lewej:
niebinarna modelka
Ruby Rose.
Aktor
Timothée Chalamet.
Niebinarny piosenkarz
Sam Smith.

S

mith – pisząc ogólnie – nie przeprosza, że żyje. To wystarczy, by został makiem konserwatystów: raz, że gej, dwa – że niebinarny. „Czuję się tak samo mężczyzną jak kobietą” – obwieścił. Ubiera się (i okazjonalnie rozbiera, hołdując ciałopozytywności), jak chce, tj. w gorsety, cekiny, różowe futra, zatem nie najbliższej tradycyjnie pojmowanej mody męskiej. A przy tym utrzymuje pozycję jednego z najpopularniejszych artystów dekady, z Oscarem, Brit Award i Złotymi Globami ustawionymi na kominku. Jego ubiegłoroczne „Unholy”, zaśpiewane w duecie z piosenkarką trans Kim Petras, doszło do nr. 1 w kilkudziesięciu krajach, a wiadomo, kto decyduje o kształcie list przebojów: młodzież. Ta Smithem jest zachwycona. Nie tylko nim, ale i tym, że po latach egzystencji na rubieżach show-biznesu, mody czy ogólnie społeczeństwa osoby queer, niebinarne, transseksualne czy choćby ze świata drag wkroczyły do mainstreamu. I zaczęły nadawać mu ton.

Moda gubi podział

Że to żadna nisza, pokazują badania i statystyki. „Business Insider” zauważa, że dla około połowy mileniśców i Gen Z w USA (według agencji Bigeye z Orlando) już samo mówienie o płci to przeżytek. A blisko 60 proc. uważa, że w formularzach zaledwie dwie płci do wyboru to za mało opcji. Już sześć lat temu agencja Harris Poll ogłosiła, że osobą LGBT czuje się co piąty Amerykanin w wieku 18–34 lat. Polskich rzetelnych badań brak; szacuje się jednak, że ogółem jakieś 5 proc. rodaków identyfikuje się jako osoby queer. I tolerancja dla tej grupy wzrasta jak w całym zachodnim świecie.

Tematykę oswajają reality show pokroju „Call Me Caitlyn”, o transformacji, jaką przeszedł olimpijczyk (i niegdyś głowa medialnej rodziny Kardashianów) Bruce Jenner, stając się Caitlyn Jenner, ale i widowiska z rodzaju Konkursu Piosenki Eurowizji. Widziano na nim już chyba wszystko, w tym transseksualną Danę International (Grand Prix dla Izraela), niebinarną Conchitę Wurst (dla Austrii), konfrontacyjnych Måneskin, dziś globalną supergwiazdę (dla Włoch) czy kultową drag queen Verkę Serduchkę z Ukrainy (drugie miejsce), w którą zresztą – ku euforii widzów Polsatu – podczas show „Twoja twarz brzmi znajomo” wcielił się ostatnio Krzysztof Ibisz, wygrywając odcinek.

Pomagają publiczne deklaracje. Jako niebinarni określają się modelki Lily Cole, Ruby Rose czy Cara Delevingne, aktorki Elliot Page, Kristen Stewart, Janelle Monáe, o swojej przemianie opowiadają siostry Wachowskie, niegdyś bracia, autorzy „Matrixa” czy „Atlasu chmur”. W Polsce, gdzie nie mamy jeszcze przerobionych – tak oczywistych już na Zachodzie – coming outów gejów i lesbijek, trudno liczyć na odważniejsze wyznania. Jednak wokalista (i pierwszy męski ambasador szamponów Pantene w kraju) Michał Szpak przedstawił niedawno swoje alter ego: Jowiszę, ogłosił na Instagramie manifest o „lepszym świecie, wolnym od stygmatu

winy i piętna wstydu” i przyznał w „Twoim Stylu”, że jest osobą panseksualną i że nie identyfikuje się z żadną płcią.

Dwu- czy też wieloznacznością bawią się bożyszczka muzyki pop i filmu. Harry Styles w sesji okładkowej amerykańskiego „Vogue’a” (jako pierwszy w historii mężczyzna) pojawił się w sukience, w dodatku autorstwa niebinarnego projektanta Harrisa Reeda. Timothée Chalamet niweczy granice tradycyjnej mody męskiej i damskiej, pokazując się – np. na tegorocznym festiwalu w Wenecji – w fantazyjnie wiązonym pod szyją topie z odkrytymi plecami. On także trafił na pierwszą męską okładkę „Vogue’a”, tyle że brytyjskiego. Redaktor naczelny miesięcznika Edward Enninful zauważył we wstępniku, że skoro moda przestaje mieć podział na płęć, a „Vogue” zawsze idzie z duchem czasu, to wybór okładkowej gwiazdy (Chalameta) jest oczywisty. Najbardziej bodaj rozchwytywany artysta w Polsce, Ralph Kaminski, też uwodzi ambiwalencją, tak na scenie, jak i w prasowych tytułach, by wspomnieć choćby o sesji w kwiatkach, satynach i gorsecie w magazynie „Glamour”.

Świat mody, który fascynuje się queerem, jak wszystkim co inne, nowe i niedające się zaszkladkować, uczynił z niego jedną z głównych inspiracji, a z jego przedstawicieli – swoje muzy. Na pokazie kolekcji na obecną wiosnę i lato Prada pobiła w Mediolanie rekord liczby modeli trans i niebinarnych na wybiegu. Możliwe, że gdyby nie wyliczenia „Harper’s Bazaar”, nie zostałyby to zauważone, bo promujący marki niebinarni modele to już codzienność. Indya Moore w 2019 r. została pierwszą niebinarną twarzą kampanii Louisa Vuittona, Hunter Schafer (znaną później z roli w popularnym serialu HBO „Euphoria”) zatrudniła Dior czy Miu Miu, Theodora „Teddy” Quinlivan pokazała się u Saint Laurenta czy Moschino, a Nathan Westling – u Versace czy McQueen.

I pomyśleć, że ledwie w 2010 r. sensację wzbudziła jeszcze niebinarna Lea T w pionierskiej kampanii marki Givenchy oraz urodzona w Bośni Andreja Pejić, której androgyniczna uroda pozwoliła chodzić zarówno na pokazach mody męskiej, jak i damskiej, u Marca Jacobsa czy Jeana-Paula Gaultiera. Sensację, trzeba dodać, niezdrową. Gdy Pejić pojawiła się bowiem na okładce magazynu „Dossier Journal”, będące odpowiednikiem polskiego Empiku, to sieci księgarń pokroju Borders czy Barnes and Noble ocenzurowały ją i zastąpiły tak, jak robi się to z pismami erotycznymi.

Przebieranki? Już było

Tak jak niebinarni modele promują dziś marki, tak same pokazy coraz częściej są poza płcią. Projektanci na wybiegach w stolicach mody łączą kolekcje męską i damską, wspólnie pokazując je na wybiegu. Albo wymiennie na modelkach/modelach każdej z płci. Jedno i drugie, bądźmy szczerzy, także dla pieniędzy. Przy kosztach uczestnictwa w tygodniach mody sięgających milionów euro oszczędniej pokazać obie kolekcje na jednej imprezie. Ale też to często kobiety kupują mężczyznom ubrania, a i same w tych męskich chętnie chodzą. I vice versa. Że nisza? Ani trochę. Zwłaszcza wśród najmłodszego pokolenia. Blisko połowa „zetek” świata zachodniego (a to najliczniejsza wiekowo grupa, jedna czwarta populacji) kupuje dla siebie odzież przeznaczoną pierwotnie dla płci przeciwnej. W Polsce – według badań McKinsey – zrobił to już niemal co piąty młody obywatel, co i tak daje wynik najniższy wśród 13 krajów objętych badaniem. Jednocześnie jednak 82 proc. młodych rodaków przyznało, że są taką ►



Drag queens z serii „We’re Here” HBO.

► modą zainteresowani i zamierzają kupować ubrania neutralne płciowo w najbliższej przyszłości.

Przypomnijmy, że jeszcze w 1968 r. w sondzie „Kobiety i Życia” czytelnicy uznali, że spodnie nie są właściwym strojem dla kobiet do pracy czy na „wyjście”; wykluczone też, by założyły je, „jeśli mężczyzna tego nie aprobuje”. Dziś moda niezależna od płci dostępna jest w każdej formie, ekspresji, wymiarze. I na każdą kieszeń: od Christiana Louboutina (kultowe szpilki na czerwonej podszewce w „męskiej” rozmiarówce) po Levi’sa, Uniqlo, H&M, Reserved.

Z perspektywy historii – nic nowego. W antyku czy średniowieczu obie płci nosiły się podobnie. Z perspektywy kultur – również. W zależności od regionu obie (albo i więcej) płci przywdziewały kimona i tuniki, strojów nie dało się też przyporządkować płciowo tzw. trzeciej płci na Hawajach (Ma’ahu), w południowej Azji (Hijra) czy wśród plemion Pierwszych Narodów. W Kanadzie jej przedstawicielem czuje się jeden z najbardziej dziś celebrowanych tam wokalistów – Jeremy Dutcher.

Drgnęło jednak dopiero pod koniec ubiegłego stulecia, gdy w uważanych wówczas za ekscentryczne strojach pojawili się co bardziej progresywni celebryci. Choćby piłkarz David Beckham chadzający, ku zachwycie mediów, w sarongu. Szybko obwołały go „pierwszym mężczyzną metroseksualnym”. Co miało to wspólnego z niebinarnością? W sumie nic, ale w połowie lat 90. samo przyznanie się [sic!] do używania kremu do twarzy wprawiało audytorium w dygot. Dziś według agencji badawczej NPD blisko 40 proc. dorosłych między 18. a 22. rokiem życia oczekuje kosmetyków neutralnych płciowo.

Z kolei ubrania „poza płcią” powinny być nie tyle widowiskowe, ile zróżnicowane. „Tu nie chodzi o to, by dziewczyna mogła nosić garnitur, a chłopak – szpilki, lecz o bycie sobą i wyrażanie strojem własnych fantazji. Byś oddawał niuansami stroju każdy aspekt

siebie” – mówił BBC Christopher John Rogers, którego ubrania noszą m.in. Michelle Obama i piosenkarka Lizzo. Swoje robi tu też TikTok, ulubiona platforma nastolatków. Same hashtagi #non-binaryfashion i #unisexfashion idą w miliony. Tu każdy może być sobą – premowane są oryginalne pomysły i osobowość, w przeciwieństwie do zdecydowanie bardziej komercyjnego Instagrama.

Drag od Szekspira

Queer denerwuje konserwatystów, bo zbudował swoją – jeśli można to tak określić – renomę na łamaniu norm przypisanych płciom. Nikt też nie wyśmiewa ich głośniejszy niż świat dragu. Czyli drag queens. Do lat 90. ubiegłego wieku rozrywkowej niszy zepchniętej do klubów gejowskich, by z czasem – zwłaszcza tym ostatnim – przeistoczyć się w pełnoprawny gatunek rozrywki, ale i sztuki, aktywności społecznej czy wręcz stylu. Bo tak jak przez dziesięciolecia performerzy dragu – mężczyźni przebrani i ucharakteryzowani, zwykle widowiskowo (w drag queens potencjał komercyjny pierwsze zwiastowały firmy kosmetyczne), na kobiety inspirowali się stylem div sceny i gwiazd kina – tak teraz te ostatnie, w perukach, wymyślnych koafiurach i krzykliwych kostiumach inspirowały się drag queens. Mowa o Beyoncé, Katy Perry, Lady Gadge czy uwielbianej za rolę w serialu „Lotos” Jennifer Coolidge. Drag queens też są gwiazdami; samej Glorii Groove tylko na Spotify słucha 5,3 mln użytkowników miesięcznie.

Drag nie wszedłby jednak do mainstreamu, gdyby nie jego ojciec czy raczej matka, zważywszy na dragową nomenklaturę, chrzestna RuPaul. 62-letni dziś Kalifornijczyk swoimi występami w wędrownych (po klubach) teatralnych i wokalnych ansamblach, niewyparzoną językiem, dowcipem i talentem przeistoczenia się w monumentalną (1,93 cm wzrostu też robi swoje) piękność szybko zdobył status kultowego, jednak przełomem okazał się dopiero jego „Drag Race”. To zapoczątkowane

w 2009 r. reality/talent show dla drag queens, które sprzedano do 70 krajów świata, z czego wiele doczekało się własnych narodowych edycji, choćby filipińskiej, brazylijskiej czy włoskiej.

Dziś drag to nie tylko fenomen kulturowy czy artystyczny („technicznie rzeczy nazywając, robiliśmy w dragu już w czasach Szekspira, gdy kobietom nie pozwalano występować i na scenie w sposób przerysowany zastępowali je mężczyźni” – tłumaczył swoim czytelnikom „Guardian”), ale i niemal gałąź biznesu.

Na świecie drag queens dziarsko idą po swoje. W serii „We’re Here” HBO trzy drag queens w samochodach w kształcie brokatowych ust czy torebki – niczym w kultowych komediach typu „Ślicznotki” czy „Priscilla, królowa pustyni” – przemierzają prowincjonalną Amerykę w poszukiwaniu lokalnych outsiderów, by zachęcić ich do wyjścia z szafy i w finale postawić na scenie wyposażonych w odpowiedni strój, perukę, makijaż. Mimo niechęci części społeczności („Już tu niczego nie kupię, pieprzone świry” – irytuje się jeden z klientów, gdy w dziurze w Pensylwanii bohaterowie przymierzają w sklepie sukienki) występy wzbudzają entuzjasm widzów. Zwłaszcza że show dają nie tylko drag queens i wszelkie mniejszości, ale i ci, którzy je wspierają, jak lider doświadczonej nietolerancją społeczności czarnych czy harleyowiec, który chciałby pokazać synowi, że „życie to nie tylko ciężki plecak cegieł”. „Włożenie peruki nie złamie cię jako mężczyzny” – słyszą na zachętę od drag queen. Tym samym niewinna, wydawałoby się, zabawa w przebieranki zyskuje wagę obrony wykluczonych, walki z opresją i szowinizmem.

To mobilizuje przeciwników zjawiska. W kilkunastu amerykańskich stanach trwają też prace nad różnymi formami cenzury dragu, np. poprzez uznanie miejsc, w których odbywają się występy, za kluby ze stripteasem. A te podlegają

innemu prawu, z zachowaną odległością od szkół czy kościołów włącznie. To utrudniłoby im funkcjonowanie. Inicjowane odgórnie próby zwalczania dragu mają przełożenie na postawy społeczne. Tylko w jednym roku, według grupy GLAAD, odnotowano w USA ponad 140 ataków na wydarzenia drag, z ostrzelaniem goszczących je lokali włącznie.

Będziesz mnie szanować

W Polsce społeczność, gdzie – jak podaje Paula Szewczyk w książce „Ciała obce. Opowieści o transpłciowości” – 38 proc. osób transpłciowych w ogóle nie mówi ojcom o swojej tożsamości ze strachu przed odrzuceniem, problem ma wciąż poważny wymiar. Ale i tu, jak i za granicą młodzi projektanci ubrań sygnalizują bunt. Jak Mateusz Jagodziński z łódzkiej ASP, który na modelach różnych płci (ale i różnego wieku czy sylwetki, bo jak wszyscy, to wszyscy) prezentuje stroje – w tym gorsety – inspirowane tęczową flagą i opatrzone równościowymi hasłami z rodzaju „respekt” czy „będziesz mnie szanować”. Bardziej dosłownie już się nie da, ale środowisko queer jest głośnie. To dowód zmęczenia polską zaściankowością oraz sprzeciwu wobec pisowskiej i kościelnej nagonki na mniejszości seksualne. Według badań zleconych przez Radio Zet we wrześniu ub.r. 64,3 proc. Polaków opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich dla par jedнопłciowych, co przeczyłoby teorii prezydenta Andrzeja Dudy, jakoby LGBT w ogóle nie byli nawet ludźmi. Więcej niż co trzeci – to już z sierpniowych badań na potrzeby POLITYKI – uważa, że istnieją inne płci poza męską i żeńską. Jak na zindoktrynowane i straszone potworem gender społeczeństwo – niezły wynik.

MICHAŁ ZACZYŃSKI

REKLAMA

Premiera tylko na  wyborcza.pl

Donbas

REPORTAŻ SZCZEPANA TWARDOCHA

„Wojnę usłyszałem, gdy wyszedłem się wysikać z zapadniętej w błocie chaty, oświetlając ziemię czerwoną poświatą czołówki”



Fot. Dawid Żuchowicz / Agencja Wyborcza.pl



Ewa Konstancja Bułhak (pierwsza z prawej)
jako Alicja w spektaklu „Alicja w Krainie Czarów”.
Poniżej: kadr z horroru „Puchatek: Krew i miód”.

Kubuś Psychopatek

W nowym horrorze mieszkańcy Stumilowego Lasu rządzą ludzom krwawą jatkę, a na teatralnej scenie „Alicja w Krainie Czarów” zamienia się w opowieść o końcu życia. Dojrzały odbiorcy odbierają dzieciom ich klasykę.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Wstarym dowcipie potężny dzik chodził wściekły po lesie, łamał drzewa, tratował krzaki, terroryzował zwierzęta, by w końcu oznajmić napotkanej niedźwiedzicy: „Powiedz Puchatkowi, że Prosiaczek wrócił z wojska”. W filmie brytyjskiego reżysera Rhysa Frake’a-Waterfielda Prosiaczek i Puchatek są jeszcze bardziej przerażający – opuszczeni przez Krzysia, który porzucił przyjaciół na rzecz nauki i dorosłego życia, przysięgli zemstę rodzajowi ludzkiemu. A w międzyczasie zjedli również Kłapouchego.

Brzmi jak koszmarny sen z dzieciństwa? Powinno, bo to wstęp do fabuły horroru „Puchatek: Krew i miód”, który niedawno trafił na ekrany polskich kin. Przyjaciele ze Stumilowego Lasu nie przypominają tu uroczych pluszaków, lecz są



psychopatycznymi zabójcami, chętnie torturującymi swoje ofiary – tak się składa, że w filmie Frake’a-Waterfielda są to niemal wyłącznie młode, atrakcyjne kobiety – i pozbawiającymi je życia na niezbyt wymyślne, ale za to bardzo krwawe sposoby. Proszę wyobrazić sobie parę morderców w typie Michaela Myersa z serii „Halloween”, tylko zamiast trupiobladej maski noszących na głowie coś, co z grubsza przypomina pyszczki Misia o Bardzo Małym Rozumku i jego przyjaciela, któremu wyrosły kły i szczecina. Taka to rozrywka – przeznaczona wyłącznie dla miłośników taniego kina eksploatacji, bo mimo obiecująco prowokacyjnego punktu wyjścia „Puchatek: Miód i krew” kompletnie nie jest zainteresowany jakąkolwiek formą filmowej transgresji. Chodzi tylko o zestawienie uwielbianej książki dla dzieci z krwawymi efektami specjalnymi.

Kłapouchy radzi, jak żyć

Realizacja tego filmu była możliwa dzięki temu, że 1 stycznia 2022 r. „Kubuś Puchatek” Alana Alexandra Milne’a trafił w Stanach Zjednoczonych do domeny publicznej, co oznacza, że można dokonywać jego przeróbek bez oglądania się na prawa autorskie. Sytuacja prawna Puchatka jest jednak nieco bardziej skomplikowana, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać: do domeny publicznej wciąż nie trafiła „Chatka Puchatka” (dlatego w fabule

filmu nie mógł się pojawić Tygrysek), Frake-Waterfield musiał też uważać, by przypadkiem nie naruszyć praw studia Disney, które bardzo pilnuje swojej wersji opowieści o Puchatku. Gdyby więc miś w „Krwi i miodzie” pojawił się w charakterystycznej czerwonej koszulce, korporacyjni prawnicy Disneya prawdopodobnie przypuściliby na twórców filmu frontalny atak. „Staraliśmy się zachować ekstremalną ostrożność. Wiedzieliśmy, że jest cienka granica między tym, co robimy, a ich prawami autorskimi. Więc zrobiliśmy wszystko, żeby dopilnować by film był oparty wyłącznie na wersji książki z 1926 r.” – mówił Frake-Waterfield w wywiadzie dla magazynu „Variety”. Na wszelki wypadek Puchatek-psychoptek nosi koszulę w kratę i ogrodniczki, a Prosiaczek odziany jest w czerni.

O tym, jak działa korporacyjne prawo, mogli się przekonać choćby bywalcy polskich teatrów. W 2001 r. Disney odkupił od spadkobierców Milne’a m.in. prawa do udzielania zgody na inscenizacje prozy brytyjskiego pisarza. I natychmiast zablokował wszystkie udzielone wcześniej licencje. Tylko z polskich scen zniknęło wówczas 12 spektakli o Misiu i jego przyjaciółkach.

„Ofiarą blokady padła m.in. jedna z najciekawszych adaptacji Milne’a, jakie kiedykolwiek powstały – »Kubuś P.« w reżyserii Piotra Cieplaka z warszawskiego Teatru Studio, w którym mieszkańców Stumilowego Lasu przedstawiono jako ludzi dorosłych, borykających się z codziennymi problemami: strachem, depresją, samotnością. Nie była to inscenizacja kanoniczna (co podkreślał skrócony tytuł), zachowała jednak klimat i mądrość książek Milne’a. Co najważniejsze, nie powstała z chęci zysku, ale z potrzeby

artystycznego dialogu z jedną z najważniejszych XX-wiecznych książek dla dzieci” – notował na łamach „Gazety Wyborczej” Roman Pawłowski.

Nawet jeśli teraz będzie łatwiej o nowe adaptacje i interpretacje „Kubusia Puchatka”, nie musi to wcale oznaczać wysypu dzieł inspirowanych książką Milne’a. Disneyowska wersja przyjaciół ze Stumilowego Lasu wżarła się w masową wyobraźnię mocniej niż oryginał. I być może jedyną zaletą „Krwi i miodu” jest to, że Frake-Waterfield zadaje bezpardonowy cios w przesłodzony i coraz dalszy od literackiego oryginału wizerunek Misia o Bardzo Małym Rozumku. Szkoda tylko, że krwawy horror nie wychodzi ponad poziom bardzo mechanicznej prowokacji, a brytyjski reżyser nie poszukiwał w klasycznej dziecięcej powieści jakichś aktualnych odniesień, współczesnych interpretacji, ukrytych kodów. W końcu już nawet Disney kilka lat temu w filmie „Krzysiu, gdzie jesteś?” opowiadał o spotkaniu po latach dorosłego Krzysia (granego przez Ewana McGregora) i jego ukochanych zabawek.

Opowieści o Kubusiu Puchatku były już wcześniej przedmiotem intelektualnych reinterpretacji. Służyły jako podstawa, dzięki której amerykański autor Benjamin Hoff mógł tłumaczyć czytelnikom meandry filozofii taoistycznej: „Tao Kubusia Puchatka” oraz „Te Prosiaczka” były bestsellerami także w Polsce, ale ich skutkiem ubocznym okazał się wysyp bezwartościowych książeczek w stylu „Małego ponurnika Kłapouchego”, w których wyjęte z prozy Milne’a cytaty były traktowane – często z przymrużeniem oka – jako życiowe drogowskazy, czy szkodliwych i bagatelizujących problem teorii, jakoby

każdy z mieszkańców Stumilowego Lasu symbolizował inny problem psychiczny.

Najbardziej brawurowo potraktował „Kubusia Puchatka” Frederick Crews, który w 1963 r. wydał „The Pooh Perplex” („Kłopot z Puchatkiem”), zbiór parodystycznych esejów dekonstruujących prozę Milne’a w kluczu różnych szkół krytycznoliterackich, m.in. marksistowskiej, chrześcijańskiej i freudowskiej. Książka Crewsa – podobnie jak jej kontynuacja z 2003 r. „Postmodern Pooh” – była kpina nie z dziecięcej klasyki, lecz z nadętego i pełnego frazesów języka krytyki literackiej. Skutecznie jednak na jakiś czas zablokowała wszelkie poważniejsze próby analizy „Kubusia Puchatka”.

Zbliżające się stulecie Puchatka (Miś debiutował na łamach książeczki z wierszykami „Kiedy byliśmy bardzo młodzi” w 1924 r.) może się stać okazją do ponownego odczytania prozy Milne’a i przefiltrowania jej przez współczesną wrażliwość. Zwłaszcza że klasyka literatury dziecięcej bardzo chętnie poddaje się przecież dorosłej reinterpretacji.

Amoralny sen Alicji

Uhonorowany Oscarem wybitny film animowany „Pinokio” w reż. Guillerma Del Toro to tylko jeden z przykładów, jak można doskonale odczytać na nowo znaną powieść. Przygody drewnianego chłopca, przeniesione w realia Włoch pod faszystowskimi rządami, udowodniły, że książka Carla Collodiego wciąż pozwala na świeże, pomysłowe interpretacje (więcej na ten temat w POLITYCE 51/22). Nie inaczej jest w przypadku dwóch filarów anglosaskiej literatury dla dzieci: „Alicji w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla ▶

REKLAMA

© MARTA ANKERSZTEJN/ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO, MONOLITH

WARSZAWA
13-23.04

eurazjafestival.com

Finansowanie:



Organizatorzy:



Najlepsze filmy świata
premierowo w Polsce!

FILM
FESTIWAL

kino Luna
kino Atlantic

► oraz „Piotrusia Pana” Jamesa Matthew Barriego. Obie książki doczekały się niezliczonych adaptacji, nawiązań i sequeli, choć w masowej wyobraźni – podobnie jak Puchatek – żyją przede wszystkim w wersjach Disneyowskich. Widzimy więc Alicję w niebieskiej sukience i białym fartuszk, a Piotrusia obowiązkowo w czapce z piórkiem: tak potężna jest siła animacji produkowanych przez studio spod znaku Myszki Miki.

„Jest to zapewne jedyny wypadek w dziejach piśmiennictwa, gdzie jeden tekst zawiera dwie zupełnie różne książki: jedną dla dzieci i drugą dla bardzo dorosłych” – pisał o „Alicji w Krainie Czarów” tłumacz Maciej Słomczyński (dziś zapewne bez wahania dożylibyśmy do tej listy „Muminki” Tove Jansson oraz komiksowe „Fistaszki” Charlesa M. Schulza). Nic dziwnego, że prowokacyjna, surrealistyczna, naginająca reguły proza Carrolla poddawała się interpretacjom, które z literaturą dziecięcą nie miały zgoła nic wspólnego. Alicja jest zapewne jedną z najbardziej seksualizowanych bohaterów literatury dziecięcej – co jest wyjątkowo problematyczne, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że jedną z inspiracji do powstania tej książki była fascynacja Carrolla dziesięcioletnią córką zaprzyjaźnionej rodziny – ale nawet w szeregu dzieł pornograficznych i erotycznych można znaleźć arcydzieła, takie jak komiks „Zagubione dziewczęta” Alana Moore’a i Melindy Gebbie, w którym splatają się wątki „Alicji...”, „Piotrusia Pana” oraz „Czarnoksiężnika z Oz” (wszyscy bohaterowie są przedstawieni jako dorośli ludzie).

Arcydzieło Carrolla było jedną z ulubionych lektur użytkowników psychodelików, inni czytelnicy widzieli w nim polityczną alegorię lub krytykę kolonializmu. Przede wszystkim jednak „Alicja...” pozostaje oderwaną od XIX-wiecznego dydaktyzmu fantastyczną opowieścią o dojrzewaniu, lecz także o godzeniu się z dorosłością, własnym ciałem, nawet przemijaniem, co skutecznie wykorzystywali różni twórcy. W kinie taką próbę – ograniczoną nieco przez wymogi studia Disneya, dla którego powstawał film – podjął m.in. Tim Burton, w roli dorosłej już Alicji obsadzając australijską aktorkę Mię Wasikowską. Najwybitniejszą filmową adaptacją prozy Carrolla jest jednak bez wątpienia „Coś z Alicji” (1986 r.) wyreżyserowane przez Jana Švankmajera, które – jak zauważyła jedna z zachodnich krytyczek – „odziera książkę ze słodyczy i światła” oraz „podkreśla jej mroczne tony”. Sam reżyser wspominał, że podjął się realizacji filmu, ponieważ rozczarowały go wcześniejsze adaptacje „Alicji...”, które traktowały

powieść jak baśń, podczas gdy on widział w niej raczej „amoralny sen”.

Dojrzałe interpretacje prozy Carrolla w ostatnich latach dawał widzom także polski teatr, zachęcony surrealistyczną wyobraźnią pisarza. Do najbardziej poruszających inscenizacji ostatnich lat należy „Alicja” w reżyserii Pawła Miśkiewicza, zrealizowana w 2008 r. w warszawskim Teatrze Dramatycznym. Wracają zachwycające obrazy: Alicja starsza, u kresu swojej drogi (Barbara Krafftówna), przegląda się w Alicji młodzieńczej, na progu dorosłości (Klara Bielawka), scenerią jest piękny, surrealistycznie odrealniony wagon pociągu, a tematem – czas.

W ostatnich miesiącach bohaterka pojawiła się na polskich scenach w trzech odsłonach. W Teatrze Nowym w Słupsku Wojciech Kościelniak stworzył familijny musical o dojrzewaniu (z delikatnym puszczaniem oka do nieco starszych widzów, jak w „Piosence o sziszy” z refrenem: „Sziszka ucisza, fajka oswaja”). W warszawskim Ateneum Małgorzata Sikorska-Miszczuk i Wawrzyniec Kostrzewski zapraszają nastoletnich widzów do Klubu Królikarnia, pod ziemię, trzeba iść za Białym Królikiem: „Nie wiesz, kim jesteś? Nie martw się, zejźdź pod ziemię. Spotkasz tam wszystkich, których znasz. Będzie zabawa, będzie Bal. Będzie z tobą Alicja. Alicja jest mądra i głupia jednocześnie, jakie to pokrzepiające, prawda?”. A Sławomir Narloch w Teatrze Narodowym, w bardziej zrozumiałym dla dorosłych niż dla dzieci, bo przepełnionym melancholią, momentami mającym charakter oratorium czy elegii spektaklu „Alicji Kraina Czarów” opowiedział o końcu dzieciństwa i końcu życia. Narratorem jest dorosły syn Alicji (Cezary Kosiński), wspominający matkę (Ewa Konstancja Bułhak), która czytała mu książki Carrolla. Podróż bohaterki, ludzie i czas, wysuwający się i wsuwający jak luneta, surrealistyczne spotkania – stają się metaforą umierania matki na raka i gorzkiego dojrzewania chłopca, dla którego jej śmierć jest kresem dzieciństwa, a tym, co pozostaje, jest pamięć, wspomnienia.

Przemoc w Nibylandii

Historia Piotrusia Pana, chłopca, który nigdy nie dorósł, okazała się nie mniej inspirująca – wszak imię głównego bohatera dziś funkcjonuje także w dość pejoratywnym znaczeniu. Określenia „syndrom Piotrusia Pana” – spopularyzowanego przez psychoanalitka Dana Kileya – używa się wobec mężczyzn mających problem z zaadaptowaniem się do dorosłości, a najsłynniejszym z owych Piotrusiów był

oczywiście Michael Jackson, który nawet swoje ranczo nazwał Nibylandią na cześć książki Barriego.

Do podobnych tropów odwoływał się zresztą „Hook” (1991 r.) Stevena Spielberga, w którym Piotruś (grany przez Robina Williamsa) jednak dorósł, ale do krainy fantazji wraca, gdy kapitan Hak porywa jego dzieci. Po premierze krytycy do Piotrusia porównywali chętnie samego reżysera, twórcę z sukcesem ożywiającego na kinowym ekranie młodzieńcze fantazje.

Współczesne odczytania „Piotrusia Pana” czasami skupiają się na rolach kobiecych – tu szczególnie wyróżnia się „Wendy” (2020 r.) Benha Zeitlina, przenosząca akcję na amerykańskie prowincjonalne Południe – lecz większość adaptacji to widowiska przeznaczone dla młodych odbiorców. Czasami opowiadające wymyśloną przez Barriego fabułę na nowo, jak to zapewne będzie miało miejsce w filmie „Piotruś Pan i Wendy” w reżyserii Davida Lowery’ego – aktorskim remake’u animacji sprzed lat (premiera w serwisie Disney+ została zapowiedziana na 28 kwietnia). A kiedy indziej po prostu odcinające kupy od niesłabnącej popularności książek, jak w filmie „Come Away” (2020 r.) – przez polskiego dystrybutora zatytułowanym z olbrzymią inwencją „Piotruś Pan i Alicja z Krainy Czarów” – w którym młodzi bohaterowie są rodzemństwem.

Niewielu twórców decydowało się jednak spojrzeć na oryginał z innej, bardziej dojrzałej perspektywy. Spróbował tego francuski artysta Régis Loisel, którego komiks „Piotruś Pan”, będący prequelem powieściowej fabuły, sięga po mroczniejsze tony, dając czytelnikom opowieść podszytą przemocą, zadróżnością, erotyką – w książce Barriego obecne, lecz głęboko ukryte. Album Loisela – podobnie jak wspomniane „Coś z Alicji” Švankmajera – przenosił dziecięcą literaturę do świata dorosłej, perwersyjnej wyobraźni, lecz czynił to z szacunkiem dla pierwowzoru.

Trudno jednak oczekiwać, by podobne projekty zdarzały się częściej. Jesteśmy raczej skazani na kolejne kserokopie historyjek dla mało wymagających dzieci lub – co gorsza – mało wymagających dorosłych. Reżyser horroru „Puchatek: Krew i miód” już zapowiedział prace nad slasherami opartymi na „Piotrusiu Panu” oraz „Bambi” (nie wyklucza też, że wszystkie postaci spotkają się w jakimś krwawym crossoverze), a jego film kończy się planszą zapowiadającą że „Kubuś Puchatek powróci”. Co brzmi bardziej jak groźba niż obietnica.

JAKUB DEMIAŃCZUK,
WSPÓŁPRACA ANETA KYZIOŁ



KRZESIMIR DĘBSKI

KONCERT SPECJALNY Z OKAZJI
70. ROCZNICY URODZIN

GOŚCINNIE: KATARZYNA SUT / ADAM KRUSZEWSKI / MIETEK SZCZEŚNIAK

25/04/2023 GODZ. 19.00 CHÓR I ORKIESTRA TW-ON POD BATUTĄ KOMpozyTORA

Mecenasi Teatru / Partnerzy Akademii Operowej

Partnerzy

Partner technologiczny

Patroni medialni

Partner medialny



Tyle już było nadziei

Renata Lis (ur. 1970 r.) – pisarka i tłumaczka. Autorka książek „Ręka Flauberta”, „W lodach Prowansji. Bunin na wygnaniu” i „Lesbos”. Autorka przekładów m.in. Baudrillarda, Flauberta, Bunina i Anne Carson. Książka „Moja ukochana i ja” ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Literackiego.

© LESZEKZYCH

Ponad ćwierć wieku wierzyłam, że już za chwilę jako osoby LGBTQ będziemy mieć w Polsce równe prawa. A tu nic – mówi **Renata Lis**, autorka książki „Moja ukochana i ja”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: – Takiej intymnej książki o wspólnym życiu kobiet jeszcze w Polsce nie było.

RENATA LIS: – Dowiedziałam się o notatniku Marii Dulębianki, który zaczęła pisać, kiedy umierała Konopnicka. Zielony, podłużny notes, przechowują go dzisiaj we Lwowie w Bibliotece Narodowej. Dulębianka zrekonstruowała tam całe ich wspólne życie, popchnięta do tego przez traumę tej wielkiej utraty, jaką była dla niej śmierć Konopnickiej. Pisała oczywiście dla siebie, nie do publikacji. Dopiero dzisiaj odczytała to biografka, spore fragmenty, bo całość jest nieczytelna. Jeśli miałabym szukać jakiegoś pierwowzoru, to jest nim właśnie ten notes. Chciałam zrobić coś podobnego, tylko żeby nie było to ukryte, ale jawne.

Ostatnio sporo pojawiało się za to na rynku esejów intymnych zagranicznych pisarek. Miały znaczenie dla „Mojej ukochanej...”?

One mi ogromnie dużo dały. Te wydawane u nas książki, które zajmują się performowaniem intymności: Maggie Nelson zwłaszcza i Annie Ernaux, „Lata”. Były ośmielające, pokazywały, jak znaleźć język dla swojego doświadczenia. Pisząc o sobie z dzieciństwa, podobnie jak Ernaux poruszam się między pierwszą a trzecią osobą

liczby pojedynczej, ale w innym celu. Ona osiągała efekt obiektywizacji – podmiot przestawał być jedynie prywatny, stawał się też społeczny. U mnie chodzi o coś innego. Najważniejsze było to, że Ernaux uzmysłowiła mi z niesłychaną mocą, jak wiele tracimy, kiedy razem z konkretnymi osobami na zawsze umiera indywidualna treść ich pamięci. Wszystkie emocje, prawdziwe i nieprawdziwe wspomnienia, cała ta mentalna mapa, jaką budujemy wokół faktów, przedmiotów, osób, wszystkie nasze unikatowe skojarzenia, połączenia. Powiedzmy, że po bliskim człowieku zostaje jakaś rzecz: wazon, książka, zdjęcie. Wydaje się nam, że wiemy, co to jest i czym było w życiu tej osoby, możemy nawet mieć wrażenie, że jej obecność jest w tym przedmiocie w jakiś sposób zawarta, ale to, czym ta rzecz naprawdę dla niej była, z czym się dla niej wiązała – to już jest stracone. Dlatego chciałam wyjąć ze swojej głowy trochę takich rzeczy i opowiedzieć o sobie w bardzo prosty sposób. Najprościej jak się da. Po pięćdziesiątce zmieniła mi się perspektywa. Zaczęłam dostrzegać, że za mną jest już szmat czasu, nie jest już tak, że możesz wszystko. Coś jeszcze mogę, ale czegoś już nie. Pewne możliwości zamknęły się, decyzje zapadły. Zaczęło mnie fascynować to, co zostało z tyłu, za mną,

tamten czas. I pomyślałam, że nie chcę, żeby to przepadło.

„Jestem w przededniu pięćdziesiątki, byłby czas znać samego siebie” – to zdanie Stendhala Ernaux miała nad biurkiem, jak pisze w „Latach”.

O właśnie, to jest to! Umówiłam się na tę książkę z wydawnictwem parę miesięcy przed wojną. Wymyśliłam ją w kontekście swojej pięćdziesiątki i tych lektur, do których trzeba koniecznie dorzucić jeszcze „Powrót do Reims” Eribona. Potem przyszła wojna i na dłuższy czas odebrała mi poczucie, że to przedsięwzięcie w ogóle ma sens. Potem jeszcze Elżbieta zachorowała, wyglądało to na poważną chorobę neurologiczną o objawach zbliżonych do parkinsona. Ostatecznie skończyło się dobrze, objawy ustąpiły, ale był taki moment, że myślałam, że ona wkrótce umrze. I to też postawiło mnie z tą książką w takim punkcie, że mój świat, od 30 lat związany z nią, zaraz zniknie. W ogóle mam poczucie schyłku jakiegoś świata, szerszego niż mój.

Ta książka nie daje poczucia schyłku, może być czytana jako opowieść formacyjna, nawet poradnikowa, podobnie jak książki Rebeki Solnit dające drogowskazy.

Solnit jest wspaniała, dużo mi dała, naprawdę pomaga mi w życiu swoimi książkami. Ponad ćwierć wieku przeżyłam w perspektywie nadchodzącej emancypacji, wierzyłam, że już za chwilę, no, góra dwie, jako osoby LGBTQ będziemy mieć w Polsce równe prawa: związki partnerskie, równość małżeńską. I któregoś dnia dotarło do mnie, że minęło już tyle czasu,

a tu nic. Totalnie nic. I wcale nie wiem, czy jesteśmy blisko. Oczywiście zmiana społeczna zaszła ogromna, społeczeństwo naprawdę się zmieniło, ale mnie chodzi o ten polityczny beton, który wciąż się utrzymuje i blokuje zmiany na poziomie prawa. Nie jestem przekonana, że coś się zmieni w następnej kadencji. Mogłoby, ale nie jest to przesądzone. Tyle już było takich momentów nadziei. Więc ta książka jest też spojrzeniem na własne marzenia. I na nadzieje, które przez tyle lat się spełniły. Chciałam, żeby został po nich ślad, żeby było wiadomo, czym jeszcze się żyło, o czym jeszcze marzyło w Polsce po 1989 r.

Zrobiło też na mnie wielkie wrażenie, ile pracy redaktorzy antologii „Dezorientacje” musieli włożyć w to, żeby dokopać się do starszych śladów nieheteronormatywności w polskiej kulturze. Wychodzi teraz dużo queerowych biografii: Dulębianka, Rodziewicz, bardzo czekam na Konopnicką Grzebałkowskiej. Porażające jest dla mnie w tych lekturach to, jak wiele nie wiadomo, ile jest białych plam. Ile dokumentów się nie zachowało, ile zniszczono celowo. I teraz te biografiki jak archeolozki, wielkim nakładem pracy, wydobywają z kurzu okruchy, starając się

odgadnąć resztę. Chciałam, żeby po nas zostało coś, czego nie trzeba będzie wyciągać z niebytu.

W tej książce ciekawe jest szukanie języka, właściwych pojęć, przymierzanie się do nich. Piszesz: „Kim więc jestem? Lesbijką nie. Gejem nie. Ostatecznie, jeśli muszę kimś być, mogę być gejką w lesbijskim związku”.

Pogodziłam się już z tym, że można o mnie mówić lesbijką. Ale sama nadal nie identyfikuję się do końca z tym słowem. Trudno mi się zidentyfikować także z moimi innymi tożsamościami, z narodową choćby, bo gdzieś tam oczywiście jestem Polką, ale od razu z mnóstwem zastrzeżeń, niuansów i pytań. Tak samo jest z byciem lesbijką, mimo że jest to przeciwieństwo wspałała, bogata kultura z długą tradycją, i ja z niej korzystam, i nawet czuję się jej częścią, tylko że na własnych zasadach. Chciałabym, żebyśmy w naszym kraju przekroczyli już ten próg równouprawnienia, za którym będzie można żyć, jak się chce. Płci i tożsamości seksualne będą nadal istniały, ale jedynie dla chętnych, i nie będzie urzędowego ani społecznego przymusu, żeby się w tym kontekście definiować. Jestem teraz na takim etapie, że odpowiada mi taki stan niedomknięcia,

nie potrzebuję się dookreślać ani dookreślać innych, nie czuję w związku z tym niepokoju. Zabawna rzecz, ostatnio wyrybałam sobie kartę klientki w sieciówce z ubraniami i pod okiem młodej ekspedientki wypełniałam formularz danych. Była tam oczywiście rubryka płeć i oczywiście tylko dwie opcje do wyboru, i nawet nie zamierzałam tego komentować, słowo daję – to ta ekspedientka sama z siebie poczuła, że musi się z tego wytłumaczyć. I wytłumaczyła mi, że tego wymaga system, a potem jeszcze przeprosiła.

Przy Rodziewiczównie autorka biografii Emilia Padoł zastanawiała się, jak nazwać ten związek, bo nie ma śladów, jak one same go traktowały.

Rodziewicz niewątpliwie żyła w związku ze Skirmunttówną, od tego zaczniemy. W związku trwałym i bliskim, bez wątplenia także intymnym, jeśli weźmie się pod uwagę, że spędzały razem nie tylko dni, ale też spały w jednym pokoju, w stykających się ze sobą łóżkach. Tyle wiadomo na pewno. Czy nazwiemy ich związek lesbijskim, czy sięgniemy po termin „małżeństwo bostońskie” itd., to osobna kwestia. Ja widzę to raczej tak, że Rodziewicz, podobnie zresztą jak Dulębianka, Konopnicka i wiele innych kobiet, należą ►

REKLAMA

DZIEWCZYNY Z KALENDARZA

THE MUSICAL

Autorzy Gary Barlow i Tim Firth

Reżyseria Jakub Szydłowski

Musical na podstawie filmu z Helen Mirren

POLSKA PRAPREMIERA

9 września 2023



Kup bilet online!

TEATR MUZYCZNY
im. Danuty Baduszkowej w GDYNI



Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Pomorskiego



TEATR MUZYCZNY
IM. DANUTY BADUSZKOWEJ
INSTytucJA KULTURY
WSPÓŁORGANIZOWANA
PRZEZ MIASTO GDYŃIA



MECENAS
GŁÓWNY



MECENAS

► do szerokiej – szerszej niż poszczególne słowa – tradycji, której częścią są również, na tych samych prawach, osoby nazywające się dzisiaj lesbijkami czy queerami. Po prostu zawsze istniały kobiety, które żyły ze sobą bliżej, niż przewiduje patriarchalna norma. Wolały żyć ze sobą niż z mężczyznami, przez całe życie albo od pewnego momentu.

Wiemy, że to było dla nich niebezpieczne, bo patriarchat nie lubi, kiedy kobiety są ze sobą za blisko.

To podstawowa zasada patriarchy: kobiety nie są podmiotem, tylko walutą używaną w transakcjach między mężczyznami, nie mogą więc tworzyć związków z innymi kobietami czy choćby budować swojej genealogii w matrylinearnej linii. Gdyby przez 20 lat zamiast Dulebianki jeździł z Konopnicą po świecie jakiś młodszy od niej atrakcyjny mężczyzna, nikt by dzisiaj nie pytał o „dowody”, czy oni spali ze sobą, czy nie spali. To nie jest niezbędny element, żeby uznać relację z dalekiej przeszłości za bliską. Dulebianka, Konopnica, Rodziewicz – one wszystkie należą do polskiej tradycji feministycznej i queerowej, każda z nich trochę inaczej, ale należą do niej wszystkie. Tak jak moja ukochana i ja.

W książce na pierwszym planie jest wasze życie codzienne. Dla wielu osób to może być ośmielające tak pisać o sobie.

Kiedy kończy się 50 lat, to przestaje załeżeć na różnych rzeczach. Jest już wszystko jedno, co ktoś sobie pomyśli. Mnóstwo osób w Polsce, także starszych ode mnie, nadal się boi, wstydy się o sobie mówić, a może po prostu nie wie jak. Więc pomyślałam, że opowiem, jak wygląda nasze życie – bo stać mnie już na to wewnętrznie, bo mogę. Jak się poznałyśmy, jak wygląda codzienność, jak spędzamy święta. Chciałam też wytłumaczyć ludziom, o co chodzi ze związkami i małżeństwami. Bo to nie jest dla nas rzecz dekoracyjna, to są konkretne sprawy, przede wszystkim prawne. Pokazuję to na przykładzie naszego życia. Jak to jest, kiedy tego nie masz.

Nie ma się podstawowych ludzkich praw – nie można choćby uzyskać informacji medycznych. Czego jeszcze się nie ma?

Wszystko jest bardzo utrudnione. Powstają się stały argument: idźcie do notariusza. Owszem, mogę sobie napisać i notariusz mi to ostempluje, że chcę, żeby Elżbieta była upoważniona do dowiadывania się w szpitalu o stan mojego zdrowia czy podejmowania za mnie decyzji medycznych, gdybym była nieprzytomna. Albo kwestia pochówku. Zastanawiasz

się, kto cię pochowa? Ja już tak, w końcu moja matka umarła w wieku 61 lat. Możesz sobie oświadczyć u notariusza, że chcesz, żeby twoim pogrzebem zajęła się najbliższa ci osoba, ta, z którą żyjesz od dziesięcioleci, ale to będzie tylko deklaracja woli, nie prawo. Jeśli rodzina biologiczna jest przyzwolta i uszanuje twoją deklarację, to OK, akt notarialny spełni swoje zadanie. Ale zdarzają się przecież, i to często, sytuacje konfliktowe, i dochodzi wtedy do strasznych historii – rodzina próbuje się odgrywać na partnerce czy partnerze, bo nigdy nie akceptowała tej relacji, odsuwa świeżo owdowiałą osobę od wszystkiego i ze wszystkiego ją wyzuwa. Zresztą nie chodzi tylko o prawo, ale o zwykłe codzienne rzeczy. Brak nam społecznych struktur wsparcia. Wśród sąsiadów, w miejscu pracy, w szkole – chodzi o te niezauważalne drobne gesty, które wyrażają akceptację i potwierdzają istnienie dwójki ludzi jako pary. Każda miłość potrzebuje społecznego kontekstu: szerszej przestrzeni, cudzych słów, spojrzeń, bez tego nie może poczuć, że istnieje. W tym sensie jest to też książka edukacyjna, bo pokazuję w niej różne momenty, w których ujawnia się ta trudno uchwytna różnica między życiem w heteronormie i poza nią.

To jest też opowieść o ciele i cielesności, o szukaniu języka dla miłości. Piszesz: „Jesteś moim ciałem – chciałybym powiedzieć mojej ukochanej”.

Opowiadam, jak zgłosił się do mnie ktoś znajomy z pytaniem, jak dobrze opisać scenę seksu lesbijskiego w powieści. I to jest problem – jak to zrobić, żeby nie wpadać w szampowe narracje i języki wyznaczone przez męskie spojrzenie. Nasza wyobraźnia erotyczna, język literacki i filmowy zostały ukształtowane w oparciu o heteroseksualny schemat. To jest matryca, która nas formuje, narzuca się z każdej strony: w filmach, serialach, reklamach. Widzi się to wyraźnie dopiero wtedy, kiedy się od tego odstawia. Staram się pokazać to odstawianie, wyrazić potrzebę innego języka.

Pojawia się też ciało w chorobie, historia umierania.

Historia mojej matki, jej choroby, była dla mnie traumą, przez kilkanaście lat nie byłam w stanie o tym rozmawiać. Dopiero kiedy znalazłam się na jej miejscu, z podejrzeniem nowotworu na macicy, okazało się, że potrafię o tym mówić. Opowiedziałam o niej poprzez swoje ciało. Matka w ogóle odgrywa w mojej książce ważną rolę.

Nie miałas obaw, że to wszystko jest zbyt intymne?

Nawet wydaje mi się to trochę niepokojące, ale nie miałam. Jest mi naprawdę wszystko jedno. Może to jest właśnie wolność.

Druga osoba jest obecna w tej książce, piszesz w waszym imieniu?

Pisałam to w naszym imieniu, ale bez udziału Elżbiety. Ona przeczytała to dopiero, jak było już gotowe. Zapytałam ją, czy zgadza się, żebym to wydała. Mogła się nie zgodzić, bo ta książka obnaża również ją. Negocjowałyśmy może dwie czy trzy rzeczy, które usunęłam. Ale zaaprobowała książkę, za co jestem jej bardzo wdzięczna.

To też jest historia pokolenia dorastającego w PRL i w czasie transformacji. Korzystasz z pojęć i narzędzi, których dostarczają nam Ernaux i Eribon, żeby opisać wstyd klasowy, ale jednak nasze społeczeństwo było wtedy inne.

W Polsce dostaliśmy Eribona przed Ernaux i dlatego to on jako pierwszy wywarł na mnie wielkie wrażenie tym, co pisze o wstydzie społecznym, ale też wpleceniem w ten węzeł swojej nieheteronormatywności. Ja się bardzo odnajduję w jego narracji, mimo wszystkich różnic, których jestem świadoma. Moje doświadczenie wstydu społecznego nie jest może uniwersalne dla naszego pokolenia, ale jest prawdziwe. Staram się to pokazać we fragmencie o mojej nauczycielce historii ze szkoły na Szmulkach – że formalna bezklasowość ówczesnego społeczeństwa nie oznaczała braku dystynkcji i związanych z nią gier. Różnice klasowe przetrwały wojnę i stalinowskie powojnie w innej postaci, choć nie byliśmy ich wtedy świadomi.

Do tego dochodzi historia formującego się polskiego feminizmu.

Najpierw był desant z zagranicy, na początku transformacji. Opisuję spotkanie, kiedy Agnieszka Graff przyjechała ze Stanów i opowiadała nam o filozofii różnicy u Derridy w mieszkaniu Rymkiewiczów na Ochocie. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Dzięki narzędziom, jakich dostarczył zachodni feminizm, została wykonana ogromna praca nad rekonstruowaniem polskiej tradycji feministycznej i queerowej, na której dzisiaj możemy się oprzeć. Taki paradoks naszej półperyferyjnej modernizacji.

Koniec książki to podróż na Kamczatkę, z której wróciłyście szczęśliwie.

To jest wyjście w nieznaną, mam wrażenie, że to jest jasne zakończenie. Chciałabym, żeby ta książka była oparciem dla osób młodszych ode mnie. Żeby mogły tu żyć i nie bały się mówić. Jestem fanką pokolenia Z. Oni są moją nadzieją.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Dwa pierwsze mecze eliminacyjne polskiej kadry – z Czechami i z Albanią – oglądało w TVP ponad 5 mln widzów. Co ciekawe, drugi mecz z Albanią miał o milion widzów więcej. To typowe. Drugą część komedii „Listy do M.” też obejrzało więcej osób.

Oglądalność prowadzonego przez Tomasa Kammela i Radosława Brzózki teleturnieju TVP pt. „Wiesz czy nie wiesz” spada z odcinka na odcinek. Trudno być zaskoczonym. Jak wynika z oferty „Wiadomości” i TVP Info, widz tej telewizji raczej nie wie.

Tomasz Lis zamierza wydać książkę o seksie współczesnych Polaków. „To ma być taka Wisłocka 45 lat później” – zachwala dziennikarz. Sprytny ruch. Wie, że jest mało wiarygodny w terminie *sztuka kochania*.

Mąż modelki Joanny Krupy Douglas Nunes złożył w sądzie pozew o rozwód. Jako przyczynę podał różnice nie do pogodzenia. To oczywiście. W żaden sposób „Denmark from chicken” nie oznacza dania z kurczaka.

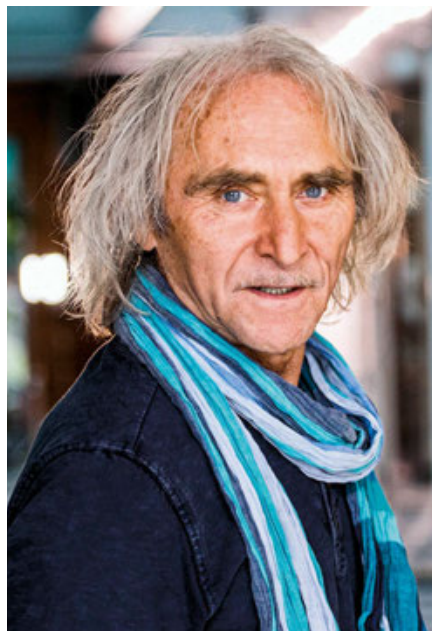
Najśłynniejszy sędzia piłkarski Szymon Marciniak dołączył do ambasadorów marki odzieżowej Lancerto. Trudno. Kiedyś modny był termin *arbitrer elegantiarum*. Teraz już wiem, że nie każdy sędzia to arbitrer.

Amazon pokazał swój dokument pt. „Lewandowski nieznan”. Recenzje są skrajne. Od sformułowań „najbardziej przeźroczysty człowiek na świecie” po absolutny zachwyty. Atutem produkcji są fragmenty archiwalne. Czyli takie, w których Robert zdobywa bramki.

Tomasz Karolak wyznał, że zmienia wiarę: „Okazało się, że jestem protestantem. To duchowe uleczenie”. Przypomnę różnicę. Protestanci nie uznają autorytetu papieża. A katolicy – jak im się opłaca, to tak.

W podcaście Onetu Dorota Szelałowska opowiedziała o swoim ojczymie pedofilu. Zapytana, czy wie, co się z nim dziś dzieje, odpowiedziała: „Z tego, co wiem, pracuje w TVP”. Teraz TVP nie musi zatrudniać Sylwka Latkowskiego. Może rozpocząć produkcję własną.

Iga Świątek została ambasadorką marki odzieżowej ON, której współwłaścicielem jest Roger Federer. Tenista wymyślił jej nowy pseudonim: Świontek. Jak widać, jednak nie wszystko, czego dotknie, zmienia się w złoto.



© TOMASZ ADAMOWICZ/FORUM

Kolejny sukces Daniela Obajtki i Orlenu. Po zablokowaniu na stacjach benzynowych sprzedaży tygodnika „Nie” z Janem Pawłem II na okładce, sprzedaż pisma skoczyła o 15 proc. Nie dziwię się, że paliwo drożeje, skoro Daniel świadczy teraz dodatkowe usługi na mieście.

Tomasz Lipnicki, lider zespołu Illusion, krótko o telewizji: „Dziś granie w TVP to współpraca z reżimem”. Przypominam, słowo reżim pochodzi z francuskiego – *regime*, porządek. W luźnym tłumaczeniu – burdel.

Prezenter pogody Tomasz Zubilewicz wystąpił w reklamie PlayStation 5. Pogodynek prezentuje pogodę charakterystyczną dla poszczególnych gier. W „Gran Turismo 7” dla kierowców, w „God of War: Ragnarök” dla nordyckich bogów, w TVN dla lewaków.

Marek Kondrat jest na Instagramie. Zaczął od cytatu z Orwella: „Ludzie, którzy głosują na nieudaczników, złodziei, zdrajców i oszustów, nie są ich ofiarami. Są ich współnikami”. Marka śledzi obecnie 16 tys. osób. Dziwne. Powinni ci, o których mówi. Czyli 8 051 935 osób.

Krzysztof Gonciarz, jeden z najbardziej znanych youtuberów, dokonał coming outu, ujawniając, że jest osobą biseksualną. Z reakcji fanów wynikało jasno, że jest ostatnią osobą, która się o tym dowiedziała.

Jarek Jakimowicz wyznał, że zabójca Pawła Adamowicza siedział w więzieniu z profesorem, który mógł mu swą wiedzę mieszać w głowie. Jakże było jego zdziwienie, gdy dowiedział się, że „profesor” to ksywka więźnia. Pseudonim. Takie umowne określenie. Jak aktor czy publicysta.

Amazon Prime Video pokaże polski show komediowy z gwiazdami prowadzony przez Cezarego Pazurę. W „LOL: kto się śmieje ostatni” chodzi o to, aby nie dać się rozśmieszyć innym. Nic odkrywczego. Polsat z kabaretem robi to od lat.

Jerzy Kryszak został zapytany, jak sparodiowałby żonę prezydenta Agatę Dudę. „Wychodzisz i nic nie mówisz. Wtedy jest Agata Duda” – wyznał. Dobre i skuteczne. W ten sposób pani Agata konsekwentnie pozostaje jedyną osobą, której nie da się podsłuchać Pegasusem.

Okularnicy



Nieustannie bombardowani wizjami zagrożeń, żyjemy w kulturze strachu. Wśród podziałów: czarne versus białe, kobieta przeciw mężczyźnie, ta wiara a tamta wiara, po mojemu albo po twojemu. Sami się dzielimy na tych, którzy „lubią”, i na tych, którzy „nie lubią” – mówił Mohsin Hamid, pisarz pochodzący z Pakistanu, podczas otwarcia festiwalu literackiego Passa Porta, który odbył się w Brukseli. Połączeni z maszynami jesteśmy potężniejsi niż kiedykolwiek. Możemy zmienić klimat na naszej planecie, zakończyć istnienie całych gatunków. „I dlatego potrzebujemy ochrony przed samymi sobą, przed przemocą, którą rozpętujemy połączeni z naszymi maszynami” – dodawał pakistański pisarz. W dobie sztucznej inteligencji, która podobno w niektórych redakcjach zastępuje teksty dziennikarzy, wydaje się, że pisanie staje się powoli gestem rewolucyjnym, wyrazem człowieczeństwa.

Przejmujące było wystąpienie Hamida. Grażyna rozejrzała się po audytorium Teatru Narodowego, żeby zobaczyć, do kogo trafiają jego słowa. Okularnicy, z książkami w siatkach z recyklingu, zasłuchani. I tylko czasem ktoś sobie przypomniał, że istnieją komórki i można zrobić zdjęcie. Odwrotność ścianek, głośnej manifestacji ego. Wydawać by się mogło, że to nisza, bezradna wobec rządów hałaśliwych populistów i świata wirtualnego, perswazji mediów społecznościowych i panoszących się tam propagandzistów. Tak w każdym razie zwykło się przedstawiać intelektualistów, jako słabych i nieważnych.

Otóż nie. Okularnicy (przysłowiowi) mają moc. Są nimi słowa. To one nazywają świat. Lęk, że to nie wystarczy, że to tylko słowa? A kto słyszał o molestowaniu na tle seksualnym, zanim zjawiska nie nazwaliśmy, nie wskazaliśmy go jako patologii? Dziś szkoli się policjantów w tym, jak przyjmować zgłoszenia dotyczące molestowania, jak pomagać ofiarom. Można wezwać patrol, jeśli typ się naprzykrza, również werbalnie.

„Nie cenię trendu odwoływania się do »prawdziwych Amerykanów«, »prawdziwych Rosjan«” – powiedział Mohsin Hamid. Populizm stoi podlizywaniem się ludziom, których kiedyś nazywano ludem, co dziś brzmi zresztą patronizująco. Politycy wmawiają obywatelom, że najważniejsza jest siła tego, co było. Czego nie mówią, to że nie da się zawrócić, że trzeba iść do przodu. Polityka historyczna służy dziś wygraniu kolejnych wyborów, a dziedzictwo buduje się na propagandzie nieznoszącej sprzeciwu (co pokazał ostatnio Sejm, uchwalając ustawę „w obronie dobrego imienia św. Jana Pawła II”).

Internet nas dzieli, wrzuca w bańki, wyzwala nienawiść. Upraszcza. Jednocześnie nas jednak opowieści. Emocje nazwane, kiedyś przeżywane były zbiorowo przy ognisku, pod okiem szamana, szamanki. Dziś każdy może sięgnąć po powieść i odnaleźć w niej to, czego sam nie potrafi ująć w słowa. Literatura nas gromadzi, daje ucieczkę od strachu

generowanego przez maszyny, które sami stworzyliśmy i obsługujemy, karmiąc wirtualny świat. Czy literatura może nas uratować? To ryzykowne pytanie, lepsza jest odpowiedź Hamida: „Literatura nie da rady nas uratować, ale może nam przypomnieć, że chcemy się uratować”. Pomoc scalać, uchronić przed podziałami, przed nienawiścią.

Nazywanie nie jest chowaniem się. Wręcz przeciwnie, to wychylenie się, odwaga, bo można być pozwanym z powodu „obrazy uczuć religijnych”, co w Polsce grozi więzieniem (do 2 lat), a w Iranie czymś jeszcze gorszym. Słowa bywają niebezpieczne. Zwłaszcza gdy są prawdą i zagrażają rządzącym. „Pióro jest silniejsze od miecza”, napisał Edward Bulwer-Lytton w sztuce „Richelieu”.

Słowa wyzwają. Annie Ernaux mówiła w Brukseli, że stworzyła własny język, który pozwolił jej nazwać nienazwane. „Mémoire de fille” wydała w czasach przed #MeToo, gdy nie było słów na molestowanie seksualne. To, co przeżyła w młodości, dopiero jako dojrzała kobieta nazwała gwałtem. Dzięki swojemu pisaniu, prekursorskiemu wobec rewolucji #MeToo.

Słowa Annie Ernaux nazywają wstyd, którego doświadczała przez większość życia na myśl o tym, że jej ojciec bił matkę. Scena przemocy w rodzinie, którą przeżyła jako 12-latka, na zawsze zmieniła jej życie. Opisała to, co się wtedy wydarzyło w książce pt. „Wstyd”. Ze sceny w Brukseli mówiła, że nazwała powszechne zjawisko. „W rodzinach robotników, którzy przychodzili do kafejki prowadzonej przez moich rodziców, żony bili niemal wszyscy”. Ale nikt o tym nie mówił, a żony i dzieci oprócz razów wzięły na siebie wstyd. Przekazały go następnym pokoleniom. Pisarka te emocje nazwała, jej powieści pozwalają ubrać w słowa własne doświadczenia, łączą. I za to również należał się jej literacki Nobel.

Ernaux używa feminatywów, mówi o sobie, że jest pisarką. „Oczekuje się od kobiet, że nie będą pisały tak, jak mężczyźni” – mówiła w Brukseli. Nie tak wyraziście, brutalnie. A jej pisanie jest mocne. Pisze o orgazmach, menstruacji, rozdziewiczeniu, aborcji. O tym, jak zbudowała swoje życie, mimo gwałtu i przemocy. Dlatego tak poruszające było zdanie: „Na filmach, które zrobił mój syn, wyglądam pięknie”. Bo mówiła o urodzie, która nie ma nic wspólnego z „byciem ładną”, z przymusem podobania się. Jest pięknem bycia matką, pisarką, współtwórczynią – tym, co stworzyła mimo bagażu przeżyć.

„Książka to wiadomość wysłana do drugiej osoby. Do kogoś z ulicy, z innego kraju, z innego czasu. Pisze się połowę, resztę dopowiada ten, kto czyta” – powiedział Mohsin Hamid. Czytający do myśli piszącego dodają swoje słowa. Tak rodzi się siła, która zmienia świat, mimo tego, że niektórzy chwytają uporczywie za hamulec ręczny. Okularnik to nie tylko bezradny intelektualista, to również jadowity wąż.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK



A przecie mi żal

Spodnie wyprasuj! I nie zapomnij butów wyczyścić! Tak się do mnie mówi, gdy idę na koncert. Lecz krawata nie zakładam. Odkąd poważylem się w mino-deryjnych żartach przeciwstawić swój krawat sweterkowi pewnego pisarza na gali Paszportów POLITYKI w czasach tak dobrych i tak zamierzchłych, że chyba nieprawdziwych, nie zawiązałem już krawata ani razu. Autoironia nie zabezpieczyła mnie wówczas przed tym, co w naszych podłych czasach nazwano szyderą. I jak tu teraz powiedzieć Wam, co poczułem, gdy na koncercie w niemieckim kombajnie do hurtowego pakowania i sprzedawania wielkiej muzyki najślawniejsza pianistka na świecie grała Bacha w czarnych miniszortach, popopolitym T-shirtcie, pończochach ze szwem i czarnych botkach na szpilkach? Cóż, Yuja Wang może wszystko, więc i to. Ale po co? Bezmyślne bezguście czy przemysłana prowokacja? W sumie, co za różnica?

Kultura wysoka, dzięki zabiegom marketingu i edukacji szkolnej w niektórych krajach stała się masowa. A już szczególnie w Niemczech muzyka poważna zawsze była jeśli nie pod strzechami, to pod dachówkami zwykłych domów zwykłych mieszczan. I tak zostało. W Hamburgu nikt z koncertu nie robi wielkiego halo. Czulem się jak dureń, tkwiąc w garniturze pośród swetrów i dzinsów w miliardochołonnej Elbphilharmonie. A już szczególnie w Niemczech muzyka poważna zawsze była jeśli nie pod strzechami, to pod dachówkami zwykłych domów zwykłych mieszczan. I tak zostało. W Hamburgu nikt z koncertu nie robi wielkiego halo. Czulem się jak dureń, tkwiąc w garniturze pośród swetrów i dzinsów w miliardochołonnej Elbphilharmonie. A już szczególnie w Niemczech muzyka poważna zawsze była jeśli nie pod strzechami, to pod dachówkami zwykłych domów zwykłych mieszczan. I tak zostało.

W Hamburgu nie ma hamburgerów, a za to jest kiełbaska po krakowsku. Na ulicy sprzedają tę jedrną i parzącą wargi wędlinę tędy mężczyźni, którzy zapewne nigdy nie słyszeli o Krakowie. Z wzajemnością. Mówią ci na ty, tak jak wszyscy w tym mieście, bo to nie żadna tam nabzdyczona Bawaria, lecz świat arcynormalności i arcyrówności. W końcu to już prawie Dania! Obowiązuje tu styl nieobowiązujący, demokratyczny luz, aktywny egalitaryzm i niemalże jankeska przyjazność. Tylko kiełbasa z piwem i wielki pomnik Bismarcka przypominają, że to jeszcze są Niemcy.

Krakowie mój! I ty, Warszawo! Ratujcie! Nieadekwatny sztyniak, obnoszący swe klasowe pretensje, wschodnioeuropejskie kompleksy i staroświeckie sentymenty potyka się o własną śmieszność, gdy tak toczy się niezdarne hamburskimi bulwarami niezłomnej demokracji i alejami spokojnej pewności siebie, gdy kużytko sobie przez parki łagodnej praworządności i place społecznej solidarności. O, Hamburgu! Ostoję zamożnej zwyczajności! Czemuś tak ludzki i naturalny? Gdzie szyk twój, gdzie elegancja? Cóż ja tu robię w tobie, ja, istota niewłaściwej narodowości, niewłaściwej płci, niewłaściwego wieku, niewłaściwej tuszy? Mknąć by na wrotkach albo chociaż hulajnogą. Młodym być, wysportowanym,

płci nieznanej i orientacji zagadkowej. Ech.

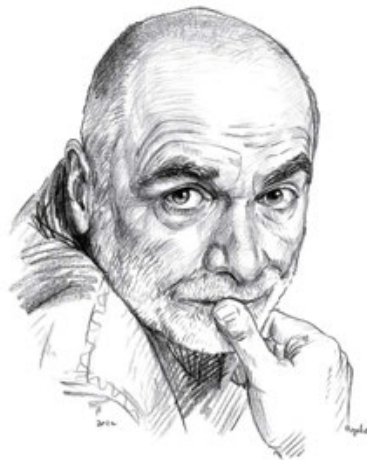
Może i ja tu zbędny, niepasujący, lecz to nie tylko moja wina. Wolnemu i dumnemu miastu też coś się omsknęło. I ono jakoś wypadło ze swych burżuazyjnych kolein. Czy nie wtedy, gdy w środku wielkiej wojny spadł na nie okrutny grad alianckich bomb? A może dopiero ćwierć wieku później, gdy rząd dusz przejęli młodzi pacyfiści? Tak czy siak, nie ma już tego szyku. Trzeba było to poświęcić, wymieść, wyrzucić na śmietnik, jak stare, zakurzone dywany i meble z zatęchłych pseudoarystokratycznych rezydencji. Pewnie warto było to uczynić – dla wygody, dla sprawiedliwości, dla równości. Eleganckie kawiarnie, piękne suknie i inne tam savoir-vivre'y to zbędny balast dla społeczeństwa silnego swą demokracją, a nie swą władzą i majątnością swych elit. Dziś wyluzowana, zadowolona elita mknie na rowerach lub w tanich autach do swych instytucji i redakcji, przegrzając bułki ze śledziem. A gruntownie opodatkowani bogacze siedzą w swych otoczonych żywopłotem willach na przedmieściach i oglądają Netflixa. Czyż nie tak miało być, lewico? Czyż nie o takie Niemcy walczyliśmy? Ależ tak!

A przecie mi żal... (to nie ja, to klasyk). I to nie baloników na druciku, lecz eleganckich, pięknie ubranych ludzi, mądrych rozmów, prowadzonych językiem dalekim od ulicznego, odrobiny szarmancji, klasy, uprzejmości nieprzechodzącej na ty w pierwszym wypowiedzianym zdaniu, napiwku dla szatnia- rza, ukłonów i skinięć głowy, francuskich słówek, gracji i dowcipu niekoniecznie zrozumiałego dla wszystkich wokół. Erudycji i kultury, które są czymś trochę mniej i trochę więcej niż fachowość. Och, czy naprawdę dla demokracji i sprawiedliwości było absolutnie niezbędne, aby tak w obyczaju wszystko ze szczerem zluzować, wyrównać, sprowadzić do form najprostszych i jednolitych, dostępnych dla każdego, lecz odartych z wdzięku i bardziej subtelnej kultury? Wszak koszty są niemałe. Gdy wszyscy są do siebie podobni, a wszelkie różnice są zaledwie nic nieznaczącym osobistym wyborem, to nie wiesz, kto jest kto. Wszystko jest możliwe – twój taksówkarz może być docentem, a twój szef prostakiem. Pod pozorami wszystko zaciemniającej przejrzystości głęboko a podstępnie kryją się prawdziwe uczucia, dobre i złe, prawdziwe relacje i prawdziwe hierarchie. Lecz kto zauważy mądrość i głupotę, prostactwo i wyrafinowanie ukryte w falach small talku zalewającego nasze demokratyczne społeczeństwo? Jak żyć prawdziwie, gdy pozór stał się rzeczywistością?

Tak to się biję z myślami, podziwiając to piękne, zwyczajne miasto. Może faktycznie nie ma co żałować. Może dawne maniery i subtelności naprawdę nie były warte konserwacji, skoro tak trudno je pomieścić w egalitarnym i ujednoliconym świecie? A przecie mi żal...

JAN HARTMAN

Polskie lasy wychodzą z Unii



Dyrektor generalny Lasów Państwowych ogłosił, że polskie lasy popierają PiS i jego program. Nie jest to żadne zaskoczenie, biorąc pod uwagę, że partia ta od lat unowocześnia lasy poprzez ich masową wycinkę. Chodzi o to, żeby nie rosły tak gęsto i chaotycznie oraz żeby przestały służyć wyłącznie wąskiej grupie miłośników przyrody i stały się dobrem wspólnym, służącym szerokiej rzeszy polityków Zjednoczonej Prawicy, urzędników Lasów Państwowych, a także ich rodzinom i znajomym.

Niestety, UE robi wszystko, żeby przejąć nad polskimi lasami kontrolę i sprawić, by pozostały niewycięte, a zamieszkujący je Polacy nie mieli prawa stawiać na ich miejscu nowoczesnych inwestycji, dzięki którym wkrótce przegonią w rozwoju Niemcy i inne kraje UE. W efekcie w polskich lasach zamiast tych inwestycji wciąż jest pełno drzew, które wyrosły jeszcze w XVIII i XIX w. i pozostają smutnym świadkiem czasów, gdy Polska cier-

piała pod butem zaborców, a polski chłop był rozpijany przez Żydów.

Mając na uwadze agresywne zakusy Unii, dyrektor generalny Lasów Państwowych poinformował o utworzeniu komitetu inicjatywy ustawodawczej „W obronie polskich lasów”, której celem będzie wyprowadzenie polskich zasobów leśnych z UE. Dzięki temu nasza narodowa knieja będzie w pełni suwerenna, a Lasy Państwowe będą mogły wyciąć wszystkie szpecące tę knieję stare drzewa, i pozostałe może też, żeby zrobić miejsce dla młodych i zdrowych, wyhodowanych pod rządami Zjednoczonej Prawicy i sadzonych co roku przez prezydenta Andrzeja Dudę i jego małżonkę w ramach prezydenckiej inicjatywy, której celem jest oczyszczenie narodowego powietrza, zapewnienie Polakom dopływu tlenu oraz poprawa klimatu i dobre samopoczucie.

Myślę, że damy radę i że polska prawica pokaże teraz wielką, wielką swoją moc” – zapowiedział dyrektor Lasów Państwowych. Wygląda zresztą na to, że Zjednoczona Prawica już ją pokazała, bo ekolodzy alarmują, że znikają tysiące starych drzew, a nawet całe kompleksy leśne. Gdy podczas konferencji prasowej na temat inicjatywy „W obronie polskich lasów” dziennikarka „Gazety Wyborczej” spytała o wycinkę drzew w Puszczy Karpaczej, wiceminister klimatu i środowiska poinformował ją, że „nie ma czegoś takiego jak Puszcza Karpacka”.

Dziennikarka upierała się, że jest, ponieważ informację o tej puszczy znalazła w Encyklopedii Leśnej na oficjalnej stronie Lasów Państwowych, ale dowiedziała się, że Encyklopedia jest nieaktualna, bo „nauka idzie do przodu”. Zgodnie z nowymi ustaleniami nauki i Lasów Państwowych Puszczy Karpaczej nie ma i nie będzie. Fakt, że mimo to dokonuje się w niej intensywnej wycinki, świadczy jedynie o tym, że zostały jakieś sprzeczne z nauką resztki, dlatego zgadzam się z władzami Lasów Państwowych, że trzeba je jak najszybciej usunąć, tak żeby stan faktyczny zgadzał się z osiągnięciami nauki.

SŁAWOMIR MIZERSKI

Jan Koza



© JAN KOZA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (*Pierwszy Zastępca*),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (*wydania cyfrowe*)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (*dyr.*),
Julian Sobiech (*reklama cyfrowa*)
PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ
MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszek-Radzko,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © **POLITYKA** SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu

zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad8

PBC

PRINTED IN POLAND

www.libapraczy.pl



Uwaga, Czytelnicy!

Kioski Garmond Press SA bez POLITYKI. Znajdźcie nas w punktach sprzedaży innych dystrybutorów.

W związku z problemami w rozliczeniach finansowych za dystrybucję POLITYKI podjęliśmy decyzję o zawieszeniu współpracy i niedostarczaniu nakładów POLITYKI oraz pozostałych wydawanych przez nas pism do firmy Garmond Press SA.

W celu zapewnienia możliwie wysokiej dostępności POLITYKI w sprzedaży zwiększyliśmy liczbę egzemplarzy POLITYKI dostarczanych za pośrednictwem pozostałych dystrybutorów do kiosków, saloników prasowych, stacji benzynowych, sklepów spożywczych i usługowych oraz do marketów i hipermarketów. We wszystkich tych punktach sprzedaży prasy POLITYKI nie powinno zabraknąć.

W razie problemów z zakupem POLITYKI w Państwa miejscowościach prosimy o kontakt telefoniczny: **22 451 61 65** (od pon. do pt. w godz. 9–17) bądź mailowy: **dystrybucja@polityka.pl**

Wszystkim, którzy mogą mieć problemy z zakupem POLITYKI, a chcą mieć pewność cotygodniowej lektury naszego tygodnika, rekomendujemy gorąco korzystanie z prenumeraty wydania drukowanego lub z subskrypcji cyfrowej. Prenumeratę papierową można zamówić na **www.sklep.polityka.pl**

Szczegóły dotyczące prenumeraty cyfrowej POLITYKI (z możliwością wyboru między wersjami Standard, Premium i Uniwersum) znajdą Państwo na stronie: **www.polityka.pl/pelnewydanie/stronasprzedazowa/**

REDAKCJA

Nagrody dla naszych ilustratorów

Miło nam poinformować o kolejnych wyróżnieniach dla współpracujących z POLITYKĄ ilustratorów. W piątej edycji ogólnopolskiego konkursu na rysunek prasowy im. Aleksandra Wołosza nagrodę honorową otrzymał **Marcin Bondarowicz** – za pracę „Rachunek za ruiny i śmierć”. Z kolei **Ireneuszowi Szuniewiczowi** przyznano wyróżnienie pozaregulaminowe: Nagrodę Wydawnictwa Edytor Wers z Olsztyna – za pracę „Pojedynek”. Obie nagrodzone prace były publikowane na łamach POLITYKI. Nagrodę Główną tegorocznej edycji otrzymał Paweł Kuczyński za pracę „Władimir Putin” („Wprost”).

W tej edycji konkursu o Nagrodę Główną rywalizowało 58 autorów, którzy nadesłali łącznie 267 prac.

REDAKCJA



Łąńskiego. Zdecydował się na to mimo protestów lokalnej społeczności, ekspertów i aktywistów, a nawet wbrew własnym wcześniejszym deklaracjom, że „ochroni naturalną spuściznę przed zakusami deweloperów”. W tym przedsięwzięciu ks. Hartkiewicz odegrał jedną z wiodących ról i tego też w sprostowaniach nie zakwestionowano.

ZBIGNIEW BOREK

Nie tylko PRO8L3M

W recenzji albumu „Club2020” (POLITYKA 13) napisałem, że Steez83 z duetu PRO8L3M jest producentem całej płyty – w rzeczywistości był odpowiedzialny tylko za utwór „Tak naprawdę”, a muzycznie całość ma wielu autorów. Przepraszam za pomyłkę.

BARTEK CHACIŃSKI



Sondaż obywatelski: kto znał wyniki

Rafał Kalukin w artykule „Mit wspólnej listy” przedstawia swoją dość sceptyczną opinię o sondażu obywatelskim – nie podziela jej, ale oczywiście nie odbieram mu prawa do krytyki. Ale na dwa fragmenty artykułu muszę zareagować.

Rafał Kalukin pisze: „Prawdopodobnie wyniki sondażu jeszcze przed publikacją musiały być znane Donaldowi Tuskowi, który na niedzielnym spotkaniu w Żywcu wręcz przygotował grunt proctwem o »srogich batach«, które w wyborach spadną na mniejsze partie, jeżeli odważą się startować samodzielnie”. W tym stwierdzeniu aż nazbyt widoczna jest sugestia, że Donald Tusk był na specjalnych prawach, jeśli chodzi o dostęp do wyników sondażu. Prawda jest taka, że w niedzielę między 13 a 14 najważniejsze wyniki (tylko wspólna lista gwarantuje opozycji demokratycznej zwycięstwo w liczbie mandatów) poznali wszyscy liderzy opozycji – Robert Biedroń, Szymon Hołownia, Władysław Kosiniak-Kamysz i Donald Tusk, gdyż telefonicznie zostali przez „Gazetę Wyborczą” poproszeni o komentarz (chodziło o to, by ich wypowiedzi mogły się ukazać w poniedziałkowym papierowym wydaniu „GW” razem z wynikami sondażu).

Redaktor Kalukin pisze też, że nasz sondaż „określony został mianem obywatelskiego, bo sfinansowano go ze zbiórek, chociaż nie jest tajemnicą, iż główny wkład zapewnił FOR Balcerowicza”. To całkowita nieprawda. Zebraliśmy łącznie 89 351 zł, z czego 89 proc. to wpłaty od 1632 obywateli i obywateli, a 11 proc. (10 000 zł) to darowizna od FOR.

ANDRZEJ MACHOWSKI, FUNDACJA FORUM DŁUGIEGO STOŁU

Doczesne biznesy

Odpowiedź autora na sprostowanie w sprawie artykułu opublikowanego w nr. 5 POLITYKI:

Abym zweryfikować swoje ustalenia, przed publikacją artykułu („Doczesne biznesy”, POLITYKA 5) próbowałem skontaktować się z ks. Piotrem Hartkiewiczem na osiem sposobów (dysponuję dokumentacją). Instytucje Kościoła odmawiały, odsyłały do kolejnych, które odmawiały albo nie odpowiadały, ale po publikacji ks. Hartkiewicz natychmiast się odnalazł, a redakcja otrzymała sprostowania. Z punktu widzenia interesów opinii publicznej dotyczą nieistotnych dla wymowy tekstu detali, mają jednak stworzyć wrażenie niezręczności publikacji. Nie odnosi się do zasadniczych ustaleń (i tym samym ich nie podważają), a były one takie: wykorzystując wpływy polityczne, Kościół katolicki przejął na Warmii wielomilionowej wartości grunty pod uprawy rolne, ale ich nigdy nie uprawiał. Doprowadził do ich przekwalifikowania na cele turystyczne, żeby w ramach spółki z prywatnym deweloperem wybudować kompleks hotelowy na obszarze objętym programem ochrony przyrody Natura 2000, w okolicach Łąska i Rybaków oraz krystalicznie czystego Jeziora

Falowanie i szybowanie

W Polsce przestaliśmy już projektować i budować monumentalne i nowatorskie obiekty, bo kończą się unijne dotacje. Nastął czas mniejszej użytkowej architektury. Dla architektów to często duże wyzwanie.

W

PIOTR SARZYŃSKI

przestrzeni polskich miast od kilku lat panuje bezkrólewie. Przez dłuższy czas standardy wyznaczała tu architektura obiektów użyteczności publicznej, powstająca z niebagatelnym wsparciem unijnych dotacji. Wszystkie te oszałamiające estetycznie biblioteki, teatry, muzea, sale koncertowe, ale też budynki szkół, placówek

akademickich... A gdy to się skończyło, z wielkich budów kultury pozostało jeszcze tylko do skończenia Muzeum Historii Polski spięte z Muzeum Wojska Polskiego na warszawskiej Cytadeli, a ze średnich – Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Projektowanie z ambicjami zeszło do nisz, zajęło się drobiazgami. A to jakaś „plomba”, dom jednorodzinny, przedszkole, a to plac zabaw, ryneček czy park. Architektura to dziś domena deweloperów mieszkaniowych i inwestorów biurowych.

Budownictwo mieszkaniowe niczym dobrym nie zaskakuje, choć przecież mieliśmy w minionych latach udane przykłady: 19. Dzielnica i Browary Warszawskie (JEMS Architekci), Osiedle Riverview (APA Architekci), Małe Naramowice (Stiasny/Wacławek) czy Corte Verona (Lewicki/Latak), Sprzeczna 4 (BBGK Architekci), Villa Reden (Franta). Dziś znów zdaje się dominować „wyciskanie PUM-y” (skrót od „powierzchnia użytkowa mieszkalna”) i do łask powróciła, odmieniana przez wszystkie przypadki, patodeweloperka z jej flagowym przykładem: Bliska Wola Tower w Warszawie.

Nie zachwycają także inwestorzy stawiający biurowce. O ciekawą architekturę tu trudno, za to budynki śmiało rosną w górę, by wspomnieć choćby KTW II w Katowicach (2022 r.) czy Hanza Tower w Szczecinie (2021 r.). Nie mówiąc o Varso Tower w stolicy, która dzięki wbitej w dach potężnej iglicy reklamowana jest jako najwyższy budynek w Unii Europejskiej. I to była praktycznie jedyna wiadomość, która poruszała nieco większe rzesze rodaków.

Natomiast mniej liczni, ale bardziej zainteresowani projektowaniem i architekturą poddani byli huśtawce nastrojów.

Na pewno poprawiał im się humor podczas lektur. Ukazał się bowiem bardzo ciekawy „Archiprzewodnik po Polsce” Roberta Koniecznego i Tomasza Malkowskiego, pierwsza książka, z którą pod pachą można zwiedzać Polskę nie tylko szlakiem zabytków, ale najnowszych, najbardziej udanych realizacji. Zaawansowani miłośnicy architektury na pewno pochłonęli





Fala 1, Europejskie Centrum Rodziny, Sopot,
FAAB Architektura Białobrzęski Figurski.

„W przejściu”, czyli zbiór najciekawszych tekstów, jakie poświęcono tej tematyce w minionych 20 latach na łamach kwartalnika „Autoportret”. Prawdziwym fenomenem czytelnictwem okazała się monografia Gdyni autorstwa Grzegorza Piątka. Już jego poprzednia książka o odbudowie Warszawy zyskała sobie ponadśrodkową popularność, podczas gdy ta gdyńska wręcz rywalizowała z bestsellerami literatury popularnej. I doczekała się wielu nagród, w tym Paszportu POLITYKI.

Na zmianę z tymi literackimi dawkami architektonicznej serotoniny przychodziły momenty uderzenia projektowego kortyzolu. A zatem, mimo wieloletniej pełnej zaangażowania batalii, nie udało się obronić wrocławskiego Solpola, jednego z najciekawszych i najbardziej wyrazistych przykładów polskiego postmodernizmu. Zawiodły służby konserwatorskie, które odmówiły wpisania go na listę zabytków, tłumacząc, że jest zbyt młody (29 lat). Tymczasem w innej części kraju na listę trafiła drewniana kapliczka we wsi Tarnów nad Wisłą, choć stuknęło jej zaledwie 11 lat, a w pierwszej edycji naszej Nagrody Architektonicznej pojawiła się jako absolutna „świeżynka”. Ostatecznie z woli głuchego na wszelkie prośby i groźby właściciela Solpola Zygmunta Solorza budynek poszedł pod kilof. Dla odmiany zapadły ostateczne (ponoć) decyzje o odbudowie Pałacu Saskiego. Gigantycznym kosztem zafundujemy sobie kolejną atrapę przeszłości, co gorsza, reprezentującą architekturę o znikomej wartości historycznej i symbolicznej.

Oczywiście nadal trwała w najlepsze radosna betonoza, a nowym liderem w tej kategorii stał się w 2022 r. rynek w Leżajsku, na którym bogatą, starą roślinność śmiało zastąpiono betonową pustynią. Bezmyślni urzędnicy, którzy podjęli stosowne decyzje (z burmistrzem na czele), powinni trafić na przymusowe szkolenie pod Pałac Kultury i Nauki, gdzie z kolei kosztem kawałka odbetonowanego placu Defilad udało się stworzyć niewielką, ale ujmującą enklawę zieleni. No i nie sposób nie wspomnieć o brawurowym przedsięwzięciu z zakresu tzw. małej architektury, czyli patriotycznych ławeczek wpisanych w kontury Polski i stawianych za ciężkie pieniądze w różnych miastach w kraju. Koszty były odwrotnie proporcjonalne do ich trwałości i estetyki.

Powróćmy jednak do sympatycznych wspomnień z minionego roku. Do takich należał na pewno pokaz kobiecej siły w rodzimej architekturze. Miał dwie odsłony. Pierwszą był wybór Agnieszki Kalinowskiej-Sołtys na stanowisko prezeski Stowarzyszenia Architektów Polskich. Po raz pierwszy w 88-letniej historii SARP kieruje nim kobieta. A odsłona druga to wystawa „Archikolaże” przygotowana w stołecznym Pawilonie Zodiak. Zorganizowana z okazji 40-lecia pracy zawodowej w architektonicznej prasie obecnej redaktorki naczelnej miesięcznika „Architektura Murator” Ewy Porębskiej, stała się syntetyczną opowieścią o losach architektury w Polsce minionych czterech dekad.

Gdy w 2022 r. przyznawaliśmy Nagrodę Architektoniczną, działo się to w cieniu rozkręcającej się w Ukrainie wojny i zadania logistycznego, jakie przyniosła fala emigrantów napływających do Polski. Z nowymi wyzwaniem zmierzli się też architekci. Najbardziej znanym przykładem jest przedszkole dla dzieci z Ukrainy błyskawicznie zaprojektowane na warszawskim Mokotowie przez znaną z prospołecznych działań pracownię xystudio. Ale podobnych inicjatyw nastawionych na tworzenie schronień oraz tymczasowych mieszkań było w całym kraju wiele. ▶

► A teraz pora na naszych finalistów. A właściwie pierwszą ich grupę, bo w tym roku, we współpracy z wydawanym przez POLITYKĘ magazynem „Salon”, rozszerzamy formułę nagrody o dodatkową kategorię: „architekturę wnętrz”. Finalistów „młodszej siostry” Nagrody Architektonicznej przedstawimy za tydzień.

Fala 1, Europejskie Centrum Rodziny, Sopot, FAAB Architektura Białobrzegi Figurski.

Autorzy „Archiprzewodnika po Polsce” jako godną zauważenia dostrzegli tylko jedną realizację z obszaru szeroko rozumianej ochrony zdrowia. To budynek sanatoryjny w Nałęczowie, zaprojektowany przez biuro architektoniczne Stelmach i Partnerzy i zbudowany... blisko 20 lat temu. A gdyby sięgnąć pamięcią w przeszłość, to poprzednim szeroko dyskutowanym obiektem służby zdrowia było chyba monumentalno-modernistyczne Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie, oddane do użytku w 1977 r. A przecież ciągle powstają nowe szpitale, przychodnie, placówki rehabilitacyjne. Ale jakoś tak przyjęło się w Polsce, że nikt nie oczekuje od nich oryginalnych form i niezwykłej architektury.

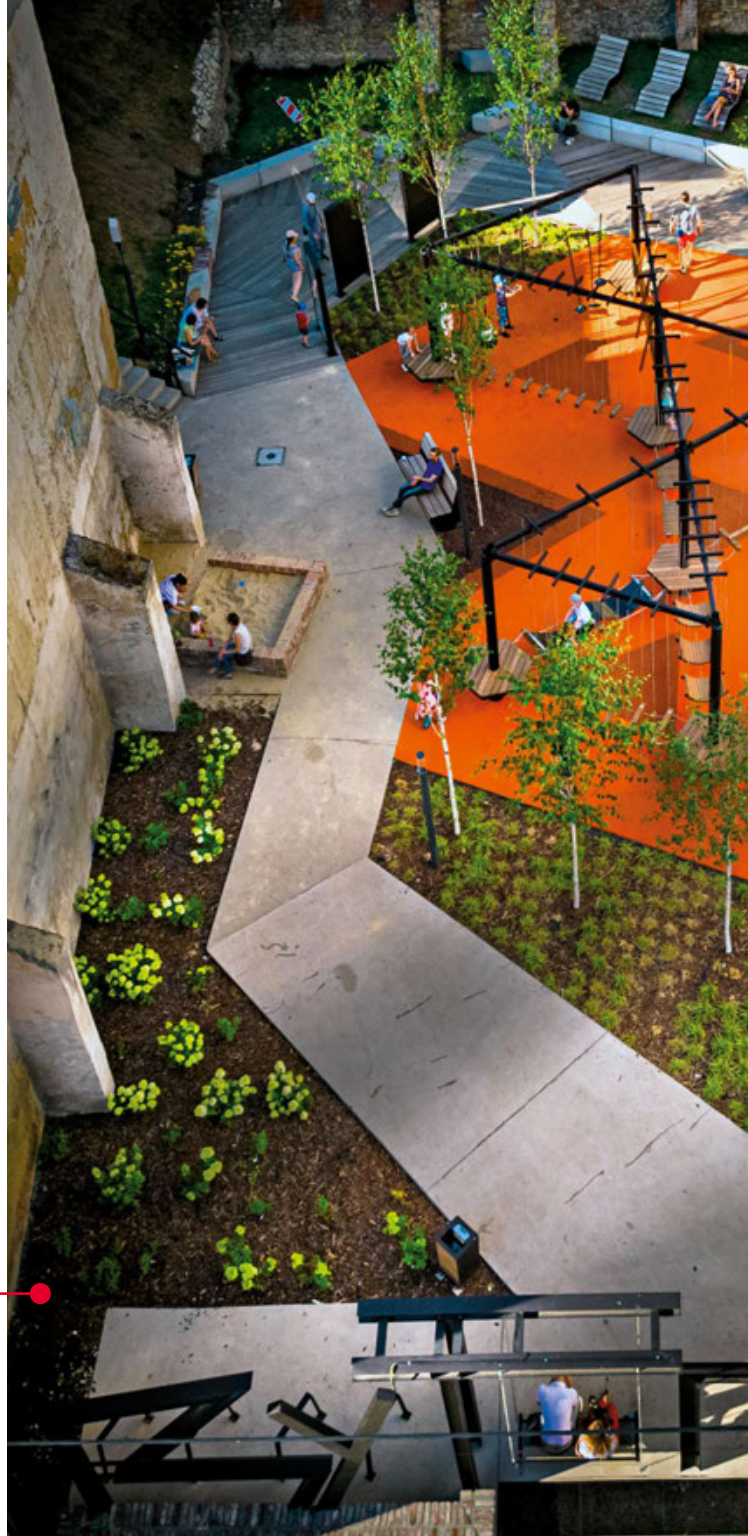
Sopocka realizacja jest wyjątkiem. W tym przypadku mamy do czynienia z obiektem, przy którego projektowaniu architekci czerpali inspirację – jak zapewniają – z serii fotografii Pierre’a Carreau „Aqua Viva” przedstawiających morskie fale (stąd nazwa budynku). Elewacja budynku, u podstawy masywna, u szczytu zamienia się w delikatną falę, przydając całości eleganckiej zwiewności. Z tą bryłą wspaniale współgra okładzina elewacji stworzona z ażurowych blach aluminiowych wyciętych w ornament tzw. Kwiatu Życia, czyli pradawnego symbolu, któremu przypisywano moc uzdrawiania. Świetne wrazenie robią też różne drobne rozwiązania, jak na przykład umieszczone na dachu drewniane siedziska.

Fala 1 jest pierwszym z pięciu budynków, z których składać się będzie docelowo ten medyczny kompleks (szpital, przychodnia, centrum rehabilitacyjne i diagnostyczne itd.). Całość planowana jest w takim samym stylu i istnieje duża szansa, że Sopot wzbogaci się o obiekt, który twórcy „Archiprzewodnika” będą musieli uwzględnić w drugim, uzupełnionym wydaniu.

Park kieszonkowy w Bytomiu, Pracownia projektzieleni.pl, Anna Becker, Marlena Pilch, Magdalena Wnęk.

Kieszonkowy, czyli mały. Ten, który znalazł się w finale Nagrody Architektonicznej, ma powierzchnię 700 m kw., ale zdarzają się mniejsze. Stworzony w 1967 r. i uchodzący za protoplastę wszystkich kieszonkowych Paley Park na nowojorskim Manhattanie ma zaledwie 390 m kw., ale za to wielką atrakcję w postaci wieńczącego go miniwodospadu. Zasadniczo przyjmuje się, że są to miejsca liczące nie więcej niż 5 tys. m kw. W Polsce miniparki powstały dotychczas m.in. w Krakowie, Łodzi (kilka) i stołecznym Wilanowie. Bytomską inwestycję, zrealizowaną w centrum miasta, w pustej przestrzeni po wyburzonej kamienicy, wyróżnia wysoki poziom estetyczny i staranne wykonanie.

Park pełni podwójną rolę: terenu zabaw dla dzieci oraz miejsca relaksu i wypoczynku. Najmłodszym służą m.in. miniścianka wspinaczkowa, nieduży park linowy, huśtawki, piaskownica, ale też galeria krzywych luster. Starsi wypocząć mogą na leżakach lub wprost na trawie. Roślinność uzupełniono o karmniki dla ptaków i „hotele” dla owadów. Symboliczną bramę zbudowano z dwuteowników, nawiązując w ten sposób do industrialnego dziedzictwa miasta. Masywna konstrukcja układa się w napis „BYTOM”.



Szyb Miedzianka, Robert Konieczny KWK Promes.

Ko choć raz słuchał Roberta Koniecznego opowiadającego o swoich projektach, ten wie, że uwielbia i potrafi snuć rozbudowane narracje dotyczące idei towarzyszących projektowaniu, drodze dochodzenia do ostatecznych rozwiązań. I opowieści te towarzyszą każdemu z jego architektonicznych przedsięwzięć, czy to będzie blok mieszkalny, muzeum czy luksusowe wille. Tym razem historia także dotyczy prywatnego domu, choć o rezydencji trudno mówić. To skromna realizacja o powierzchni nieca-



łych 120 m kw. Ale jakże barwne towarzyszą jej okoliczności. Dom bowiem stanął w Miedziance na Dolnym Śląsku – mieście, którego nie ma, miejscu legendzie, opisanym przez Filipa Springera w książce z 2011 r.

Przypomnijmy, że przed drugą wojną światową był to Kupferberg, małe i urocze miasto. Po wojnie odkryto tam złoża uranu i rozpoczęto (pod radzieckim nadzorem) rabunkową eksploatację. W efekcie po ostatecznym zamknięciu niezabezpieczonych kopalni część domów dosłownie zapadła się pod ziemię, inne popękały, groziły zawaleniem i zostały rozebrane. Pozostał kościół

i kilka zabudowań. Teraz Miedzianka się odradza (odtworzono lokalny browar, organizowany jest festiwal kulturalny), a dom zaprojektowany przez Koniecznego ma szansę stać się symbolem tego procesu. Prosta, wysmukłą betonową formą nawiązuje on do istniejących tu niegdyś licznie szybów górniczych i jest to bodaj jedyny we współczesnej polskiej architekturze dom typu wieża. Industrialnie kojarzą się też stalowe, ażurowe wykończenia: balkony i efektowna kładka prowadząca ze zbocza do wnętrza budynku.

Co ciekawe, dom został zaprojektowany do pełnienia funkcji prywatno-publicznych. Jego najniższy poziom przeznaczony ►

► został na miejsce pracy dla zapraszanych tu twórców. Piętro wyżej znajduje się mała księgarnia i sklepik z artystycznymi wyrobami ceramicznymi. I dopiero dwa najwyższe poziomy to prywatne królestwo właścicieli Szybu Miedzianka Patrycji Rowickiej-Masiewicz i Krzysztofa Masiewicza.

**Targ Błonie (modernizacja),
Pracownia Architektoniczna Aleksandra Wasilkowska.**

Prezentację tego miejsca wypada rozpocząć od przedstawienia osoby, która stoi za projektem przebudowy. Aleksandra Wasilkowska od dawna interesuje się i specjalizuje w tzw. architekturze cienia, czyli miejsc, o których zwykle nie myśli się w kontekście estetyki, to: cmentarze, miejskie szalety, wysypiska śmieci, a przede wszystkim miejsca służące ulicznemu handlowi: stragany, bazyry itd. Poświęciła im kilka książek i wystaw, ma też na swym koncie ciekawe projekty modernizacji placów targowych we Wrocławiu i Białej Podlaskiej, przygotowała plan kompleksowej rewitalizacji stołecznego Bazaru Różyckiego. Za przebudowę targowiska na Bakalarskiej została uhonorowana Nagrodą Prezydenta Warszawy. Wskazana tym razem przez nominujących realizacja jest efektem wieloletnich studiów poświęconych temu, jak cywilizować te zazwyczaj mocno niecywilizowane miejsca.

Targ w Błoniu – co warto podkreślić – nie służy tylko zakupom. Blisko jedną trzecią z 6 tys. m kw. zajmuje starannie zaprojektowana zieleń; zasadzono blisko 500 drzew, wiele krzewów i innych roślin. Co ważne, retencję wody zaplanowano tak, by deszczówka





Wydział Lingwistyki Stosowanej i Neofilologii Uniwersytetu Warszawskiego, Kuryłowicz&Associates.

Warszawskie Powiśle przez dekady uchodziło za jedną z bardziej zaniedbanych dzielnic stolicy. Jej ożywienie rozpoczęło się pod koniec lat 90. XX w. wraz z budową nowej siedziby Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Później przyszły kolejne ciekawe inwestycje, jak Centrum Nauki Kopernik, tymczasowa siedziba Muzeum Sztuki Nowoczesnej, liczne osiedla mieszkaniowe, filia ASP, Bulwary Wiślane, centrum handlowo-usługowe Elektrownia Powiśle. Dzięki wpuszczeniu Wisłostrady pod ziemię ta część miasta wspaniale otworzyła się na rzekę, a doprowadzenie tu drugiej linii metra silnie spięło ją z resztą miasta.

Długa jest historia powstawania tego obiektu. Jego pierwszą, mniejszą część zbudowano w latach 2008–13. Drugą, dwukrotnie większą, zaczęto stawiać w 2017, a ukończono w 2022 r. Teraz stanowią funkcjonalną i estetyczną całość. Obiekt jest zaprojektowany tak, by spełniał wszystkie wymagania związane z pracą dydaktyczną i naukową. Ale niesie ze sobą dużo więcej wartości. Po pierwsze, urbanistyczne. Pomimo dużej kubatury (150 tys. m kw.) oraz faktu, że jego dłuższy bok ma aż 140 m długości, świetnie wpasował się w zastaną zabudowę. W konstrukcji dominują stal, beton, miedź i szkło, tworząc eleganckie, ale też przyjazne użytkownikom przestrzenie. Zadbano nie tylko o komfort studiowania, ale też odpoczynku; na studentów i pracowników czekają patio, rekreacyjne zakątki z fotelami, a także pokryty roślinnością dach z efektownymi schodami-siedziskami, z których można podziwiać panoramę okolicy. Urzeka zastosowanie w wykończeniu żywych kolorów, obecnych zarówno na elewacji, jak i we wnętrzach.

PIOTR SARZYŃSKI

z dachów sphywała bezpośrednio w te zielone strefy. Możemy więc mówić o rozrastającym się mikroparku. Stworzono także plac zabaw dla dzieci oraz pawilon gastronomiczny połączony ze wspólnym stołem, przy którym można spożywać posiłki, ale też świeżo zakupione, umyte na miejscu owoce lub warzywa.

Dla handlujących przygotowano estetyczne, chroniące przed słońcem i deszczem zadane stanowiska, które po godzinach pracy targu mogą służyć towarzyskim spotkaniom. Architektura targu stylem nawiązuje do eleganckiego przedwojennego modernizmu, ale też do klimatów śródziemnomorskich.

Laureata Grand Prix tegorocznej edycji Nagrody Architektonicznej POLITYKI wybierze jury, a Państwa zapraszamy do udziału w wyborze laureata plebiscytu czytelników. Głosować można do niedzieli 16 kwietnia na stronie: polityka.pl/architektura (tam również zamieszczamy skład jury oraz listę nominujących, którym bardzo dziękujemy za pomoc w wyłonieniu finałowej piątki).

REKLAMA

Wybierz Architektoniczną Realizację Roku 2022 PLEBISCYT

Laureata Grand Prix
Nagrody Architektonicznej POLITYKI
wybierze jury, jednak chętnie poznamy
opinię naszych czytelników i internautów
na temat finałowej piątki.

Głosowanie trwa do niedzieli **16 kwietnia 2023 r.**

Czekamy na Twój głos na
polityka.pl/architektura



Sponsor Główny
Nagrody Architektonicznej
POLITYKI



Sponsor
Nagrody Specjalnej
Magazynu SALON



Portal Kommersant o zmianach w konsumpcji alkoholu w Rosji: „Na rosyjskim rynku whisky, który zmniejszył się w 2022 r. o 50 proc. wskutek ograniczeń importu, rosły udziały producentów miejscowych. W pierwszych miesiącach 2023 r. największe ilości tego napitku wyprodukowały Beluga Group, Stellar Group i Ladoga (...). W sumie w styczniu i lutym produkcja whisky w Rosji zwiększyła się o 56 proc. w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego. (...) Szef centrum informacyjnego WineRetail Aleksander Stawcew zaznacza, że popyt na marki lokalne będzie zależeć od stabilnej jakości napoju, szczególnie więc ważna jest odbudowa procesu importu destylatów. W przeciwnym razie konsumenci mogą zacząć przestawiać się z whisky z powrotem na wódki, gorzkie nalewki i brandy”. Bo nie pić się nie da.

W „Plusie Minusie” Kataryna pokpiwa z obrońców papieża: „Wygląda na to, że Polacy jednak mają być traktowani jak dzieci, które trzeba strzec przed drażliwymi tematami. A strzec ich będą tacy kustosze pamięci po papieżu Polaku, jak poseł Łukasz Mejza od cudownych terapii dla ciężko chorych dzieci, radny Dariusz Matecki od pomysłu odkażania ulic po gejach i lesbijkach, arcybiskup Marek Jędraszewski od listu w obronie seksualnego drapieżcy Juliusza Paetza, minister Przemysław Czarnek od rozdawania publicznego majątku kolegom, dziennikarze TVP od regularnych nagonek na kolejne niewygodne dla władzy osoby i grupy społeczne, i politycy, którzy codziennym staniem dowodzą, jak niewiele zrozumieli z papieskich homilii. Jan Paweł II nie żyje, więc się już nie obroni ani przed reportażem w TVN, ani przed niektórymi swoimi obrońcami, którzy zdają się nie wierzyć,

że nawet najtrudniejsza prawda mu nie zaszkodzi, bo – parafrazując – »prawdziwa świętość TVN-u się nie boi«. A wygląda na to, że PiS się go jednak boi.

Michał Karnowski („Sieci”) też ma problem z mediami, ale już czuje „przesilenie” (tytuł komentarza), choć jeszcze się trochę kryguje: „Podkreślam: także PiS nie może jeszcze się cieszyć ze zwycięstwa. Może przegrać także z własnymi błędami, zmęczeniem, jakimiś nowymi zdarzeniami, brudnymi prowokacjami i potęgą medialną konkurentów. Ale jego szanse rosną. Mimo wszystkich wad i słabości (to tylko ludzie) może nie tylko z dumą podnosić sztandar ciężko przepracowanych, z sukcesami na wielu polach ostatnich siedmiu lat, lecz także pokazać na politycznych przeciwników i zapytać: naprawdę chcecie tego cyrku?”. Na co zapytani przeciwnicy odpowiedzą: „Nie, waszego cyrku rzeczywiście nie chcemy”.

Komentator se.pl Tomasz Walczak krytykuje opozycję za kłótnie, ale jednocześnie zwraca uwagę na słabości PiS: „fundamenty władzy PiS zaczęły się sypać. Od 2022 r. mamy w kraju niewidzianą od 30 lat sytuację, kiedy sytuacja materialna Polaków się pogarsza. Inflacja i wszystkie jej ponure skutki doprowadziły do zburzenia opowieści o Polsce PiS jako krainie dobrobytu, który staje się udziałem wszystkich i każdego z osobna. Opowieści, która pozwalała przejść do porządku dziennego nad kolejnymi patologiami władzy PiS – nepotyzmem, kumoterstwem, uwłaszczaniem się na majątku państwowym. Patologiami, w których w ostatnich miesiącach zdegenerowany ośmioma latami rządów PiS jeszcze bardziej się pograża”. Pograża się, pograża, i wciąż jest na wierzchu.

W „Angorze” Henryk Martenka też martwi się o opozycję: „Chaos trwający od kilkunastu miesięcy jest złym prognostykiem dla opozycji, bo oznacza, że skoro nie potrafi się porozumieć, nie będzie też umiała rządzić. A przecież jest jasne, że jeśli powstaje stan nadzwyczajny i trzeba zadać w róg bitewny, to rodzi się oczekiwanie, że wszyscy, którym na sercu leży zwycięstwo, staną zgodnie w jednym oryndku. Nie bacząc na nic. Wygrać można wtedy nawet z liczniejszym przeciwnikiem, bo wspólna motywacja łączy i wzmacnia. A dziś tej motywacji w naszej opozycji nie widać”.

Za to widać motywację wśród rolników, Z w grupie, która może mieć istotny wpływ na wyniki wyborów, na co w „Newsweeku” zwraca uwagę Andrzej Stankiewicz: „Dla wsi nie mają znaczenia zarzuty ustrojowe dotyczące PiS – toporna propaganda TVP, próby podporządkowania sądów, pegasusy, nepotyzm i dojenie państwa. Dla wsi liczy się jej konkretny finansowy interes. (...) Widać, że rolnicy są zdeterminowani (...) każde jajko rzucone przez rolnika w kierunku polityków PiS ma wyborczą siłę. A dziś na kontakt z białkiem, żółtkiem i skorupką narażony jest każdy, nawet sam prezes, gdy przyjedzie w asyście policjantów z granatnikami. Rolnicy nie uznają politycznych świętości, jeśli czują się zagrożeni”. A jaj mają dostatek.

Na zadane przez „Przegląd” pytanie: „Co się stało z elektoratem SLD?”, odpowiada socjolog prof. Jacek Wódz: „Przed wszystkim elektorat SLD się zestarzał. Ma mniej zapału i energii do podejmowania aktywności politycznej. Generalnie patrząc na zachowanie elektoratów w całej Europie, lewica wszędzie traci na znaczeniu, bo zmienia się system społeczny. (...) Owszem, jest mnóstwo ludzi, którzy mają lewicowe poglądy, jednak SLD nie znajduje sposobu, aby ich zaktywizować”. Przynajmniej tyle, że elektorat PiS też się starzeje.

Sondażowe wzrosty poparcia dla Konfederacji wywołały u szefa „Najwyższego Czasu!” Tomasza Sommera niemal euforię: „Przed Konfederacją czas burzy mózgow, czas kooptacji i selekcji ludzi, którzy być może już jesienią zacząć zmieniać oblicze Polski. Przed Konfederacją także czas konsolidacji ugrupowania, które ma wszelkie atuty, by wymienić skorumpowaną i przestarzałą elitę PiS-KO, której czas już się skończył, choć nadal trwa ona u władzy”. Myślał indyk o niedzieli...

Jan Koza



CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Uprawiaj sport świadomie

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej

Badania wstępne, okresowe i kontrolne dzieci, młodzieży i dorosłych

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne

blokady / nerolizy nerwów obwodowych

termolezja

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja

Rehabilitacja ortopedyczna:

- stawów rzepkowo-udowych
- stawów barkowych
- kręgosłupa
- stawów kolanowych
- kontuzji sportowych
- po zwichnięciach stawów
- urazów mięśni
- więzadeł
- po złamaniach

Fizykoterapia

Masaż leczniczy

Diagnostyka funkcjonalna

Rehabilitacja w uroinekologii

Rehabilitacja po COVID-19

Rezonans Magnetyczny 3T

Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

Pełny zakres badań

Diagnostyka

RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

TWOJA
DECYZJA
MA WIELKĄ
MOC!

WSPIERAJ
DRUŻYNĘ
ISKIERKI!



PRZEKAŻ **1,5%**
KRS 0000248546
DZIECIOM CHORYM
NA RAKA

DZIĘKI TOBIE:

- kupujemy leki, sprzęty medyczne i finansujemy proces rehabilitacji,
- zapewniamy wsparcie finansowe, psychologiczne, społeczne oraz opiekę dietetyka,
 - remontujemy i doposażamy oddziały szpitalne,
- organizujemy cykliczne zajęcia terapeutyczne i aktywny wypoczynek,
- finansujemy działalność badawczą w zakresie skuteczniejszej diagnostyki onkologicznej.